# Annie Ernaux

# LATA

Przekład Krzysztof Jarosz
Magdalena Budzińska

Annie Ernaux

# Lata

Przełożyli Krzysztof Jarosz
i Magdalena Budzińska

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2022

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Tytuł oryginału francuskiego *Les Années*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Fotografie na okładce © by Gamma-Keystone / Getty Images, Edouard BOUBAT / Gamma-Rapho / Getty Images

Copyright © by Éditions Gallimard, Paris 2008
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2022
Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Jarosz
i Magdalena Budzińska, 2022

Redakcja Magdalena Budzińska
Korekta Kamila Zimnicka, Ewa Saska
Skład Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-398-0

Mamy tylko naszą historię, a i ona nie jest nasza.

José Ortega y Gasset

Tak. Zapomną. Taki nasz los, nic nie poradzimy. To, co się nam wydaje zasadnicze, znaczące, bardzo ważne, za jakiś czas – zostanie zapomniane albo okaże się nieważne. *Pauza*. Ciekawe: my teraz zupełnie nie możemy przewidzieć, co tak naprawdę będzie uznane za wielkie, ważne, a co za żałosne, śmieszne. […] I może się stać, że nasze obecne życie, z którym się tak godzimy, z czasem będzie się wydawało dziwne, kłopotliwe, niemądre, niedostatecznie czyste, może nawet grzeszne…

Anton Czechow, *Trzy siostry*,
przeł. Agnieszka Lubomira Piotrowska

Znikną wszystkie obrazy:

kobieta, która w biały dzień, kucnąwszy z zadartą spódnicą, wysikała się w Yvetot na skraju ruin za barakiem, pełniącym po wojnie funkcję kawiarni, a potem podciągnęła majtki i wróciła do lokalu

zalana łzami twarz Alidy Valli tańczącej z Georges'em Wilsonem w filmie *Tak długa nieobecność*

mężczyzna minięty na chodniku w Padwie latem dziewięćdziesiątego roku, z rękami zgiętymi w łokciach i dłońmi przytkniętymi do barków, i natychmiast skojarzenie z talidomidem, który trzydzieści lat wcześniej przepisywano ciężarnym kobietom jako środek przeciwwymiotny, a jednocześnie dowcip, który z tej okazji opowiadano: przyszła matka robi na drutach wyprawkę dla dziecka, regularnie zażywając talidomid – po każdym rządku jedna tabletka. Zszokowana przyjaciółka pyta: „Nie wiesz, że twoje dziecko może się z tego powodu urodzić bez rąk?", a tamta odpowiada: „Jasne, że wiem, ale i tak nie umiem robić rękawów"

Claude Piéplu w jednym z filmów Les Charlots na czele pułku legionistów ze sztandarem w jednej ręce, drugą ciągnący za sobą kozę

ta majestatyczna dama chora na alzheimera, ubrana w kwiecistą bluzkę jak inne pensjonariuszki domu starców, ale ona z niebieskim szalem na ramionach, bez przerwy przechadzająca się po korytarzach, wyniośle niczym diuszesa de Guermantes w Lasku Bulońskim, i przywołująca na myśl Céleste Albaret[1], gdy pojawiła się pewnego wieczora w programie Bernarda Pivota[2]

na scenie plenerowego teatru zamknięta w skrzyni kobieta, którą mężczyźni przeszywają srebrnymi włóczniami – wychodzi żywa, gdyż oglądaliśmy numer iluzjonistyczny zatytułowany *Męczeństwo kobiety*

mumie w postrzępionych koronkach dyndające ze ścian klasztoru kapucynów w Palermo

twarz Simone Signoret na afiszu *Teresy Raquin*

but na obrotowej podstawce w sklepie André przy rue du Gros-Horloge w Rouen i przesuwające się w kółko zdanie: „Z Babybotte Bébé biegaj żwawo i rośnij zdrowo”

nieznajomy z dworca Termini w Rzymie, który do połowy opuścił storę w swoim przedziale pierwszej klasy i niewidoczny aż do pasa, stojąc bokiem, manipulował penisem w intencji opartych o framugę opuszczonego okna młodych pasażerek pociągu na sąsiednim peronie

facet z reklamy płynu do mycia naczyń Paic Vaisselle, puszczanej w kinie, który wesoło tłukł brudne talerze, zamiast je zmywać. Srogi głos z offu mówił: „To nie jest rozwiązanie!”, a facet, patrząc z rozpaczą na widzów, pytał: „No to jakie jest rozwiązanie?”

plaża w Arenys de Mar nieopodal linii kolejowej, gość hotelowy podobny do Zappy’ego Maxa[3]

noworodek rzucany w górę niczym oskórowany królik na sali porodowej kliniki Pasteura w Caudéran, pół godziny później widziany w beciku, jak śpi na boku w łóżeczku, z jedną rączką na zewnątrz i kołderką naciągniętą aż do ramion

swawolna sylwetka aktora Philippe’a Lemaire’a, męża Juliette Gréco

w jakiejś reklamie telewizyjnej ojciec, ukryty za gazetą, bez skutku próbujący podrzucić w powietrze drażetkę Picorette i pochwycić ją ustami jak jego mała córeczka

dom w Wenecji pod numerem 90A na Zattere z oplecioną dzikim winem altaną, gdzie w latach sześćdziesiątych mieścił się hotel

w połowie lat osiemdziesiątych setki skamieniałych twarzy na ścianach sali Palais de Tokyo w Paryżu sfotografowanych przez urzędników na chwilę przed wywózką do obozów

toalety na podwórzu za domem w Lillebonne, tuż nad rzeką, ekskrementy zmieszane z papierem unoszone powoli przez pluskającą wodę

wszystkie obrazy zmierzchu z pierwszych lat życia, lśniące kałuże pewnej letniej niedzieli i obrazy ze snów, gdy nieżyjący rodzice zmartwychwstali, obrazy, w których podąża się nieokreślonymi drogami

scena ze Scarlett O'Harą ciągnącą po schodach ciało jankeskiego żołnierza, którego właśnie zabiła, a potem biegnącą ulicami Atlanty w poszukiwaniu lekarza dla rodzącej Melanii

obraz Molly Bloom leżącej obok swego męża i przypominającej sobie ten pierwszy raz, gdy pocałował ją chłopiec, a ona mówi tak tak tak

Elizabeth Drummond zabita z rodzicami na drodze do Lurs w 1952 roku

prawdziwe lub wyimaginowane obrazy widziane jeszcze po zaśnięciu

obrazy określonej chwili skąpane w im tylko właściwym świetle

Znikną naraz wszystkie jak miliony obrazów przewijających się w głowach dziadków zmarłych pół wieku temu oraz nieżyjących rodziców. Obrazy ukazujące czas, gdy było się dziewczynką pomiędzy istotami, które również znikły, jeszcze zanim przyszło się na świat. Podobnie w naszej pamięci istnieją nasze małe dzieci obok naszych rodziców i szkolnych kolegów.
I my będziemy pewnego dnia we wspomnieniu naszych dzieci pośród wnuków i ludzi, którzy się jeszcze nie narodzili. Tak jak popęd seksualny pamięć nigdy się nie zatrzymuje. Dobiera w grupy zmarłych i żywych, istoty rzeczywiste i wyobrażone, marzenia i historię.

Unicestwieniu ulegną tysiące słów, które służyły do nazywania rzeczy, twarze ludzi, czyny i uczucia, które porządkowały świat, sprawiały, że serce biło szybciej, a pochwa wilgotniała:

slogany, graffiti na murach domów i toalet, wiersze i świńskie dowcipy, tytuły

anamneza, epigon, noemat, teoretyczny, pojęcia zapisane w notatniku wraz z definicjami, żeby za każdym razem nie zaglądać do słownika

zwroty używane przez innych w sposób tak naturalny, że trudno było uwierzyć, że samej też kiedykolwiek będzie się do tego zdolną, jest niezaprzeczalne, że, nie sposób nie zauważyć, iż

straszne zdania, o których powinno się zapomnieć, natrętniejsze od innych z powodu wysiłku wkładanego w to, aby je wymazać z pamięci, wyglądasz jak zwiędła kurwa

zdania wypowiadane przez mężczyzn nocą w łóżku, zrób ze mną, co zechcesz, jestem twoją rzeczą

istnieć, otóż to: pić samego siebie, nie mając pragnienia[4]

co pani robiła 11 września 2001 roku?

niedzielna msza *in illo tempore*

stary piernik, pójść na bibkę, ale cizia!, w dechę!, powiedzenia, które wyszły z użycia, posłyszane przypadkiem, nagle cenne jak przedmioty zagubione i odnalezione, człowiek się zastanawia, jakim cudem się zachowały

zdania, które na zawsze przylgnęły do określonych osób jak dewiza, do określonego punktu na drodze krajowej numer 14, ponieważ jakiś pasażer wypowiedział je akurat, gdy przejeżdżało się tamtędy samochodem, i nie da się kolejny raz minąć tego miejsca tak, by te same słowa nie wystrzeliły nam znowu w twarz, niczym ukryte w ziemi wodotryski w ogrodzie przy

Pałacu Letnim Piotra Wielkiego, uruchamiające się, ilekroć postawi się na nich stopę

przykłady gramatyczne, cytaty, wyzwiska, piosenki, zdania przepisywane do notatników, gdy miało się naście lat

ksiądz Trublet kompilował, kompilował, kompilował[5]

sława jest dla kobiety tylko wspaniałą żałobą po szczęściu[6]

najlepsza część naszej pamięci jest poza nami, w dżdżystym podmuchu czasu[7]

najwyższym celem dla zakonnicy jest żyć jak dziewica i umrzeć jak święta

archeolog zapakował znalezione przedmioty do skrzyń

to był amulet świnka z sercem / którą kupiła na jarmarku za sto sou / między nami mówiąc, sto sou to niedrogo[8]

moja opowieść to historia pewnej miłości[9]

czy można tirlipotować widelcem? Czy można włożyć schmilblick do butelki dla dzieci?[10]

(figur na figur, mawiał święty Igór, do ciebie suficie, boś nie pił całe życie, Jan Sebastian… Bach… podchorąży zawsze zdąży, zje pies psa, jak nie ma zająca, Jezu, a po ile ty dziennie ryb łowisz? Apostołowie, te gry słowne słyszane tysiąc razy, od dawna ani nie zaskakujące, ani nie zabawne, irytujące swoją płaskością, służyły już tylko potwierdzeniu rodzinnej wspólnoty i wyparowały wraz z końcem małżeństwa, lecz powracały czasem na wargi, nie na swoim miejscu, nienadające się do użytku poza dawną wspólnotą plemienną, po latach życia poza nią w sumie tylko to z niej zostało)

słowa budzące zdziwienie, że kiedyś istniały, jak *mastoc* – „zwalisty” (list Flauberta do Louise Colet), *pioncer* – „uderzyć w kimono, zdrzemnąć się”

(George Sand do Flauberta)

łacina, angielski, rosyjski opanowany w sześć miesięcy dla pewnego Sowieta, a zostało z niego tylko *do swidanija, ja tiebia lublu, choroszo*

co to jest małżeństwo? Jak powiada Maupassant, w dzień wymiana złych humorów, a w nocy obrzydliwych odorów

metafory tak zużyte, że zawsze zaskakiwało, jak inni mają czelność ciągle ich używać, wisienka na torcie

o Matko, w pierwszym ogrodzie już nie pogrzebana[11]

potrzebne mu to jak umarłemu kadzidło, smalić cholewki, spiec raka, dawne wyrażenia

używane przez mężczyzn słowa, których się nie lubiło, zamoczyć pędzel, walić kapucyna

te przyswojone na studiach, które dawały poczucie, że triumfuje się nad złożonością świata. Po zdaniu egzaminu ulatniały się szybciej, niż przyszły

powtarzane, denerwujące zdania dziadków, rodziców, po ich śmierci bardziej żywe niż ich twarze, grosz do grosza, a będzie kokosza, dwa grzyby w barszcz

szybko znikające nazwy marek dawnych produktów, pamięć o nich cieszyła bardziej niż myśl o samych produktach znanej firmy, szampon Dulsol, czekolada Cardon, kawa Nadi, niczym intymne wspomnienie, którym nie ma się z kim podzielić

*Lecą żurawie*

*Marianna moich marzeń*

madame Soleil[12] jest ciągle między nami

światu brakuje wiary w prawdę transcendentalną

Wszystko zgaśnie w jednej chwili. Słownik przyswajany od kołyski po łoże śmierci przestanie istnieć. Nastanie cisza bez żadnego słowa, aby ją opowiedzieć. Z otwartych ust nie wyjdzie już nic. Ani „ja”, ani „mnie”. Język zaś będzie w dalszym ciągu przekładał świat na zdania.
W rozmowach przy świątecznym stole będzie się tylko imieniem coraz bardziej pozbawionym twarzy, aż zniknie się w anonimowej masie odległego pokolenia.

To zdjęcie w sepii, owalne, wklejone do albumu obwiedzionego złotą lamówką, chronione arkuszem tłoczonego przezroczystego papieru. Poniżej: „Photo-Moderne, Ridel, Lillebonne (departament Seine-Inférieure). Tel. 80”. Pulchne dziecko z nadąsaną minką, brązowe włosy zaczesane w wijący się ponad głową lok, siedzi półnagie na poduszce pośrodku rzeźbionego stołu. Zamglone tło, kompozycja z kwiatów na blacie, haftowana koszulka uniesiona na brzuchu – dłoń dziecka przykrywa płeć – ramiączko, które ześlizgnęło się na krągłą rączkę, wszystko to ma sprawić, by dziecko przypominało putto lub amorka z obrazu. Zapewne każdy krewny dostał odbitkę fotografii i natychmiast zaczął się zastanawiać, do której strony rodziny jest podobne. Z tego eksponatu familijnego archiwum – który musi pochodzić z 1941 roku – nie sposób wyczytać nic poza rytualną inscenizacją chwili wejścia w świat, ukazaną na sposób drobnomieszczański.

Inne zdjęcie, sygnowane przez tego samego fotografa – lecz papier w albumie jest bardziej pospolity i złota lamówka zniknęła – z pewnością również przeznaczone do rodzinnej dystrybucji, ukazuje małą, około czteroletnią dziewczynkę, poważną, prawie smutną pomimo pyzatej buzi. Włosy ma krótkie, rozdzielone przedziałkiem i ściągnięte do tyłu spinkami, do których przyczepiono wstążki przypominające motyle. Lewa dłoń spoczywa na tym samym rzeźbionym stole, dokładnie widocznym, w stylu Ludwika XVI. Bluzeczka opina ciało, spódniczka na szelkach odstaje z przodu z powodu wydatnego brzucha – być może oznaki krzywicy (około 1944 roku).

Dwa inne zdjęcia o ząbkowanych brzegach, pochodzące prawdopodobnie z tego samego roku, ukazują to samo dziecko, ale drobniejsze, w sukience z falbankami i bufkami przy rękawach. Na pierwszym filuternie przytula się do korpulentnej kobiety w sukni w szerokie pasy, z włosami zaczesanymi

do góry i zakręconymi w grube loki. Na drugim podnosi lewą piąstkę. Prawą przytrzymuje w swojej dłoni wysoki mężczyzna w jasnym garniturze i spodniach w kant, nonszalancko stojący obok. Oba zdjęcia zrobiono tego samego dnia przed murkiem z długą skrzynką z kwiatami, na wybrukowanym dziedzińcu. Ponad głowami rozciąga się sznur do bielizny, na którym pozostała jedna klamerka.

Po wojnie w świąteczne dni wśród niekończącej się powolności posiłków wyłaniał się z nicości i nabierał kształtów czas już rozpoczęty, ten, w który prawdopodobnie wpatrywali się czasem rodzice, gdy zapominali nam odpowiedzieć i spoglądali niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, czas, w którym się nie było i nigdy nie będzie, czas poprzedni. Zmieszane głosy biesiadników współtworzyły wielką opowieść o zbiorowych wydarzeniach, w których, gdy tylko człowiek trochę się wysilił, mógł sobie wmówić, że także uczestniczył.

Nigdy nie mieli dosyć opowiadania o zimie czterdziestego drugiego, lodowatej, głód i brukiew, racjonowanie żywności i kartki na tytoń, bombardowania

zorza polarna, która była zapowiedzią wojny

rowery i furmanki na drogach w czasie Odwrotu, splądrowane sklepy

poszkodowani grzebiący w gruzach w poszukiwaniu swoich zdjęć i pieniędzy

wkroczenie Niemców – każdy dokładnie określał g d z i e, do jakiego miasta – Anglicy zawsze poprawni, nieliczący się z nikim Amerykanie, kolaboranci, sąsiad w ruchu oporu, dziewczyna X ogolona po Wyzwoleniu

Hawr zrównany z ziemią, nie pozostał kamień na kamieniu, czarny rynek

Propaganda

uciekające szkopy przekraczające Sekwanę na ledwo żywych koniach

chłopka, która donośnie pierdzi w przedziale w obecności Niemców i oznajmia wokoło: „Jak nie można im powiedzieć, to da się im poczuć”

Na wspólnym gruncie głodu i strachu o wszystkim opowiadało się, mówiąc „my” albo „się”.

Mówili o Pétainie, wzruszając ramionami, za stary i zbyt niedołężny już wtedy, gdy odwołano się do niego z braku lepszego rozwiązania.

Naśladowali lot rakiet V2, żeby podkręcić napięcie, odgrywali minioną trwogę z udawanym zastanowieniem w najbardziej dramatycznych chwilach: „I co ja teraz zrobię?”.

Była to historia pełna śmierci, przemocy i zniszczeń, opowiedziana z radością, której, jak się wydaje, miały zaprzeczać rzucane od czasu do czasu żarliwie i podniośle: „To się nie może więcej zdarzyć”, po czym następowała chwila ciszy, jakby ostrzeżenie wypowiadane pod adresem mrocznej instancji, wyrzut sumienia po doznanej rozkoszy.

Mówili tylko o tym, co widzieli, co można było sobie przypomnieć w czasie świątecznego posiłku. Nie mieli dość talentu czy przekonania, by opowiadać o tym, o czym wiedzieli, ale czego nie widzieli na własne oczy. Zatem o żydowskich dzieciach wchodzących do wagonów, które jechały w kierunku Auschwitz, o umarłych z głodu zbieranych rano z ulic warszawskiego getta, o dziesięciu tysiącach stopni w Hiroszimie. Stąd to wrażenie, którego nie rozwieją później wykłady historyków, filmy dokumentalne i fabularne: ani piece krematoryjne, ani bomba atomowa nie pochodziły z tej samej epoki, co masło sprzedawane na czarnym rynku, alarmy lotnicze i zbieganie do schronów.

Przez porównanie nawiązywali do poprzedniej wojny, tej Wielkiej, z czternastego roku, w odróżnieniu od ostatniej tamtą wygraliśmy we krwi i w chwale, była wojną mężczyzn, o której zgromadzone wokół stołu kobiety słuchały z szacunkiem. A oni mówili o Chemin des Dames i o Verdun, o zagazowanych, o biciu dzwonów 11 listopada 1918 roku. Wymieniali nazwy wiosek, do których nie powrócił z frontu ani jeden chłopak. Przeciwstawiali żołnierzy w błocie okopów jeńcom wojennym wziętym w czterdziestym roku, którzy przeżyli pięć lat w cieple pod dachem i nawet nie byli bombardowani. Licytowali się na bohaterstwo i nieszczęście.

Cofali się do czasów, gdy ich samych nie było jeszcze na świecie, do wojny krymskiej, do tej z 1870 roku, do paryżan zjadających szczury.

W opowiadanym czasie minionym były tylko wojny i głód.

Na koniec śpiewali *Ach, to białe winko* i *Kwiat Paryża*[13], ogłuszającym chórem wyrykując słowa refrenu: „Niebieski, biały, czerwony to barwy ojczyzny”. Potem rozkładali ramiona i śmiali się: „My nie, my nie, my nie, my nigdy nie poddamy się”.

Dzieci nie słuchały i gdy tylko pozwolono im odejść od stołu, nie czekały ani chwili. Korzystając z ogólnego dobrego nastroju panującego w dniach świątecznych, oddawały się zakazanym zabawom, skakały po łóżkach i huśtały się głową w dół. Ale wszystko zapamiętywały. W porównaniu z baśniowym czasem – którego poszczególnych epizodów długo jeszcze nie będą umiały uporządkować, Odwrót, Ucieczka, Okupacja, Lądowanie, Zwycięstwo – ten bezimienny czas, w którym wzrastały, wydawał się im pozbawiony wyrazu. Nie mogły przeboleć, że nie urodziły się jeszcze albo właśnie wtedy, gdy trzeba było tłumnie wyruszyć na drogi i spać po stodołach jak Cyganie. Będą uparcie żałować tamtego nieprzeżytego czasu. Pamięć innych przekazywała im tajemną tęsknotę za epoką, na którą o mały włos się nie załapały, i nadzieję, że pewnego dnia jej doświadczą.

Po tej ognistej epopei zostały tylko poszarzałe i nieme ślady, bunkry na zboczach klifów, niekończące się pola kamiennych ruin w miastach. Zardzewiałe przedmioty, sterczące ze zgliszcz szkielety żelaznych łóżek. Zapomniane w czasie rozminowania pociski wybuchające prosto w brzuchy bawiącym się nimi chłopakom. Gazety ostrzegały: „Nie dotykajcie amunicji!”. Lekarze wycinali migdałki łatwo zapadającym na infekcję dzieciom, a gdy budziły się z krzykiem po znieczuleniu eterem, zmuszano je do picia wrzącego mleka. Na wyblakłych afiszach generał de Gaulle w ujęciu *en trois quarts* spoglądał w dal spod kepi. W niedzielne popołudnia grało się w chińczyka lub w piotrusia.

Entuzjazm, który wybuchł po Wyzwoleniu, przygasał. Ludzie mieli ochotę wychodzić z domu, a świat był pełen pragnień domagających się natychmiastowego zaspokojenia. Rzucali się na wszystko, co pojawiało się pierwszy raz od wojny, banany, kupony Loterii Narodowej, sztuczne ognie. Całymi dzielnicami, od babki podtrzymywanej przez córki po niemowlę w wózku, spieszyli na jarmark, przemarsz z pochodniami, do cyrku Bouglione’ów, gdzie ryzykowali zadeptanie w ciżbie. Tłoczyli się

w rozmodlonym i rozśpiewanym tłumie witającym figurę Matki Boskiej Bulońskiej, a następnego dnia całymi kilometrami ją odprowadzali. Każda okazja, świecka czy religijna, była dobra, by spędzić razem czas poza domem, jakby pragnęli żyć we wspólnocie. W niedzielę wieczorem autobusy wracały znad morza pełne wysokich młodych ludzi w szortach, którzy śpiewali jak opętani, siedząc na dachu w miejscu przeznaczonym na bagaże. Psy snuły się niepilnowane i parzyły się na środku ulicy.

Ten czas też już zaczynał być wspomnieniem złotych dni, których utratę odczuwano, słysząc w radiu: „Pamiętam piękne niedziele… Ach, jak to było dawno, to wszystko już tak odległe”[14]. Tym razem dzieci żałowały, że w okresie tuż po Wyzwoleniu były zbyt małe, żeby tak naprawdę go przeżyć.

Jednak rosło się spokojnie, „będąc szczęśliwym, że jest się na świecie i żyje się świadomie”, pośród zaleceń, by nie dotykać nieznanych przedmiotów, i bezustannych narzekań na racjonowanie, kartki na olej i cukier, ciężkostrawny chleb kukurydziany, koks, który nie daje wystarczająco dużo ciepła, „Czy na Boże Narodzenie będą czekolada i dżem?”. Szło się do szkoły z tabliczką i obsadką na kredę, mijając odgruzowane place, zniwelowane w oczekiwaniu na Odbudowę. Stojąc w kółku, bawiło w „chodzi lisek koło drogi” i w „Laurencjo moja, Laurencjo ma”, śpiewając „Dzień dobry, Wilhelmie, czy podjadłeś sobie?”, odbijając piłkę od ściany, nucąc „Ty, co wszędzie podróżujesz, mała Cyganeczko”, albo przemierzało się szkolny dziedziniec, trzymając się pod ręce i skandując: „Kto zagra w ciuciubabkę?”. Zarażało się świerzbem i łapało wszy, które potem dusiło się pod chusteczką na głowie preparatami firmy Marie Rose. Wspinało się po kolei do ciężarówki radiologicznej na prześwietlenie płuc, bez zdejmowania płaszcza i szalika. Szło się na pierwszą wizytę lekarską, chichocząc ze wstydu, że stoi się w samych majtkach w sali, której nie był w stanie ogrzać niebieski płomień pełzający po płaskiej podstawce wypełnionej spirytusem i ustawionej na stole, za którym siedziała pielęgniarka. Niedługo w białym stroju, wśród owacji mieszkańców będzie się defilować po ulicach w czasie pierwszego Święta Młodości i maszerować aż na stadion, gdzie między niebem a mokrą murawą, przy wtórze ryczącej muzyki, w poczuciu wielkości i samotności będzie się

wykonywać synchroniczne ćwiczenia gimnastyczne. Przemówienia zapewniały, że jesteśmy przyszłością.

Z hałaśliwej polifonii rodzinnych posiłków, zanim wybuchły kłótnie i zaczęło się obrażanie na śmierć i życie, docierały do nas strzępy innej wielkiej opowieści, wmieszane w wojenne historie – opowieści o początkach.

Wyłaniali się z niej ludzie, czasem określani wyłącznie stopniem pokrewieństwa, „ojciec", „dziadek", „prababka", sprowadzeni do jednej cechy charakteru, śmiesznej lub tragicznej anegdoty, do hiszpanki, zatoru czy kopnięcia przez konia, które przypieczętowały ich śmierć, dzieci, co nie dożyły naszego wieku, cała kohorta postaci, których nigdy się nie pozna. Latami rozplątywano nici czyjegoś trudnego do ustalenia miejsca w rodzinie, aż wreszcie prawidłowo ustalono stopień pokrewieństwa „z obydwu stron", oddzielając tych, co do nas w jakiś sposób przynależą, od tych, którzy nie mają z nami nic wspólnego.

Opowieść rodzinna i opowieść społeczna są tym samym. Głosy współbiesiadników określały granice młodości: wieś i gospodarstwa, w których jak sięgnąć pamięcią, mężczyźni zawsze byli parobkami, a dziewczyny służącymi, fabryka, gdzie wszyscy się poznali, chodzili ze sobą i się pobrali, drobne interesy, których dorobili się najbardziej ambitni. Głosy szkicowały historie pozbawione jakichkolwiek osobistych wydarzeń poza narodzinami, ślubami i pogrzebami, bez podróży, nie licząc wyjazdu do wojska w jakimś odległym mieście garnizonowym, istnienia wypełnione twardą i wyczerpującą pracą, niebezpieczeństwem uzależnienia od alkoholu. Szkoła była mitycznym tłem, krótkim złotym wiekiem, a nauczyciel nieczułym bogiem z metalową linijką, którą bił po łapach.

Głosy przekazywały spuściznę biedy i wyrzeczeń na długo poprzedzających wojnę i jej ograniczenia, zagłębiały się w odwiecznej nocy, „w tamtych czasach", z których wyłuskiwały przyjemności i udręki, zwyczaje i umiejętności:

mieszkać w domu z klepiskiem
nosić chodaki
bawić się szmacianą lalką
prać bieliznę w popiele

przyszywać dzieciom do koszuli w okolicy pępka napełniony czosnkiem woreczek, żeby je wyleczyć z robaków

być posłusznym rodzicom i dostawać w twarz, „Nauczy się grzecznie odpowiadać”

Katalogowały niewiedzę, wszystko, co niegdyś było nieznane i nigdy przedtem się nie zdarzało:

jeść czerwone mięso, pomarańcze

mieć ubezpieczenie społeczne, świadczenia rodzinne i emeryturę po ukończeniu sześćdziesiątego piątego roku życia

wyjeżdżać na wakacje

Przypominały to, z czego jest się dumnym:

strajki w trzydziestym szóstym, Front Ludowy, „Przedtem robotnik się nie liczył”

My, mały ludek, powróciwszy do stołu na deser, nasłuchiwaliśmy rubasznych historyjek, które zgromadzeni opowiadali sobie w nastroju rozluźnienia pod koniec posiłku, nie zwracając już uwagi na obecność najmłodszych, piosenek z czasów ich młodości, o Paryżu, dziewczynach, co wylądowały w rynsztoku, latawicach i apaszach, *Wielki Rudzielec*, *Jaskółka przedmieścia*, *Ten tytoń, co się go bierze w palce i skręca papierosa*, romanc o wielkiej litości i namiętności, w które śpiewająca z zamkniętymi oczami kobieta wczuwała się całym ciałem, wyciskając spod powiek zgromadzonych łzy, ocierane następnie rąbkiem serwetki. Gdy przychodziła nasza kolej, wzruszaliśmy biesiadników *Gwiazdą śniegów* André Claveau z repertuaru Line Renaud.

Z ręki do ręki podawano sobie zbrązowiałe fotografie, poplamione na odwrocie przez wszystkie palce, które trzymały je w czasie innych posiłków, mieszanina kawy i tłuszczu stopiona w nieokreślony kolor. W sztywnych i poważnych nowożeńcach, gościach weselnych pozujących piętrowo w kilku rzędach na tle jakiejś ściany nie rozpoznawało się ani swoich rodziców, ani nikogo. Nie siebie również widziało się w niemowlęciu nieokreślonej płci siedzącym nago na poduszce, lecz kogoś innego, istotę należącą do świata milczącego i niedostępnego.

Po wojnie, przy niekończących się świątecznych posiłkach, pośród śmiechów i zawołań: „No, dawaj, jeszcze za wcześnie na śmierć!”, pamięć

innych umieszczała nas w świecie.

Oprócz opowieści to sposoby chodzenia, siedzenia, mówienia i śmiania się, wołania kogoś na ulicy, jedzenia i chwytania przedmiotów utrwalały pamięć przekazywaną z ciała do ciała gdzieś z głębi francuskich i europejskich wiosek. Spuścizna niewidoczna na zdjęciach, która ponad indywidualnymi różnicami, dobrocią jednych i złym charakterem drugich, łączyła członków rodziny, mieszkańców dzielnicy i wszystkich tych, o których mówiło się, że są takimi samymi ludźmi jak my. Wachlarz przyzwyczajeń, suma gestów ukształtowanych przez dzieciństwo spędzone na wsi i wiek młodzieńczy w warsztacie, poprzedzone innymi dzieciństwami, aż po epoki, których się nie pamięta:

jeść głośno, w otwartych ustach pokazując stopniową metamorfozę pożywienia, wycierać wargi kawałkiem chleba, wyczyścić nim talerz tak dokładnie, że bez zmywania można by go schować do kredensu, dzwonić łyżeczką o dno kubka, przeciągać się po skończonym posiłku. Codziennie myć tylko twarz, a resztę ciała w zależności od stopnia zabrudzenia, dłonie i przedramiona po pracy, stopy i kolana dzieci w letnie wieczory, pełna toaleta była zarezerwowana na święta

chwytać rzeczy mocno, trzaskać drzwiami. Wszystko robić gwałtownie, czy chodziło o złapanie królika za uszy, pocałunek czy przyciśnięcie dziecka do łona. W czasie kłótni to wpadać do domu, to z niego wypadać, przestawiać krzesła

sadzić długie kroki, kołysząc ramionami, siadać ciężko, opadając na krzesło, stare kobiety w fartuchach z dłońmi na podołku, wstawać, szybkim ruchem odciągając spódnicę przyklejoną do pośladków

jeśli chodzi o mężczyzn, bezustannie wykorzystywać ręce do przenoszenia łopat, desek i worków z ziemniakami, zmęczonych dzieci, gdy się wracało z targu

natomiast w przypadku kobiet ściskać kolanami i udami młynek do kawy, butelkę do odkorkowania, kurę, której trzeba poderżnąć szyję tak, żeby krew ściekła do miednicy

mówić głośno, tonem w każdych okolicznościach gderliwym, jakby od zawsze trzeba się było stawiać wszechświatowi

Język, łamany francuski zmieszany z gwarą – nie dawało się go oddzielić od głosów mocnych i energicznych, ciał obleczonych w bluzy i kombinezony robocze, niskich domów z warzywnikami, popołudniowego szczekania psów i ciszy poprzedzającej kłótnie. Był z nimi powiązany tak samo, jak reguły gramatyczne i poprawna francuszczyzna z neutralną intonacją i białymi dłońmi nauczycielki. Ten język pozbawiony komplementów i pochlebstw, w którym mieściły się kamieniste plaże pod stromizną klifów, przenikliwy deszcz, nocniki opróżniane do kompostu i tanie wino pite przez robotników, był nośnikiem wierzeń i zaleceń:

obserwować księżyc, który wyznacza terminy porodu, wykopywania porów i dawania dzieciom środków na robaki

nie naruszać cyklu pór roku, czekać na właściwy czas, żeby przestać nosić płaszcz lub pończochy, podsunąć królicę samcowi, zasiać sałatę, być wiernym zasadzie, że na wszystko jest odpowiedni moment, bardzo cenny i trudny do uchwycenia, pomiędzy „zbyt wcześnie” a „za późno”, gdy przyroda jest łaskawa, dzieci i koty urodzone zimą rosną gorzej, a marcowe słońce sprawia, że traci się zmysły

na oparzenia przykładać surowe ziemniaki albo poprosić o „zatrzymanie ognia” sąsiadkę, która zna magiczną formułę, zranienia leczyć moczem

szanować chleb, w ziarnie pszenicy odciśnięta jest twarz Boga

Jak każdy język, ten także ustanawiał hierarchie, stygmatyzował leni, źle prowadzące się kobiety, różnych zboczeńców i niegodziwców, odstające od innych dzieci, chwalił ludzi zdolnych, uczciwe dziewczyny, uznawał tych, co na górze, i grube ryby, ostrzegał: „Życie cię nauczy”.

Wyrażał racjonalne pragnienia i nadzieję na „czystą” pracę pod dachem, jedzenie do syta i śmierć we własnym łóżku

ograniczenia: nie żądać gwiazdki z nieba, rzeczy ponad stan, być zadowolonym z tego, co się ma

obawę przed wyjazdami i nieznanym, bo kiedy się nigdy nie opuszcza domu, każde miasto leży na końcu świata

dumę i poczucie krzywdy: „To, że się jest ze wsi, nie znaczy, że jest się głupszym”

W odróżnieniu od rodziców nie opuszczaliśmy lekcji, żeby siać rzepak, strząsać jabłka i zbierać gałęzie na opał. Kalendarz szkolny zastąpił

przemianę pór roku. Lata, które rozciągały się przed nami, to były kolejne klasy, każda wyższa od poprzedniej, czasoprzestrzeń otwierająca się w październiku, a zamykająca w lipcu. Po rozpoczęciu roku szkolnego oklejało się niebieskim papierem podręczniki odziedziczone po uczniach wcześniejszej klasy. Patrząc na ich nie całkiem wytarte nazwiska na stronie tytułowej, na słowa, które podkreślili, mieliśmy wrażenie, że jesteśmy ich zmiennikami i że dodają nam otuchy – ci, którym udało się dobrnąć do końca, w rok przyswoić sobie wszystkie te rzeczy. Uczyliśmy się wierszy Maurice'a Rollinata, Jeana Richepina, Émile'a Verhaerena, Rosemonde Gérard, pieśni „Mój piękny świerku, królu lasów" i „Oto on w niedzielę w swej nowej majowej szacie". Staraliśmy się nie popełnić żadnego błędu w dyktandach Maurice'a Genevoix, La Varende'a, Émile'a Moselly'ego, Ernesta Pérochona. I recytowaliśmy reguły gramatyczne poprawnej francuszczyzny. Ale gdy tylko wracaliśmy do domu, odruchowo przechodziliśmy na nasz język pierwotny, niezmuszający do zastanawiania się nad słowami, tylko nad tym, co należało powiedzieć albo nie, język bliski ciału, połączony z wymierzaniem policzków, zapachem bluz pranych szarym mydłem, pieczonych jabłek jedzonych całą zimę, z odgłosem sikania do nocnika i chrapaniem rodziców.

Śmierć ludzi nic nas nie obchodziła.

Czarno-białe zdjęcie dziewczynki w ciemnym kostiumie kąpielowym na kamienistej plaży. W głębi klify. Siedzi na płaskiej skale, podpierając się dłońmi, mocne nogi wyciągnęła przed siebie, oczy ma zamknięte, głowę lekko odchyloną, uśmiecha się. Jeden gruby ciemny warkocz spoczywa na piersi, drugi pozostał na plecach. Wszystko to ujawnia pragnienie, by pozować jak gwiazdy w magazynie „Cinémonde" albo na reklamie kremu do opalania Ambre Solaire, by wyrwać się ze swojego upokarzającego i nic nieznaczącego ciała dziewczynki. Uda, jaśniejsze, podobnie jak górna część ramion odrysowują na opaleniźnie kształt sukienki i wskazują, że pobyt nad morzem albo krótka wycieczka są dla tego dziecka czymś wyjątkowym. Plaża jest pusta. Na odwrocie: „Sierpień 1949, Sotteville-sur-Mer".

Niedługo skończy dziewięć lat. Pojechała z ojcem na wakacje do wuja i ciotki, rzemieślników robiących liny. Matka została w Yvetot, żeby prowadzić sklep spożywczy połączony z kawiarnią, którego się nigdy nie zamyka. Zazwyczaj to matka zaplata jej włosy w dwa ciasne warkocze

i owija je jak koronę wokół głowy, mocując spinkami i wstążkami. Może ojciec ani ciotka nie umieją zapleść warkoczy w ten sposób, a może mała korzysta z nieobecności matki, żeby opadały luźno.

Trudno odgadnąć, o czym myśli lub marzy, w jaki sposób spogląda na lata, które dzielą ją od Wyzwolenia, co jest w stanie przypomnieć sobie bez wysiłku.

Być może tylko te obrazy ostaną się w pamięci:

przyjazd do zrujnowanego miasta i ucieczka suczki w rui

pierwszy dzień w szkole po feriach wielkanocnych, nikogo nie zna

wielka wycieczka całej rodziny od strony matki do Fécamp, wagon z drewnianymi ławkami, babka w czarnym kapeluszu ze słomy ryżowej i kuzyni rozbierający się na kamienistej plaży, ich nagie pośladki

poduszeczka na igły w kształcie kopyta, uszyta na Boże Narodzenie z kawałka koszuli

film *Pas si bête* z Bourvilem

potajemne zabawy, szczypanie się w uszy żabkami do firanek

Być może widzi, niby niezmierzoną przestrzeń, czas już spędzony w szkole, te trzy klasy, które ma za sobą, układ sali, rozmieszczenie ławek i biurka nauczycielki, tablicę, koleżanki:

Françoise C., której zazdrości tego, jak umie się wygłupiać w swojej czapce przypominającej kocią głowę, raz tamta poprosiła ją na przerwie, żeby jej pożyczyła chusteczkę do nosa, nasmarkała w nią obficie, zwinęła w kulkę i oddała, a potem odbiegła, jej poczucie zbrukania i wstydu, gdy trzymała tę chusteczkę w kieszeni płaszcza przez całą przerwę

Évelyne J., której pod ławką włożyła rękę do majtek i dotknęła małej lepkiej kulki

F., z którą nikt nie rozmawiał, wysłana do sanatorium, w dniu badania lekarskiego miała na sobie niebieskie męskie slipy poplamione kałem i wszystkie dziewczyny się z niej śmiały.

Poprzednie lata, już odległe, upał, cysterny, wyschnięte studnie, mieszkańcy stojący z miednicami w dłoniach w kolejce do hydrantu, Robic wygrał Tour de France, inne, dżdżyste lato, z matką i ciotką zbiera mule na plaży w Veules-les-Roses, pochyla się nad jakąś rozpadliną w klifie i widzi ciało martwego żołnierza, który wraz z innymi zostanie później wygrzebany, żeby ich pochować gdzie indziej.

Chyba że wolała, jak zawsze, rozmaite kombinacje wyobraźni snute na podstawie książek z „Zielonej Biblioteki” albo opowiadań z „Tygodnia Suzette” i marzeń o swojej przyszłości, takiej, jaką przeczuwa, słuchając w radiu piosenek o miłości.

Bez wątpienia w jej myśli nie ma nic z tego, co zostanie później uznane za element pejzażu dzieciństwa, ogółu rzeczy, o których się wiedziało i które wisiały w powietrzu, prezydenta Vincenta Auriola, wojny w Indochinach, Marcela Cerdana jako mistrza świata w boksie, *Szalonego Piotrusia* i trującej arszenikiem Marie Besnard[15].

Pewne jest tylko jej pragnienie, żeby być dorosłą. I brak tego wspomnienia: pierwszego razu, gdy powiedziano jej „to ty”, wskazując na zdjęcie dziecka w koszuli, na poduszce, pomiędzy innymi identycznymi, owalnymi i ciemnobrązowymi fotografiami, konieczność patrzenia jak na siebie na tę inną istotę o pulchnym ciele, żyjącą tajemniczą egzystencją w czasie, który minął.

Francja była ogromna i złożona z populacji różniących się od siebie tym, co jadły, i jak mówiły. W lipcu przemierzali ją kolarze, a etapy Tour de France śledzono na mapie Michelina przypiętej pinezkami do ściany w kuchni. Życie większości ludzi rozgrywało się jednak w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Gdy w kościele rozbrzmiewał zwycięski pomruk kolędy *Bądź u nas Panią*, wiedziano, że „u nas” oznaczało tam, gdzie się mieszka, miasto, najwyżej departament. Egzotyką tchnęło już w najbliższym dużym mieście. Reszta świata była nierealna. Najbardziej wykształceni lub tacy, którzy do tego aspirowali, zapisywali się na wykłady w klubie Poznaj Świat. Inni czytali „Reader’s Digest” albo „Constellation – Świat Widziany po Francusku”. Pocztówka wysłana z Bizerty przez kuzyna, który odbywał tam służbę wojskową, wprawiała w rozmarzone osłupienie.

Paryż uosabiał piękno i moc, tajemniczą, przerażającą całość, a każda jego ulica wspomniana w gazecie albo w reklamie, boulevard Barbès, rue Gazan, rue Jean Mineur 116, avenue des Champs Élysées, podniecała wyobraźnię. Ludzi, którzy tam mieszkali, albo przynajmniej wybrali się na wycieczkę, opromieniał blask wyższości. W letnie wieczory pod koniec długich zakurzonych dni wakacji szło się na dworzec w godzinie przyjazdu

ekspresu, by popatrzeć na tych, którzy jakiś czas temu wyjechali gdzieś daleko, a teraz wysiadali z walizami, z torbami pełnymi zakupów z domu handlowego Printemps, na pielgrzymów powracających z Lourdes. Piosenki przywołujące nieznane regiony, Południe, Pireneje, takie jak *Fandango z kraju Basków, Włoskie góry* czy *Mexico*, wzbudzały pragnienie. W obrębionych różem chmurach nad zachodzącym słońcem widziało się maharadżów i hinduskie pałace. Skarżyło się rodzicom: „Nigdzie nie wyjeżdżamy!”, na co odpowiadali zdumieni: „A gdzie niby chciałabyś pojechać, czy nie jest ci dobrze tu, gdzie jesteś?”.

Wszystko, co znajdowało się w domach, zostało kupione przed wojną. Garnki były poczerniałe i pozbawione uchwytów, emaliowane miski obtłuczone, dzbany dziurawe, załatane domowym sposobem. Płaszcze się przerabiało, kołnierzyki koszul odwracało na lewą stronę, dawne niedzielne ubrania nosiło na co dzień. Matki zmuszane nieustannie do przedłużania sukienek paskiem materiału i kupowania butów o numer większych, które i tak za rok okazywały się za małe, narzekały, że nie przestaje się rosnąć. Wszystkiego używało się aż do całkowitego wykończenia, piórnika, pudełka farbek Lefranc i opakowania po herbatnikach Lu. Niczego się nie wyrzucało. Zawartość nocnika służyła do użyźnienia ogródka, odchody zgarnięte z ulicy po przejeździe konia do nawożenia kwiatów, gazety do zawijania warzyw, suszenia przemoczonych butów, podcierania się w wychodku.

Brakowało wszystkiego. Przedmiotów, obrazów, rozrywek, wyjaśnień na temat samego siebie i w sprawach dotyczących świata. Ograniczały się do katechizmu i kazań wielkopostnych ojca Riqueta, nowin z dnia jutrzejszego wygłaszanych grubym głosem Geneviève Tabouis[16] i opowieści kobiet omawiających życie swoje i swoich sąsiadów przy popołudniowej filiżance kawy. Dzieci długo wierzyły w Świętego Mikołaja i noworodki znajdowane w kwiecie róży lub w kapuście.

Ludzie przemieszczali się pieszo albo na rowerze, niespiesznie i miarowo, mężczyźni z szeroko rozstawionymi kolanami i dołem nogawek spiętym klamerką, kobiety z pośladkami obciągniętymi spódnicą kreślili płynne linie w spokoju ulic. Cisza była tłem rzeczy, a rower odmierzał prędkość życia.

Żyło się w pobliżu gówna. Wzbudzało śmiech.

We wszystkich rodzinach zdarzało się, że umierało dziecko. W wyniku nagłej i nieuleczalnej choroby, biegunki, ataku konwulsji, dyfterytu. Śladem po jego krótkim pobycie na ziemi były grób w kształcie łóżeczka z metalowymi prętami i napisem „Powiększył grono aniołków”, zdjęcia, które pokazywało się, dyskretnie ocierając łzę, rozmowy półgłosem, niemal spokojne, budzące przerażenie żywych dzieci, które czuły się jak następne w kolejce. Niebezpieczeństwo przestanie im grozić dopiero około dwunastego roku życia, gdy już przejdą koklusz, różyczkę, ospę wietrzną, świnkę, zapalenia ucha, dopadające je każdej zimy bronchity, unikną gruźlicy i zapalenia opon mózgowych oraz kiedy się stwierdzi, że nabrały ciała. Tymczasem „wojenne dzieci”, blade, anemiczne, z białymi plamami na paznokciach, musiały pić tran i środek na robaki marki Lune, chrupać pastylki Jessel, ważyć się w aptece i chodzić okutane szalikami, żeby uniknąć najlżejszego przeziębienia, jeść zupę, żeby urosnąć, i trzymać się prosto, gdyż w przeciwnym razie groził im żelazny gorset. Dzieci, które zaczęły się licznie rodzić w tych latach, były szczepione, otaczane troską, co miesiąc poddawane akcji ważenia w merostwie. Tytuły gazet alarmowały, że ciągle jeszcze umierało ich co roku pięćdziesiąt tysięcy.

Wrodzony idiotyzm nie budził lęku. Bano się szaleństwa, ponieważ ludziom normalnym przydarzało się nagle, w niewytłumaczalny sposób.

Rozmazane i uszkodzone zdjęcie dziewczynki stojącej przy barierce na moście. Ma krótkie włosy, chude uda i sterczące kolana. Razi ją słońce, więc osłania dłonią oczy. Śmieje się. Na odwrocie napis: „Ginette 1937”. Na jej grobie: „Zmarła w wieku sześciu lat w Wielki Czwartek 1938 roku”. To starsza siostra dziewczynki z plaży w Sotteville-sur-Mer.

Chłopców i dziewczęta wszędzie od siebie oddzielano. Chłopcy, istoty hałaśliwe, niepłaczące, zawsze gotowe czymś rzucić, kamykiem, kasztanem, petardą, twardą śnieżką, mówili brzydkie słowa, czytali *Tarzana* i *Bibiego Fricotina*. Dziewczętom, które bały się chłopaków, zalecano, aby ich nie naśladowały, wybierały spokojne gry, taniec w kółeczku, grę w klasy. W zimowe czwartki[17] prowadziły więc lekcje dla starych guzików lub figurek wyciętych z „Echa Mody”, ułożonych na kuchennym

stole. Zachęcane przez matki i szkołę były donosicielkami, „Bo powiem mamie” lub „pani” było ich ulubioną groźbą. Nawoływały się: „Hej, ty, jakcitam!”, wysłuchiwały niegrzecznych historii i powtarzały je, zasłaniając dłonią usta, śmiały się ukradkiem z losów Marii Goretti[18], co wolała umrzeć, niż zrobić z chłopakiem to, czego one nie mogły się już doczekać, do czego bardzo chciały mieć prawo, same aż się bały swojego zepsucia, którego istnienia nie podejrzewali dorośli. Marzyły, żeby mieć wreszcie piersi i włosy łonowe, zakrwawioną szmatkę w majtkach. Tymczasem przeglądały komiksy o Bécassine[19] i *Les Patins d’argent* P.-J. Stahla, czytały *En famille* Hectora Malota, z całą szkołą chodziły do kina, żeby obejrzeć *Księdza Wincentego*, *Le Grand Cirque* i *Bitwę o szyny*, podnoszące na duchu i dodające odwagi produkcje, które tłumiły złe myśli. One jednak wiedziały, że rzeczywistość i przyszłość znajdują się w filmach z Martine Carol[20] i gazetach, których tytuły, „My Dwoje”, „Zwierzenia” i „Intymność”, zapowiadały wymarzoną a zakazaną nieprzyzwoitość.

Nowo odbudowywane domy wyłaniały się z ziemi w bezustannym zgrzycie dźwigów. Racjonowanie żywności dobiegło końca i przybywało nowości, na tyle pomału, by można je było przyjmować z radosnym zdziwieniem, a ich użyteczność oceniać i szczegółowo omawiać. Pojawiały się ni stąd, ni zowąd, jak w baśniach, niesłychane, nieprzewidywalne. Było ich tyle, że starczało dla wszystkich, długopisy Bic, szampony w saszetkach, wykładziny podłogowe Bulgomme i Gerflex, tampony i kremy na zbędne owłosienie, plastik Gilac, włókna syntetyczne Tergal, świetlówki, mleczna czekolada z orzechami, motorowery Vélosolex i chlorofilowa pasta do zębów. Nie sposób się było nadziwić, ile czasu można zaoszczędzić dzięki zupom w proszku, szybkowarom i majonezowi w tubce, wszyscy woleli konserwy od świeżych produktów, uważając, że szykowniej jest podawać gruszki w syropie niż świeże i groszek z puszki niż ten prosto z ogrodu. „Przyswajalność” jedzenia, witaminy i „linia” zaczynały się liczyć. Rozpływano się nad wynalazkami, które wymazywały wieki dawnych gestów i wysiłków, inaugurowały czas, gdy, jak mówiono, nie będzie już trzeba nic robić. Ale niektóre nowinki krytykowano: pralkę za to, że niszczy bieliznę, telewizję za to, że psuje wzrok i ludzie chodzą przez nią spać o nieodpowiedniej porze. Z zawiścią wypatrywano, czy sąsiedzi posiadają już te symbole postępu, będące znakiem społecznej wyższości. W mieście

chłopacy popisywali się, krążąc wokół dziewczyn na swoich skuterach. Jeden czy drugi, dumny jak paw, zabierał którąś z nich na siodełko, a ona, w chustce zawiązanej pod brodą, obejmowała go od tyłu w pasie, żeby nie spaść. Kiedy się widziało, jak z rykiem silnika znikają w wylocie ulicy, chciało się w jednej chwili być starszą o trzy lata.

Reklama z władczym entuzjazmem zachwalała jakość przedmiotów: „Meble Lévitan mają długoletnią gwarancję!”, „Chantelle, pasek do pończoch, który się nie podnosi!”, „Oliwa Lesieur po trzykroć lepsza!”. Raz ośpiewywała je wesoło: „Dop, dop, dop, używajcie szamponu Dop”, „Colgate, Colgate to zdrowie waszych zębów”, raz z rozmarzeniem: „Gdy »Elle« będzie z wami, w domu zapanuje szczęście”, to znów gruchała głosem Luisa Mariano: „Pokazujesz swój kobiecy gust, gdy w stanik Lou oblekasz biust”. Kiedy odrabiało się lekcje przy kuchennym stole, reklamy z Radia Luksemburg, niczym piosenki, przynosiły pewność szczęścia w przyszłości i poczucie, że jest się otoczoną nieobecnymi rzeczami, które będzie się miało prawo kupić później. Czekając, aż wystarczająco się urośnie, by móc się malować szminką Pocałunek i nosić perfumy Bourjois „z »r« jak »radość«”, kolekcjonowało się plastikowe zwierzątka ukryte w opakowaniach kawy i obrazki z bajkami La Fontaine’a z tabliczek czekolady Menier, którymi wymieniało się później na przerwach.

Miało się czas pragnąć rzeczy, plastikowego etui, butów na kauczukowej podeszwie, złotego zegarka. Ich posiadanie nie rozczarowywało. Obnoszono się z nimi, chciano, żeby inni je podziwiali. Były w nich tajemnica i magia, której nie wyczerpywało patrzenie na nie i posługiwanie się nimi. Gdy weszło się już w posiadanie tych cudów, obracało się je w dłoniach, w dalszym ciągu oczekując od nich nie wiadomo czego.

Horyzontem istnienia był postęp. Oznaczał dobrostan, zdrowie dzieci, rozświetlone domy i jasne ulice, wiedzę, wszystko, co odwracało się plecami do czarnych rzeczy kojarzących się ze wsią i z wojną. Był w plastiku i melaminie, w antybiotykach i świadczeniach opieki społecznej, w bieżącej wodzie w kranie i kanalizacji, w letnich koloniach, w możliwości nauki, w atomie.

„Trzeba być na czasie”, powtarzano do znudzenia, jakby to był dowód na inteligencję i otwartość umysłu. W siódmej klasie podstawówki zachęcano nas do pisania wypracowań o „dobrodziejstwach elektryczności”

albo odpowiedzi „komuś, kto w waszej obecności krytykuje nowoczesny świat”. Rodzice zaświadczali: „Młodzi będą wiedzieć więcej niż my”.

W rzeczywistości ciasnota mieszkań zmuszała dzieci i rodziców, braci i siostry do spania w jednym pokoju, toaletę w dalszym ciągu robiło się nad miednicą, za potrzebą szło się do wygódki, a frotowe podpaski odmakały z krwi w wiadrach z zimną wodą. Przeziębienia i bronchity kurowano okładami z gorczycy. Rodzice leczyli grypę aspiryną z grogiem. Mężczyźni bez skrępowania sikali na dworze, a pójście na studia budziło nieufność, obawę, że z powodu niejasnej sankcji, kary za chęć wspięcia się zbyt wysoko, z pewnością się od nich zwariuje. W żadnych ustach nie było kompletu zębów. Epoka, mówiono, nie jest taka sama dla wszystkich.

Bieg czasu pozostał niewzruszony, odmierzany rozrywkami, które nie postępowały za obfitością i nowością rzeczy. Na wiosnę powracały komunie, Święto Młodości i parafialny odpust, przyjeżdżał cyrk Pinder, paradujące słonie od razu wypełniały ulicę swoim szarym ogromem. W lipcu Tour de France, którego przebieg śledziło się przez radio, wklejając do zeszytu wycięte z gazety zdjęcia Geminianiego, Darrigade’a i Coppiego. Na jesieni karuzele i budki z atrakcjami w wesołym miasteczku. Elektrycznymi samochodzikami jeździło się tak długo, że miało się dość na cały rok, przy akompaniamencie trzasków, pod iskrami lecącymi z metalowych pałąków, zagrzewani głosem grzmiącym: „Dalej, młodzi! Do przodu, małe bolidy!”. Na estradzie zawsze ten sam chłopak z nosem pomalowanym na czerwono naśladował Bourvila[21], a wydekoltowana pomimo zimna kobieta zachęcała, obiecując ogniste widowisko: „Folies Bergère między dwunastą a drugą w nocy”, dozwolone od lat szesnastu. Wpatrywało się uważnie w twarze tych, którzy odważyli się wejść za kotarę i wychodzili w kpiarskim nastroju po tym, co tam zobaczyli. W woni stęchłej wody i przypalonego tłuszczu wietrzono lubieżność.

Później miało się już prawo uchylić zasłonę namiotu. Trzy kobiety w bikini tańczyły bez muzyki na podłodze z desek. Światło gasło i zapalało się ponownie: kobiety stały nieruchomo, twarzami ku nielicznej publiczności, z obnażonymi piersiami, a na asfaltowym placu przed merostwem z głośnika dudniło „Hej mambo, mambo italiano” Dario Moreny.

Religia stanowiła oficjalne ramy życia i regulowała czas. Gazety proponowały jadłospisy na okres postu, o którego kolejnych etapach, począwszy od Siedemdziesiątnicy aż do Wielkanocy, informował kalendarz pocztowy. W piątki nie jadało się mięsa. Niedzielna msza stanowiła okazję do zmiany bielizny, włożenia po raz pierwszy jakiejś nowej części garderoby, kapelusza i rękawiczek, zabrania torebki, zobaczenia ludzi i bycia widzianym, wodzenia wzrokiem za ministrantami. Była dla wszystkich zewnętrzną oznaką moralności i pewnością przeznaczenia zapisaną w szczególnym języku – po łacinie. Czytanie co tydzień tych samych modlitw z książeczki do nabożeństwa, znoszenie tej samej rytualnej nudy miało oczyszczający wymiar próby, po której nagrodą była przyjemność zjedzenia kurczaka i ciastek z cukierni, a potem pójście do kina. To, że nauczyciele i ludzie wykształceni w nic nie wierzą, wydawało się anomalią. Religia stanowiła wyłączne źródło moralności i tylko ona nadawała ludziom godność, gdyż bez niej nie byłoby żadnej różnicy między życiem człowieka i psa. Prawo Kościoła uważano za ważniejsze od wszystkich innych praw, a wielkie chwile egzystencji jedynie z niego czerpały zasadność: „Ludzie, którzy nie biorą ślubu w kościele, w istocie nie są małżonkami”, orzekał Katechizm. Prawdziwa była tylko religia katolicka, wszystkie inne były fałszywe lub śmieszne. Na szkolnym dziedzińcu wykrzykiwano: „Mahomet był prorokiem / Bardzo wielkiego Allacha / Sprzedawał orzeszki arachidowe / Na rynku w Biskirze / Jakby to były orzeszki laskowe / Toby było bardziej fajowe / Ale ich nie sprzedaje / Allach (3 razy)”.

Z niecierpliwością czekało się na uroczystą komunię, chwalebny pierwszy krok do wszystkich ważnych rzeczy, które miały nastąpić później: miesiączki, ukończenia szkoły podstawowej, dostania się do gimnazjum. Siedząc w dwóch rzędach ławek, chłopcy w ciemnych garniturach z opaskami na ramieniu i dziewczęta w długich sukienkach z białymi welonami przypominali nowożeńców, którymi, dobrawszy się w pary, zostaną już za dziesięć lat. Gdy wspólnym głosem wygrzmiało się na nieszporach: „Wyrzekam się szatana i na zawsze oddaję Jezusowi”, można sobie było potem odpuścić praktyki religijne, zostało się już pasowanym na chrześcijanina, wyposażonym w niezbędny i wystarczający bagaż, aby czuć się członkiem dominującej wspólnoty i żywić przekonanie, że „po śmierci na pewno coś jest”.

Wszyscy potrafili odróżnić to, co należało robić, od tego, czego nie należało, Dobro od Zła, ocenę moralną dało się wyczytać ze skierowanego na siebie spojrzenia innych. Po ubiorze odróżniało się małe dziewczynki od nastolatek, nastolatki od dziewczyn, te z kolei od młodych kobiet, matki od babek, robotników od kupców i urzędników. Bogaci mówili o zbyt dobrze ubranych sprzedawczyniach i stenotypistkach: „Założyła na siebie wszystko, co miała".

Publiczne czy prywatne, wszystkie szkoły były do siebie podobne, stanowiły miejsce przekazywania niewzruszonej wiedzy w ciszy, dyscyplinie i szacunku dla hierarchii, całkowitym podporządkowaniu: nosić fartuszek, na dźwięk dzwonka ustawiać się w szeregu, wstawać, gdy wchodzi dyrektorka, ale nie gdy nauczycielka, zaopatrzyć się w „przepisowe" zeszyty, pióra i ołówki, w milczeniu znosić uwagi, spodnie zimą wolno wkładać tylko pod spódnicę. Prawo zadawania pytań przysługiwało wyłącznie profesorom. Jeśli nie rozumieliśmy jakiegoś słowa lub wyjaśnienia, była to nasza wina. Jak z przywileju było się dumnym z tego, że jest się poddanym ścisłym regułom i zamknięciu. Mundurek narzucony przez szkoły prywatne stanowił widoczną oznakę ich doskonałości.

Programy się nie zmieniały. *Lekarz mimo woli* w pierwszej klasie gimnazjum, *Szelmostwa Skapena*, *Pieniacze* i *Les Pauvres Gens* w drugiej, *Cyd* w trzeciej i tak dalej. Te same podręczniki: Malet-Isaac do historii, Demangeon do geografii, Carpentier-Fialip do angielskiego. Ten zestaw wiedzy był przekazywany mniejszości, z roku na rok coraz bardziej utwierdzanej w przekonaniu o swojej inteligencji i uprzywilejowaniu, od „*rosa*, *rosam*", przez zadania z trygonometrii, po „Rzym, jedyny przedmiot mojej nienawiści"[22], podczas gdy najliczniejsi w dalszym ciągu mieli problemy z rozwiązaniem zadań o pociągach, liczeniem w pamięci i zaśpiewaniem *Marsylianki* w czasie ustnej części egzaminu. Otrzymanie świadectwa ukończenia szkoły podstawowej było wydarzeniem odnotowywanym w gazetach, które publikowały nazwiska absolwentów. Ci, co nie zdali, musieli się zmierzyć z piętnem naznaczającym niegodnych, nie byli zdolni. Powszechna pochwała wykształcenia ukrywała jego wybiórczość.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, by mijając na ulicy koleżankę z ławki, która poszła do szkoły handlowej lub na staż w zakładzie pracy, przystanąć

i z nią porozmawiać, podobnie jak poza szkołą nie zechciałaby nas obrzucić spojrzeniem córka notariusza, której opalenizna, blednąca z wolna po powrocie z zimowych wakacji w górskim kurorcie, była oznaką wyższej pozycji społecznej.

Praca, wysiłek i silna wola były miarą poprawnego zachowania. W dniu rozdania nagród otrzymywało się książki wychwalające heroizm pionierów lotnictwa, generałów i kolonizatorów, Mermoza, Leclerca, de Lattre de Tassigny'ego, Lyauteya. Nie zapominano też o codziennej, cywilnej odwadze, należało podziwiać ojca rodziny, „tego awanturnika świata współczesnego" (Péguy), „skromne życie na monotonnych i prostych pracach spędzone" (Verlaine), skomentować w wypracowaniu sentencje Georges'a Duhamela i de Saint-Exupéry'ego, „lekcję energii bohaterów Corneille'a", wykazać, „jak miłość do rodziny prowadzi do umiłowania ojczyzny", i że „praca oddala od nas nasze trzy niedole: nudę, występek i ubóstwo" (*Kandyd* Voltaire'a[23]). Czytało się katolickie czasopisma dla dzieci, „Walecznego" i „Dusze Nieustraszone".

Aby umocnić młodzież w tym ideale i fizycznie ją zahartować, utrzymać z dala od pułapek lenistwa i ogłupiających zajęć (lektury i kina), wychować na „dzielnych młodych mężczyzn" oraz „przyzwoite, prawe i praktyczne dziewczęta", zalecano rodzicom, aby zapisywali swe pociechy do Lwiątek, Pionierów, Przewodników oraz Janeczek, Krzyżowców, Franków i Frankijskich Towarzyszek. Wieczorem wokół ogniska lub o świcie na leśnej ścieżce, gdy po wojskowemu krzepko dzierżyło się proporzec, intonując „Hej ho, hej ho!", dopełniał się magiczny związek przyrody, porządku i moralności. Z okładek konserwatywnej „La Vie catholique" i komunistycznej „L'Humanité" promienne twarze spoglądały w przyszłość. Ta zdrowa młodzież, ci synowie i te córy Francji, miała przejąć pałeczkę od swych starszych braci, bojowników ruchu oporu, jak wykrzyknął prezydent René Coty w żarliwym przemówieniu wygłoszonym w lipcu 1954 roku na placu Dworcowym, ponad głowami uczniów zgrupowanych szkoła obok szkoły, gdy tymczasem po niebie przepływały chmury zwiastujące całkowicie deszczowe lato.

Wiadomo było, że poniżej ideałów i jasnych oczu rozciągało się bezkształtne, lepkie terytorium zawierające słowa i przedmioty, obrazy i zachowania: dziewczyny z dziećmi, handel białymi kobietami, afisze do

filmu *Caroline chérie*, angielskie prezerwatywy, tajemnicze reklamy o „higienie intymnej – dyskrecja zapewniona”, okładki magazynu „Guérir”[24], „Kobiety są płodne tylko przez trzy dni w miesiącu”, dzieci miłości, występki przeciw moralności, Janet Marshall uduszona w lesie swoim biustonoszem przez Roberta Avrila[25], cudzołóstwo, słowa „lesbijka”, „pederasta”, „rozkosz”, wstydliwe uczynki wyznawane na spowiedzi, poronienia, nieprzyzwoite obyczaje, książki na indeksie, „A wszystko dlatego, że w lesie Chaville”[26], wolne związki i tak bez końca. Suma rzeczy nienazwanych – które znali podobno tylko dorośli – a wszystkie sprowadzały się do narządów płciowych i ich funkcji. Seks był jednym wielkim obiektem podejrzeń, a społeczeństwo wszędzie dopatrywało się jego przejawów, w dekoltach, wąskich spódnicach, paznokciach pomalowanych na czerwono, czarnej bieliźnie, bikini, koedukacji, ciemności sal kinowych, toaletach publicznych, muskułach Tarzana, kobietach, co palą i zakładają nogę na nogę, muśnięciu sobie włosów podczas lekcji i tak dalej. To było pierwsze kryterium oceny dziewczyn, dzielące je na „przyzwoite” i „te, które źle się prowadzą”. „Ocena moralności” filmów wyświetlanych w danym tygodniu wywieszana na drzwiach kościoła dotyczyła wyłącznie seksu.

Ale czasem udawało się zmylić czujność, szło się do kina na *Manina, la fille sans voiles* albo *La Rage au corps* z Françoise Arnoul. Chciało się być podobną do bohaterek, cieszyć się wolnością i zachowywać jak one. Jednak między książkami i filmami a regułami dyktowanymi przez społeczeństwo rozciągała się przestrzeń zakazów i etycznego osądu, nie miało się prawa do tego utożsamienia.

W tych warunkach, zanim uzyskało się przyzwolenie na seks małżeński, lata masturbacji ciągnęły się w nieskończoność. Trzeba było żyć z tym pragnieniem rozkoszy, które uchodziło za zarezerwowane wyłącznie dla dorosłych, a przecież domagało się zaspokojenia bez względu na cenę, wbrew wszelkim próbom odwrócenia uwagi i modlitwom, tak że nosiło się odtąd sekret umiejscawiający człowieka pośród zboczeńców, histeryczek i kurew.

W słowniku Larousse’a stało, jak następuje:

„Onanizm: ogół sposobów stosowanych, aby sztucznie doprowadzić do osiągnięcia rozkoszy seksualnej. Onanizm prowadzi często do ciężkich

przypadłości, toteż należy pilnować dzieci zbliżających się do dojrzałości płciowej. Zaleca się stosować na przemian preparaty na bazie bromu, hydroterapię, gimnastykę, ćwiczenia, leczenie wysokością, wojskową dyscyplinę i terapię arszenikiem”.

W łóżku lub w wychodku masturbowało się pod okiem całego społeczeństwa.

Chłopcy byli dumni, że idą do wojska, i uważało się, że do twarzy im w mundurach. Wieczorem po kwalifikacji w komisji poborowej robili obchód kawiarni, żeby uczcić dzień, gdy zostali uznani za prawdziwych mężczyzn. Przed odbyciem służby wojskowej byli jeszcze dziećmi, nie mieli żadnej wartości ani na rynku pracy, ani jako kandydaci do małżeństwa. Po powrocie z wojska mogli mieć żonę i dzieci. Mundur, w którym paradowali po dzielnicy, gdy przyjeżdżali na przepustki, opromieniał ich patriotycznym pięknem i potencjałem poświęcenia.

Otaczała ich aura zwycięskich kombatantów, frontowych wiarusów. Szorstki materiał ich bluz, muskany, gdy stawało się na czubkach palców, żeby ich pocałować, ucieleśniał absolutną przepaść oddzielającą świat mężczyzn od świata kobiet. Patrząc na nich, miało się wrażenie heroizmu.

Dni naznaczone niezmiennością rzeczy, zeszłorocznymi afiszami cyrkowymi ze zdjęciem Rogera Lanzaca, obrazkami z pierwszej komunii rozdawanymi koleżankom, Klubem Śpiewaków Radia Luksemburg wypełniały się nowymi pragnieniami. W niedzielę po południu stawało się przed witryną sklepu elektrycznego i przyklejało do szyby, za którą migotał odbiornik telewizyjny. Kawiarnie inwestowały w zakup telewizorów, żeby przyciągnąć klientelę. Na zboczach wzgórz wiły się szlaki motocrossu i przez cały dzień oglądało się, jak jeżdżą nimi w górę i w dół ogłuszające maszyny. Rosnąca niecierpliwość handlu z jego nowymi sloganami – „inicjatywa”, „dynamizm” – wstrząsała spokojną codziennością miast. Nowym wiosennym obrzędem po przyjeździe wesołego miasteczka a przed odpustem stawała się dwutygodniowa wyprzedaż o nazwie La Quinzaine commerciale. Z głośników na ulicach centrum, w przerwach pomiędzy piosenkami Annie Cordy i Eddiego Constantine’a, leciały zachęty do robienia zakupów, a w nagrodę można było wygrać simcę albo komplet mebli do jadalni. Na podium przed merostwem lokalny animator rozśmieszał publiczność kawałami Rogera Nicolasa i Jeana Richarda i zachęcał kandydatów do wzięcia udziału w quizach, niczym w radiu.

W kącie podium tronowała Królowa Handlu w koronie. Ludzie mówili: „Nadchodzą zmiany” albo „Nie można ciągle siedzieć w domu, bo człowiek zatęchnie”.

Rozproszona radość przenikała uczniów szkół średnich, którzy w swoim gronie organizowali *surpaty*, czyli *surprise parties*, imprezy niespodzianki, i wymyślali nowy język, do każdego zdania wtrącali „fajowo” albo „w dechę”, zabawiali się, naśladując akcent paryskiej snobki, grali w piłkarzyki, a pokolenie rodziców nazywali „wapniakami”. Naśmiewali się z Yvette Horner, Tino Rossiego i Bourvila. Niejasno szukali idoli. Entuzjazm wzbudzał Gilbert Bécaud i krzesła połamane na jego koncercie. Słuchało się radia Europe n$^{o}$ 1, gdzie puszczano tylko muzykę, piosenki i reklamy.

Na czarno-białym zdjęciu dwie dziewczyny w jakiejś alei, ramię przy ramieniu, obie trzymają ręce za plecami. W tle krzewy i wysoki ceglany mur, nad nimi niebo z wielkimi białymi chmurami. Na odwrocie zdjęcia: „Lipiec 1955 roku w ogrodach pensjonatu Saint-Michel”.

Ta, która stoi po lewej, jest wyższa, ma krótko obcięte, zmierzwione blond włosy, jasną sukienkę i skarpetki, jej twarz kryje się w cieniu. Ta po prawej, brunetka z krótkimi kręconymi włosami, stoi w słońcu, pełna twarz, na nosie okulary, wysokie czoło, ciemny sweterek z krótkimi rękawami, spódnica w grochy. Obie mają na nogach balerinki, brunetka bez skarpetek. Żeby zrobić to zdjęcie, musiały zdjąć szkolne fartuszki.

Mimo że w brunetce trudno rozpoznać dziewczynkę z warkoczami sfotografowaną na plaży, dziewczynkę, która przecież mogła stać się blondynką, to właśnie ona, a nie blondynka, jest świadomością umiejscowioną w tym oto ciele, niepowtarzalną pamięcią, która pozwala potwierdzić, że jej kręcone włosy są efektem trwałej, robionej rytualnie każdego maja od czasu pierwszej komunii, że jej spódnica została przerobiona z letniej sukienki noszonej poprzedniego lata, która stała się na nią za ciasna, a sweterek zrobiła na drutach sąsiadka. To dzięki spostrzeżeniom i wrażeniom noszącej okulary czternastoipółlatki o ciemnych włosach ten tekst może odnaleźć i opisać coś, co prześlizgiwało się przez lata pięćdziesiąte, uchwycić odbicie rzucone przez zbiorową historię na ekran indywidualnej pamięci.

Poza balerinkami nic w stroju tej dziewczyny nie odzwierciedla „tego, co się nosi” w tamtym czasie, chociaż widać to w czasopismach o modzie i w wielkomiejskich sklepach, spódnica w szkocką kratę do pół łydki, czarny sweterek i wielki naszyjnik, koński ogon z grzywką *à la* Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach*. Zdjęcie mogłoby pochodzić z końca lat czterdziestych lub z początku sześćdziesiątych. W oczach tych wszystkich, którzy urodzili się później, jest po prostu stare, należy do prehistorii patrzącego, w której spłaszczają się wszystkie poprzedzające go życia. A przecież to światło rozjaśniające połowę twarzy dziewczyny i jej sweterek pomiędzy sterczącymi piersiami było namacalnym doznaniem ciepła czerwcowego słońca w roku, którego ani historycy, ani wówczas żyjący nie pomylą z żadnym innym, 1955.

Być może dziewczyna nie zauważa przepaści oddzielającej ją od koleżanek z klasy, tych, z którymi nie przyszłoby jej do głowy zrobić sobie zdjęcia. Tę przepaść widać w rozrywkach, sposobie spędzania czasu poza szkołą, ogólnym stylu życia, oddalającym ją zarówno od dobrze usytuowanych, jak i tych, które już pracują w biurach czy warsztatach. A może dostrzega tę przepaść, lecz się nią nie przejmuje.

Jeszcze nigdy nie była w Paryżu, leżącym sto czterdzieści kilometrów od jej rodzinnego miasta, ani na żadnym surpacie, nie ma adapteru. Odrabiając lekcje, słucha piosenek z radia, zapisuje ich słowa w zeszycie i całymi dniami nosi je w głowie, idąc gdzieś albo podczas lekcji, „Ty, co mówiłeś, co mówiłeś, że mnie kochasz, co zrobiłeś ze swoją miłością, że płacze na deszczu”.

Nie rozmawia z chłopcami, ale cały czas o nich myśli. Chciałaby mieć prawo pomalować sobie usta, nosić pończochy i buty na wysokich obcasach (wstydzi się skarpetek, zdejmuje je, gdy jest poza domem), żeby pokazać, że należy do kategorii prawie dorosłych dziewczyn i że na ulicy można za nią wodzić wzrokiem. W tym celu w niedzielę do południa snuje się po mieście w towarzystwie dwóch czy trzech koleżanek z tego samego „prostego” środowiska, co ona, pilnując, aby nie złamać surowego matczynego nakazu powrotu na czas („Kiedy mówię, że o tej godzinie, to o tej godzinie i ani minuty później”). Odbija sobie ogólny zakaz wychodzenia lekturą gazetowych powieści (*Panie na Mogadorze*, *Afin que nul ne meure*, *Moja kuzynka Rachel*, *Cytadela*). Bezustannie zatraca się w wyobrażonych opowieściach i spotkaniach, które wieczorem kończą się orgazmem pod kołdrą. Marzy, że jest dziwką, podziwia również blondynkę

z fotografii i inne dziewczyny ze starszej klasy, które sprawiają, że wraca do swojego lepkiego ciała. Chciałaby być nimi.

W kinie widziała *La Stradę*, *Le Défroqué*, *Odrodzonych*, *La Mousson*, *La Belle de Cadix*. Filmów, których zabrania się jej oglądać – *Les Enfants de l'amour*, *Zboże w trawie*, *Poznane nocą* i tak dalej – jest więcej niż tych, które są dozwolone dla dziewczyn jej wieku.

(Wyjść na miasto, marzyć, robić sobie dobrze i czekać, możliwe streszczenie dorastania na prowincji).

Jaką wiedzą o świecie dysponuje prócz wiadomości zgromadzonych od początku nauki do klasy czwartej[27], jakimi śladami istotnych wydarzeń i wypadków, które pozwalają później powiedzieć „pamiętam", gdy przywoła je usłyszane przypadkiem zdanie?

wielki strajk na kolei latem pięćdziesiątego trzeciego

upadek Dien Bien Phu[28]

śmierć Stalina ogłoszona w radiu pewnego zimnego marcowego poranka tuż przed jej wyjściem do szkoły

uczniowie młodszych klas czekający w kolejce na stołówce, żeby wypić szklankę mleka zgodnie z zarządzeniem premiera Mendèsa-France'a

kołdra uszyta wspólnie przez wszystkich uczniów z wydzierganych na drutach fragmentów, wysłana ojcu Piotrowi[29], którego broda jest pretekstem do świńskich kawałów

przeprowadzone w merostwie szczepienie całego miasta przeciwko ospie, ponieważ kilka osób umarło na nią w Vannes

powodzie w Holandii

Bez wątpienia nie myśli o ostatnich ofiarach zasadzki w Algierii, kolejnych zamieszkach, które – jak dowie się później – rozpoczęły się w dniu Wszystkich Świętych pięćdziesiątego czwartego, i zobaczy siebie tamtego dnia siedzącą przy oknie z nogami na łóżku, patrzącą, jak goście wychodzą po kolei z domu naprzeciwko i idą do ogrodu, żeby wysikać się za ślepą ścianą, dlatego też nie zapomni ani daty wybuchu powstania algierskiego, ani tego popołudnia w dniu Wszystkich Świętych, z którego zachowa wyraźny obraz, rodzaj czystego faktu: młoda dziewczyna kokosząca się w trawie, a potem podnosząca się i obciągająca spódnicę.

W tej samej nieprawomocnej pamięci, pełnej spraw zbyt niepojętych, wstydliwych lub szalonych, by je wysłowić, znajdują się:

niedająca się wywabić brązowa plama na odziedziczonym przez matkę prześcieradle jej zmarłej przed trzema laty babki, która ją przemożnie przyciąga i odpycha, jak coś żywego

w niedzielę przed egzaminem wstępnym do szóstej klasy[30] scena między rodzicami, w trakcie której ojciec chciał zabić matkę, zaciągnąwszy ją do piwnicy w pobliże pieńka, w który był wbity sierp

wspomnienie nachodzące ją codziennie, gdy w drodze do szkoły mija górkę, gdzie dwa lata wcześniej w pewien styczniowy poranek zobaczyła dziewczynkę w kusym płaszczyku zabawiającą się odbijaniem śladu stopy w podchodzącej wodą glinie. Odcisk był tam nazajutrz i pozostał przez kilka miesięcy

Letnie wakacje będą dłużącym się okresem nudy, mikroskopijnych zajęć mających wypełnić dni:

słuchaniem relacji z przyjazdu kolarzy na metę jednego z etapów Tour de France, wklejaniem zdjęcia zwycięzcy do specjalnego zeszytu

odczytywaniem numerów departamentów z tablic rejestracyjnych mijanych na ulicy aut

śledzeniem w regionalnym dzienniku recenzji filmów, których nie zobaczy, i książek, których nie przeczyta

haftowaniem serwetnika

wyciskaniem wągrów, skrapianiem się eau précieuse i robieniem maseczki z plasterków cytryny

wychodzeniem do miasta, żeby kupić szampon i lektury z serii „Le Petit Classique Larousse”, mijaniem ze spuszczonymi oczami kawiarni, w której chłopaki grają na fliperze

Przyszłość jest zbyt ogromna, żeby mogła ją sobie wyobrazić, po prostu nadejdzie i tyle.

Kiedy słyszy, jak na szkolnym dziedzińcu dziewczynki z młodszych klas śpiewają „Zerwijmy różę, nie pozwólmy jej zwiędnąć”, wydaje się jej, że minęło już bardzo dużo czasu, odkąd była dzieckiem.

W połowie lat pięćdziesiątych w czasie rodzinnych posiłków nastolatki pozostawały przy stole, słuchając rozmów, ale się do nich nie mieszając. Grzecznie się uśmiechały, gdy opowiadano dowcipy, które wcale ich nie śmieszyły, i kiedy padały dumne stwierdzenia dotyczące ich fizycznego

rozwoju oraz zawoalowane sprośności opowiadane specjalnie po to, żeby je zawstydzić, i ograniczały się tylko do odpowiedzi na ostrożnie formułowane pytania o postępy w nauce. Nie czuły się jeszcze gotowe, żeby uczestniczyć w rozmowie, mimo że dozwolone przy deserze wino, likiery i papierosy były oznaką początków ich inicjacji do kręgu dorosłych. Napawano się łagodnością świątecznego stołu, przy którym zwyczajowa twardość społecznego osądu słabnie, zamieniając się w miękką dobroduszność, a ci, którzy w zeszłym roku pokłócili się na śmierć i życie, już pogodzeni, podają sobie słoik z majonezem. One nudziły się trochę, a przecież nie tak bardzo, żeby chciały już uczestniczyć w jutrzejszej lekcji matematyki.

Po wymianie komentarzy na temat degustowanych dań, które przywoływały wspomnienie, gdy jadło się je w innych okolicznościach, po radach, jak najlepiej je przyrządzić, biesiadnicy przechodzili do dyskusji o tym, czy latające spodki istnieją naprawdę, co to jest sputnik, kto pierwszy, Amerykanie czy Rosjanie, wyląduje na Księżycu, czy mają sens osiedla dla najbiedniejszych zakładane przez ojca Piotra i jaka okropna panuje drożyzna. W końcu powracał temat wojny. Przypominali masową ucieczkę przed Niemcami, bombardowania, powojenne restrykcje, ekscentrycznych elegantów zwanych *les zazous*, spodnie rurki. To była powieść naszych narodzin i wczesnego dzieciństwa, której słuchało się z niewysłowioną tęsknotą, tą samą, jaką odczuwało się, recytując wiersz Préverta *Barbaro, czy pamiętasz*, przepisany do osobistego zeszytu z poezją. Jednak w tonie głosu dorosłych wyczuwało się pewne oddalenie. Coś odeszło wraz ze śmiercią dziadków, którzy przeżyli obydwie wojny, z dorastaniem dzieci, dokończoną odbudową miast, postępem i pojawianiem się mebli na raty. Wspomnienia wojennych ograniczeń i wiejskiego dzieciństwa odkładały się już w czasie przeszłym dokonanym. Ludzie byli święcie przekonani, że teraz żyje im się lepiej.

Nie było mowy o Indochinach, tak odległych, tak egzotycznych – według podręcznika do geografii „dwóch workach ryżu zawieszonych na końcach bambusowej tyczki” – i utraconych bez nadmiernego żalu w Dien Bien Phu, gdzie walczyły tylko gorące głowy, ochotnicy, którzy nie mieli innego fachu w rękach. To był konflikt, który nigdy nie przeniknął do teraźniejszości tych ludzi. Nie mieli też ochoty psuć sobie humoru zamieszkami w Algierii, które właściwie nie wiadomo, jak się zaczęły. Niemniej wszyscy byli zgodni, także i my, uczeni o tym w szkole, że

składająca się z trzech departamentów Algieria to była Francja, podobnie jak znaczna część Afryki, w której nasze posiadłości pokrywały połowę kontynentu narysowanego w atlasie. Rebelię trzeba było zdławić, oczyścić „gniazda fellachów", tych szybkich podrzynaczy gardeł, których zdradziecki cień dostrzegano na śniadej twarzy miłego skądinąd obwoźnego sprzedawcy dywanów, noszącego na plecach chodniki pod łóżko. Do szyderstw, których przedmiotem niezmiennie byli Arabowie i ich język, „Arabko, włóż nos do dzbanka z kawą, żeby sprawdzić, czy gorąca", dochodziło przeświadczenie o ich dzikości. Logiczne zatem, że żołnierzy z kontyngentu i poborowych wysyłano tam, żeby przywrócili porządek, chociaż zdaniem wszystkich wielkim nieszczęściem dla rodziców było stracić dwudziestoletniego chłopaka, który miał się żenić, a jego zdjęcie publikowano w lokalnej gazecie z podpisem „Zginął w zasadzce". Indywidualne tragedie, śmierci następujące jedna po drugiej. Bez nieprzyjaciela, walki ani bitwy. Nie czuło się, że to wojna. Następna miała nadejść ze Wschodu, z rosyjskimi czołgami, jak w Budapeszcie, żeby zniszczyć wolny świat, i na nic by się zdało uciekać jak w czterdziestym, bomba atomowa nie dawała żadnej szansy. Już w Kanale Sueskim było gorąco.

Nikt też nie mówił o obozach koncentracyjnych, chyba że mimochodem – gdy wspomniano w rozmowie tego czy tamtą, co stracili bliskich w Buchenwaldzie, zapadało pełne smutku milczenie. Stawało się to nieszczęściem prywatnym.

Przy deserze znikły śpiewane po Wyzwoleniu patriotyczne piosenki. Rodzice intonowali *Mów mi o miłości*, starsza młodzież *Mexico*, a dzieci *Moja babcia była kowbojem*. My za bardzo się teraz wstydziliśmy, żeby jak dawniej zaśpiewać *Gwiazdę śniegów*. Gdy nalegano, abyśmy jednak coś zanucili, utrzymywaliśmy, że nie znamy żadnej piosenki w całości, pewni, że Brassens i Brel zaburzyliby błogą atmosferę panującą po uroczystym posiłku, że lepiej by się nadawały piosenki uświęcone wykonaniem na innych przyjęciach, takie, co już wycisnęły niejedną łezkę otartą zaraz rożkiem serwetki. Broniliśmy się zaciekle przed ujawnieniem naszych muzycznych upodobań, których nie byliby w stanie zrozumieć. Poza „*fuck you*" zasłyszanym w czasie Wyzwolenia nie znali żadnego angielskiego słowa, nie wiedzieli o istnieniu Plattersów i Billa Haleya.

Jednak uczucie pustki, które ogarniało nas nazajutrz w cichej klasie – chociaż sami przed sobą nie chcieliśmy się do tego przyznać – świadczyło o tym, że poprzedni dzień, gdyśmy, zdawało się, obserwowali tylko i siedzieli znudzeni, był przecież rodzinnym świętem.

Tych nielicznych, którzy mieli szansę kształcić się dalej, zatopionych w niewysłowienie powolnym czasie nauki, w regularności dzwonków, w powracających pod koniec trymestrów wypracowaniach, w niekończących się analizach *Cynny* Corneille'a i *Ifigenii* Racine'a oraz tłumaczeniu *Pro Milone* Cycerona napełniało poczucie, że nic się nie dzieje. Notowało się zdania pisarzy o życiu, odkrywając szczęście myślenia o sobie za pomocą błyskotliwych formułek, „Istnieć, otóż to: pić siebie, nie mając pragnienia". Zanurzało się w absurdzie i mdłościach. Lepkie nastoletnie ciało spotykało „nadmiarowy" byt egzystencjalizmu. Do albumu wklejało się zdjęcia Brigitte Bardot z *I Bóg stworzył kobietę*, na pulpicie ławki wycinało inicjały Jamesa Deana, przepisywało się wiersze Préverta, słowa zakazanych w radiu piosenek Brassensa, *Je suis un voyou* i *La Première Fille*. Czytało się po kryjomu *Witaj, smutku* Françoise Sagan i *Trzy rozprawy z teorii seksualnej* Freuda. Ogromniała przestrzeń pragnień i zakazów. Uchylała się furtka do świata bez grzechu. Dorośli podejrzewali, że jesteśmy „zdemoralizowani" przez współczesnych pisarzy i niczego już „nie szanujemy".

W bieżącej teraźniejszości najbardziej sprecyzowane pozostawało pragnienie, by mieć adapter i chociaż kilka płyt, drogie przedmioty, którymi aż do znudzenia można się było cieszyć w samotności albo z kimś należącym do najbardziej postępowego plemienia młodzieży, licealistką z dobrze sytuowanej rodziny, która nosi budrysówkę, na swoich rodziców mówi „starzy", a zamiast „do widzenia" rzuca „*ciao*".

Łaknęło się jazzu, negro spirituals i rock and rolla. Wszystko, co śpiewane po angielsku, otaczał nimb tajemniczego piękna. „*Dream*", „*love*", „*heart*", słowa czyste, pozbawione praktycznego zastosowania, wywołujące poczucie nadprzyrodzonego. W sekrecie pokoju oddawało się orgii słuchania w kółko tej samej płyty, dostawało się od tego zawrotów głowy jak od oszałamiającego narkotyku, ciało ulegało unicestwieniu i otwierał się świat pełen przemocy i miłości – zlewający się w jedno z marzeniem o prywatkach, na które tak bardzo chciało się już chodzić.

Elvis Presley, Bill Haley, Armstrong, Plattersi ucieleśniali nowoczesność, przyszłość, a śpiewali tylko dla nas, młodych, pozostawiając w tyle stare gusty rodziców i wieśniaczą ignorancję, *Krainę uśmiechu* Lehára, André Claveau i Line Renaud. Miało się poczucie przynależności do kręgu wtajemniczonych, a jednak dostawało się gęsiej skórki, słuchając *Kochanków jednego dnia* Édith Piaf.

Odnajdywało się jeszcze siebie w ciszy wakacji, w dochodzących z zewnątrz wyraźnych odgłosach prowincji, krokach kobiety idącej na zakupy, warkocie przejeżdżającego samochodu, stukaniu młotka dobiegającym z warsztatu spawacza. Godziny mijały na realizacji mikroskopijnych celów, na rozciągniętych w czasie czynnościach: chowanie ubiegłorocznych zadań domowych, robienie porządków w szafie, czytanie powieści, ale tak, żeby jej zbyt szybko nie skończyć. Patrzyło się na swoje odbicie w lustrze, niecierpliwiło, że nie ma się jeszcze wystarczająco długich włosów, żeby je związać w kitkę. Wypatrywało się mało prawdopodobnej wizyty koleżanki. Przy kolacji musieli z nas wyrywać każde słowo, nie zjadało się wszystkiego, ściągając na siebie wymówkę: „Gdybyś zaznała głodu w czasie wojny, nie byłabyś taka wybredna”. Kipiącym w nas pragnieniom przeciwstawiano mądrość ograniczeń: „Zbyt wiele chciałabyś od życia”.

Osobne grupy dziewczyn i chłopaków długo krążyły wokół siebie i mijały się w niedzielę po mszy albo kinie, wymieniały spojrzenia i wreszcie zaczynały ze sobą rozmawiać. Oni naśladowali swoich nauczycieli, układali gry słowne i kalambury, wzajemnie wyzywali się od „prawiczków”, przerywali innym: „Milcz, jak do mnie mówisz”, „Lecz się na nogi, bo na głowę już za późno”, „Jesteś bystry jak woda w stawie”. Zabawiali się, mówiąc najpierw cicho, tak żeby rozmówca ich nie rozumiał, a potem krzyczeli: „Od walenia konia się głuchnie”. Udawali, że zasłaniają oczy na widok opuchniętego dziąsła, głośno wołając: „W czasie wojny dość się napatrzyłem na okropieństwa”. Uzurpowali sobie prawo do bezustannego mówienia, byli panami słowa i dowcipu. Jedni przez drugich opowiadali świńskie kawały, intonowali *De profundis morpionibus* – heroikomiczną epopeję o wszach walczących ze sobą na wzgórku łonowym. Dziewczyny zaś uśmiechały się z rezerwą. Nawet jeśli niekoniecznie bawiły je te opowieści, to przecież krążący wokół chłopacy improwizowali to

widowisko dla nich, z czego były dumne. Dzięki nim wzbogacały też swój zasób słów i wyrażeń, co sprawi, że w oczach koleżanek będą się wydawały bardziej uświadomione, gdy powiedzą: „Idę walnąć w kimono”, „fajowe ciżmy” i tak dalej. Jednak zarówno oni, jak i one zastanawiali się z niepokojem, co mogliby sobie powiedzieć, gdyby znaleźli się sam na sam, toteż zanim miało dojść do pierwszej randki, potrzebowali pełnej ciekawości troskliwości grupy.

Odległość, która dzieli przeszłość od teraźniejszości, mierzy się być może za pomocą światła kładącego się na ziemi między cieniami, prześlizgującego po twarzach, rysującego fałdy na spódnicy, światła, w którym niezależnie od pory dnia jest blask zachodzącego słońca, nawet na czarno-białym zdjęciu.

Na tej fotografii wysoka dziewczyna o ciemnych, prostych, niezbyt długich włosach, pełnej twarzy i zmrużonych oczach stoi ukosem z nieznacznie wysuniętym biodrem, tak żeby uwydatnić krągłość ud obciśniętych prostą, zwężającą się spódnicą do kolan, a jednocześnie sprawić, by wydały się szczuplejsze. Światło muska jej prawy policzek, podkreśla piersi sterczące pod sweterkiem, z którego u góry wystaje zaokrąglony róg kołnierzyka. Jednego ramienia nie widać, drugie swobodnie opada, rękaw podwinięty nad zegarkiem i szeroką dłonią. Różnica w porównaniu ze zdjęciem w szkolnym ogrodzie jest uderzająca. Poza kośćmi policzkowymi i kształtem piersi, tu bardziej rozwiniętych, w niczym nie przypomina dziewczyny w okularach sprzed dwóch lat. Pozuje na podwórku otwartym na ulicę, przed jedną z tych niskich komórek z prymitywnymi drzwiami, jakie widuje się na wsi albo na przedmieściach. W głębi, na tle nieba odcinają się trzy drzewa na wysokim wzgórzu. Na odwrocie: „1957, Yvetot”.

Bez wątpienia w tej chwili, gdy się uśmiecha, myśli tylko o sobie, o tym nowym obrazie siebie, który utrwala dziewczynę, jaką – czuje to – właśnie się staje:

na wysepce swojego pokoju, słuchając Sidneya Becheta, Édith Piaf i darmowych singli z jazzem wydawanych przez Międzynarodową Gildię Przemysłu Płytowego

zapisując w notesie zdania mówiące, jak żyć – to, że znajduje je w książkach, nadaje im wagę prawdy, „Człowiek zaznaje prawdziwego

szczęścia wówczas, gdy zdaje sobie z niego sprawę, kiedy się nim napawa” (Aleksander Dumas syn)

Zna teraz swoje miejsce w hierarchii społecznej, niższe niż jej koleżanek ze szkoły – w jej domu nie ma lodówki ani łazienki, toaleta jest na podwórku, a poza tym nigdy jeszcze nie była w Paryżu. Ma nadzieję, że one tego nie zauważają albo że nie mają jej tego za złe, ponieważ jest „fajna” i „luzacka”, mówi „moja chata” i „mam cykora”.

Cała jej energia koncentruje się na tym, żeby „mieć swój styl”. Martwi się, że musi nosić okulary, od których jej oczy wydają się mniejsze i które nadają jej wygląd „kujonki”. Kiedy je zdejmuje, nie rozpoznaje nikogo na ulicy.

Gdy w marzeniach wybiega w najdalszą wyobrażalną przyszłość – do czasu po maturze – widzi siebie, swoje ciało, swój sposób zachowania według wzorców z magazynów kobiecych: smukłą, z długimi włosami spływającymi na ramiona, podobną do Mariny Vlady w *Czarownicy*. Wolna i niezależna, jest nauczycielką w jakimś nieokreślonym miejscu, może na wsi, ma własny samochód, najwyższą oznakę emancypacji, citroëna 2 CV albo 4 CV. Na ten obraz kładzie się cień nieznanego mężczyzny, którego spotka jak w *Pewnego dnia, zobaczysz*, piosence Mouloudjiego, ale biegną do siebie niczym Michèle Morgan i Gérard Philippe w zakończeniu *Odrodzonych*. Jest pewna, że musi dla niego „zachować czystość”, i za przewinę wobec tej wielkiej miłości uważa, że zaznała już samotnej rozkoszy. Chociaż zapisała w notesie dni, gdy zgodnie z kalendarzykiem małżeńskim nie ryzykuje zajścia w ciążę, sama jest wyłącznie uczuciem. Między seksem a miłością leży nieskończona przepaść.

Jej życie po maturze to schody, którymi trzeba się piąć ku szczytowi schowanemu we mgle.

W ubóstwie pamięci wystarczającej do tego, by działać i istnieć, kiedy się ma szesnaście lat, widzi swoje dzieciństwo jak rodzaj niemego filmu w kolorze. Pojawiają się w nim i mieszają obrazy czołgów i ruin, umarłych starych ludzi, laurka namalowana na Dzień Matki, komiksy z Bécassine, sceny z pierwszej komunii i gry w piłkę. Nie ma również ochoty wspominać ostatnich lat, wszystkich tych niezręczności i chwil pełnych wstydu, przebierania się za tancerkę z music-hallu, włosów skręconych trwałą, skarpetek.

Nie wie, że z tego 1957 roku zapamięta:

bar w kasynie na plaży w Fécamp, gdzie pewnego niedzielnego popołudnia zafascynuje ją przytulona do siebie para tańcząca wolno bluesa na pustej estradzie. Kobieta, smukła blondynka, miała na sobie białą plisowaną sukienkę. Rodzice, których wyciągnęła tam wbrew ich woli, zastanawiali się, czy wystarczy im pieniędzy, żeby cokolwiek zamówić

lodowatą ubikację na szkolnym dziedzińcu, do której musiała pójść pewnego lutowego dnia na lekcji matematyki z powodu grypy żołądkowej. Myśli wtedy o Roquentinie z *Mdłości* Sartre'a, siedzącym w miejskim parku, mówi sobie: „Niebo jest puste, Bóg nie odpowiada", i nie zna nazwy tego uczucia, gdy jest się porzuconą, z udami pokrytymi gęsią skórką i brzuchem przeszywanym bólem, ani tego, które ogarnia ją w dniu odpustu, na tym samym podwórku, co na zdjęciu, gdy zza drzew napływają donośne dźwięki z głośników, muzyka i zapowiedzi stapiające się w niezrozumiały pomruk. Tak jakby była poza świętem, oddzielona od czegoś wcześniejszego

Niewątpliwie również na poziomie wrażeń, uczuć i obrazów – bez śladu ideologii, która je zrodziła – rozszczepiały się w niej informacje nadchodzące ze świata. Widzi więc:

Europę podzieloną na pół żelaznym murem, na Zachodzie słońce i kolory, na Wschodzie cień, zimno, śnieg i sowieckie czołgi, które pewnego dnia przekroczą francuską granicę i rozpanoszą się w Paryżu tak jak w Budapeszcie, nie może się uwolnić od nazwisk Imrego Nagya i Kadara, od czasu do czasu powtarza ich sylaby

Algierię o ziemi spalonej słońcem i krwią, pełną rozpadlin i zasadzek, nad którą unoszą się na wietrze niscy mężczyźni w powiewających burnusach, obraz zapożyczony z podręcznika do historii z trzeciej klasy relacjonujący podbój Algierii w 1830 roku, z ilustracją zatytułowaną *Zdobycie smali Abd el-Kadira*

żołnierzy zabitych w masywie Dżabal al-Auras podobnych do *Śpiącego w kotlinie* leżącego na piasku, „gdzie słońce jak deszcz pada" – „w prawym boku ma dwie jamki krwawe"[31]

To przedstawienia, które prawdopodobnie sugerują przyzwolenie na represje wobec buntowników, a mimo to wstrząsnęło nią opublikowane w lokalnej gazecie zdjęcie młodych, szykownie ubranych Francuzów dyskutujących o czymś po wyjściu z liceum w Bab el-Wadi, jakby sprawa,

za którą ginęli dwudziestoletni żołnierze, nie była do końca usprawiedliwiona.

Nic z tego nie przeniknęło do intymnego dziennika, który zaczęła prowadzić. Górnolotnym i romantycznym stylem opisuje w nim swoją nudę i oczekiwanie na miłość. Zanotowała, że musi napisać wypracowanie o *Polyeuktosie* Corneille'a, ale woli powieści Françoise Sagan, które „mimo iż z gruntu niemoralne, zawierają również akcenty prawdy".

Wszyscy uznawali za pewnik, że lepiej się im żyje dzięki rzeczom. W zależności od zarobków wymieniali kuchnię węglową na gazową, drewniany stół nakryty ceratą na melaminowy, citroëna 4 CV na renault dauphine, maszynkę do golenia z żyletkami oraz żeliwne żelazka na ich elektryczne odpowiedniki, metalowe utensylia na plastik. Przedmiotem najbardziej pożądanym i najdroższym był samochód, synonim wolności, całkowitego panowania nad przestrzenią i w pewnym sensie nad światem. Nauczyć się prowadzić i zdać egzamin na prawo jazdy było zwycięstwem i czymś niemal równym uzyskaniu dyplomu.

Ludzie zapisywali się na rozmaite kursy korespondencyjne, rysunku, angielskiego, dżudo, umiejętności biurowych. „Obecnie trzeba wiedzieć więcej niż kiedyś", mówili. Niektórzy nie bali się wyjeżdżać na zagraniczne wakacje, o czym świadczyły nalepki z literą F na tablicach rejestracyjnych. W niedziele plaże pełne były obojętnych na świat, wystawionych ku słońcu ciał w bikini. Coraz rzadziej po prostu siedziało się na kamienistym brzegu lub zanurzało stopy, unosząc spódnicę. O nieśmiałych i tych, co nie przyłączali się do grupowych zabaw, mówiono, że są „zakompleksieni". Zapowiadano nadejście „społeczeństwa wolnego czasu".

Denerwowała ich jednak polityka, premierzy zmieniający się co dwa miesiące i młodzi bezustannie wysyłani na śmierć w zasadzkach. Chcieli pokoju w Algierii, ale nie drugiego Dien Bien Phu. Głosowali na Poujade'a[32]. Powtarzali: „Dokąd to wszystko zmierza?". Zamach stanu, do którego doszło 13 maja w Algierze, sprawił, że wpadli w panikę, gromadzili kilogramy cukru i litry oleju w przewidywaniu, że wybuchnie wojna domowa. Wierzyli tylko w generała de Gaulle'a, on wszystko uratuje, Algierię i Francję. Ulżyło im, gdy zbawca z czterdziestego roku zgodził się łaskawie powrócić, żeby przejąć ster kraju – jakby poczuli się

bezpiecznie w wielkim cieniu tego, którego wzrost, przedmiot ich odwiecznych kpin, był widomym dowodem jego nadludzkiej mocy.

My, którzy z afiszy rozlepionych w ruinach miast zapamiętaliśmy surową twarz pod kepi, mały przedwojenny wąsik, ale nie mieliśmy w pamięci jego wezwania z 18 czerwca[33], byliśmy zaskoczeni i zawiedzeni tymi obwisłymi policzkami i krzaczastymi brwiami utuczonego notariusza, głosem, w którym pobrzmiewało starcze drżenie. Postać, która wróciła z Colombey, w groteskowy sposób podkreślała ogrom czasu, jaki upłynął od naszego dzieciństwa do chwili obecnej. I mieliśmy mu za złe, że podczas gdy my rozwiązywaliśmy zadania z trygonometrii i ślęczeliśmy nad podręcznikiem do literatury, on tak szybko położył kres temu, co wydawało się nam początkiem rewolucji.

„Mieć obie matury" – pierwszą pod koniec pierwszej klasy[34], drugą rok później – to był niezaprzeczalny znak intelektualnej wyższości i gwarancja przyszłego sukcesu społecznego. Dla większości ludzi egzaminy i konkursy, do których przyjdzie im stawać później, nie miały tak wielkiego znaczenia, uważali po prostu, że „fajnie było zajść aż tak daleko".

Gwiżdżąc melodię z *Mostu na rzece Kwai*, miało się poczucie, że to początek najpiękniejszego lata życia. Pomyślnie zdana matura nadawała nam społeczne istnienie, jakbyśmy nie zawiedli zaufania pokładanego w nas przez wspólnotę dorosłych. Rodzice urządzali się tak, żeby po kolei odwiedzać krewnych i przyjaciół i przekazywać im radosną nowinę. Zawsze znajdował się w towarzystwie jakiś żartowniś, który oznajmiał: „Ja też przeszedłem przez Sekwanę w Caudebec!", grając na zbieżności słowa „*bac*", „matura"[35], ale również „bród na rzece". Tymczasem lipiec zaczynał się niepostrzeżenie upodabniać do swojego poprzednika, zagmatwany rozkład czasu trzeba było dzielić między lektury i płyty, początki jakichś wierszy. Euforia słabła. Wystarczyło jednak pomyśleć, jak wyglądałyby te wakacje, gdyby się nie zdało matury, żeby znów poczuć wagę sukcesu. Prawdziwą nagrodą byłoby przeżycie historii miłosnej podobnej do tej z *Marianny moich marzeń*. Czekając na nią, flirtowało się i spotykało potajemnie z tym, który na każdej randce posuwał się trochę dalej, lecz trzeba go było wkrótce porzucić, bo przecież nie poszłoby się do łóżka z chłopakiem, o którym koleżanki mówiły, że ma czerwoną gębę.

Tego czy innego lata otworzyła się także przestrzeń. Najbogatsi wyjeżdżali do Anglii, wyruszali z rodzicami na Lazurowe Wybrzeże. Inni zatrudniali się jako wychowawcy na koloniach i mogli dzięki temu pojechać w nieznany region kraju, odkrywać Francję i zarabiać na książki do następnej klasy, przemierzając szlaki i śpiewając harcerskie piosenki u boku tuzina wrzaskliwych chłopców lub namolnych dziewczynek, zaopatrzeni w surowicę przeciw jadowi żmii i z drugim śniadaniem w chlebaku. Dostawali swoją pierwszą wypłatę, numer ubezpieczenia społecznego. Byli dumni z odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa, stawali się tymczasowymi nosicielami świeckiego i republikańskiego ideału, którego radosną realizację stanowiły „metody aktywnej edukacji". Doglądając toalety Lwiątek stojących w samych spodniach przed rzędem kranów albo przy hałaśliwych stołach, gdzie pojawienie się ryżu na mleku wywoływało okrzyki entuzjazmu, byli więc przekonani, że uczestniczą w budowie modelu sprawiedliwego, harmonijnego i słusznego porządku. W sumie były to wakacje wyczerpujące i chwalebne. Miało się pewność, że nigdy się nie zapomni, jak w upojeniu niezaznaną dotąd koedukacją, nareszcie z dala od wzroku rodziców, w dżinsach i z gauloises'em w dłoni, zbiegało się po dwa schody naraz do podziemia, skąd dochodziły dźwięki dyskoteki, i zachłystywało poczuciem absolutnej i nietrwałej młodości, jakbyśmy mieli umrzeć pod koniec wakacji, niczym w filmie *Ona tańczyła jedno lato*. To z powodu tego szalonego odczucia lądowało się po wolnym tańcu na jakimś łóżku polowym lub na plaży z męskim członkiem – wcześniej widzianym, jeśli w ogóle, tylko na fotografii – i spermą w ustach, bo odmówiło się rozłożenia nóg, przypomniawszy sobie *in extremis* o kalendarzyku małżeńskim. Wstawał blady dzień pozbawiony sensu. Słowa, które chciałoby się wyrzucić z pamięci zaraz po tym, jak się je usłyszało, „No weź go, ssij mnie", trzeba było przykryć frazą z piosenki o miłości, „Ten ranek był zaledwie wczoraj, to było wczoraj, a przecież już tak dawno", żeby upiększyć to, co się stało, stworzyć fikcję „pierwszego razu" na modłę sentymentalną, spowić w melancholię wspomnienie nieudanego rozdziewiczenia. Jeśli nie potrafiło się tego zrobić, kupowało się eklerki i landrynki, topiło smutek w kremie i cukrze albo oczyszczało się z nich, popadając w anoreksję. Pewne było tylko jedno: nigdy już nie będzie sobie można przypomnieć, jak wyglądał świat, zanim miało się na sobie nagie ciało.

Kompromitacja była dla dziewcząt nieustannym zagrożeniem. W swoim sposobie ubierania się i malowania zawsze musiały wystrzegać się nadmiaru, nic nie mogło być za krótkie, za długie, za ciasne, zbytnio rzucające się w oczy i tak dalej, wysokość obcasów, częstotliwość spotykania się z kimś, wyjścia z domu i godziny powrotu, comiesięczne krwawienie, wszystko, co ich dotyczyło, stanowiło przedmiot ogólnej społecznej czujności. Dla tych, które musiały opuścić domowe ognisko, tworzono żeńskie bursy, oddzielne akademiki dla studentek, aby chronić je przed mężczyznami i występkiem. Nic – ani inteligencja, ani studia, ani uroda – nie liczyło się tak bardzo jak reputacja dziewczyny, to znaczy jej wartość na rynku matrymonialnym, której strażniczką obwoływała się jej matka, podobnie jak kiedyś matka jej matki: „Jeśli pójdziesz do łóżka przed ślubem, nikt cię już potem nie zechce", w domyśle z wyjątkiem innego odpadu z rynku matrymonialnego, jakiegoś upośledzonego albo chorego mężczyzny czy – jeszcze gorzej – rozwodnika. Panna z dzieckiem traciła wszelką wartość, nie mogła liczyć na nic, chyba że na poświęcenie mężczyzny, który zgodziłby się ją przygarnąć wraz z owocem jej grzechu.

Aż do ślubu historie miłosne toczyły się pod nadzorem i osądem innych.

A przecież flirtowało się, posuwając się coraz dalej, praktykując to, co poza książkami medycznymi niewysławialne, *fellatio*, *cunnilingus*, a czasem seks analny. Chłopcy wyśmiewali się z angielskich kondomów i odmawiali uprawiania stosunków przerywanych, do których uciekali się ich ojcowie. Marzyło się o pigułkach antykoncepcyjnych, które, jak mówiono, były już w sprzedaży w Niemczech. W soboty dziewczyny w białych welonach szły do ołtarza, a sześć miesięcy później rodziły całkiem dorodne rzekome wcześniaki. Schwytane w pułapkę pomiędzy ideałem wolności w stylu Bardotki, szyderstwami chłopaków, że niezdrowo jest być dziewicą, a nakazami rodziców i nauką Kościoła wolały nie wybierać. Nikt się nie zastanawiał, jak długo potrwa jeszcze zakaz aborcji i życia razem bez ślubu. Trudno dostrzec oznaki społecznych przemian, gdy patrzy się z perspektywy pojedynczej egzystencji, jest tylko uczucie niesmaku i zmęczenia, które sprawia, że tysiące jednostek myśli jednocześnie, każda w skrytości ducha: „A więc nic się nigdy nie zmieni".

Zbiorowe czarno-białe zdjęcie wsunięte do albumu z tłoczoną okładką. Dwadzieścia sześć dziewcząt, stojących w trzech rzędach pod kasztanowcem na dziedzińcu gmachu, którego okna składają się z małych kwadracików, wygląda równie dobrze jak grupa zakonnic, nauczycielek lub pracownic szpitala. Wszystkie są w jasnych mundurkach, co upodabnia je do pielęgniarek.

Pod zdjęciem odręczna notatka: „Liceum imienia Joanny d'Arc – Rouen – Klasa filozofii 1958–1959". Nie ma nazwisk uczennic, jakby w chwili gdy przewodnicząca klasy rozdawała odbitki zdjęcia, miało się pewność, że zapamięta się wszystkie. Bez wątpienia nie można było sobie wyobrazić siebie samej czterdzieści lat później jako dojrzałej kobiety wpatrującej się w wówczas znajome twarze i dostrzegającej po prostu trzy szeregi duchów o błyszczących, nieruchomych oczach.

Dziewczyny w pierwszym rzędzie siedzą na krzesłach z dłońmi złożonymi na kolanach, nogi mają złączone albo wsunięte pod siedzenia, tylko jedna je skrzyżowała. Dziewczyny z drugiego rzędu stoją na ziemi, a te z trzeciego, widoczne aż do ud, na ławce. Fakt, że tylko sześć trzyma ręce w kieszeniach, co było wówczas oznaką złego wychowania, świadczy o tym, że większość uczennic pochodzi z rodzin mieszczańskich. Wszystkie z wyjątkiem czterech patrzą w obiektyw, lekko się uśmiechając. Nie wiadomo już, co widzą – fotografa, mur, inne uczennice?

Stoi w drugim rzędzie, trzecia od lewej. W tej dziewczynie, znowu w okularach, z włosami ściągniętymi w kucyk, z którego wysunął się na szyję jeden kosmyk, trudno rozpoznać nastolatkę w prowokacyjnej pozie ze zrobionego zaledwie dwa lata wcześniej zdjęcia. Ufryzowana grzywka nie łagodzi poważnego wyglądu. Na twarzy dziewczyny brak jakiegokolwiek śladu tego spustoszenia, jakiego w całym jej jestestwie dokonał chłopak, który minionego lata na wpół ją rozdziewiczył, o czym świadczą pobrudzone krwią majtki sekretnie przechowywane w szafie między książkami. Brak też śladu tego, co robi: po lekcjach błąka się ulicami w nadziei, że go spotka, wraca do bursy dla dziewcząt i płacze, godzinami siedzi, wpatrując się bez zrozumienia w temat wypracowania, a gdy w sobotę wraca do domu, w kółko puszcza *Only You*, opycha się chlebem, biszkoptami i czekoladą.

Nie widać też oznak tej ociężałości bytu, z której musi się wyrwać, aby przyswoić sobie język filozofii, by odwołując się do esencji i imperatywu

kategorycznego, zapanować nad ciałem, nadmiernym łaknieniem, obsesją krwi menstruacyjnej, która nie chce płynąć. By rozmyślać nad rzeczywistością, tak aby stała się abstrakcją, nienamacalną, wyłącznie rozumową. Za kilka tygodni przestanie jeść, kupi środek odchudzający Néo-Antigrès, stanie się czystą świadomością. Gdy po lekcjach idzie boulevard de la Marne wzdłuż jarmarcznych bud, wrzaskliwa muzyka podąża za nią jak nieszczęście.

Nie wszystkie dwadzieścia sześć uczennic ze zdjęcia ze sobą rozmawia. Każda odzywa się może do dziesięciu, ignorując pozostałe i będąc przez nie ignorowana. Wszystkie instynktownie wiedzą, co powinny zrobić, kiedy mijają się koło liceum – poczekać na tę drugą czy nie, tylko się do niej uśmiechnąć, nie dostrzec jej obecności. Jednak począwszy od lekcji filozofii, skończywszy na wychowaniu fizycznym, każda na wezwanie nauczyciela odpowiada „obecna", a charakterystyczne szczegóły wyglądu i ubioru koleżanek są tak mocno wdrukowane w ich świadomość, że każda dziewczyna w klasie posiada próbkę osobowości pozostałych dwudziestu pięciu. W ostatecznym rozrachunku stanowią dwadzieścia sześć świadomości wypełnionych sądami i uczuciami, bezustannie krążących po klasie. Ona nie lepiej niż inne potrafiłaby powiedzieć, jak jest postrzegana, nade wszystko pragnąc nie być widzianą, wolałaby należeć do tych, które się ignoruje, dobrych, niezbyt błyskotliwych uczennic, niezdolnych do ciętych ripost. Nie ma ochoty przyznawać się, że jej rodzice prowadzą sklep spożywczy połączony z kawiarnią. Wstydzi się, że ma obsesję na punkcie jedzenia, że nie ma już okresu, że nie wie, co to jest klasa przygotowawcza na studia filologiczne, w żargonie uczniowskim zwana *hypokhâgne*, że nosi marynarkę z dewetyny, a nie z prawdziwego zamszu. Czuje się bardzo samotna. Czyta *Poussière* Rosamond Lehmann i wszystko, co się da, z serii wydawniczej „Dzisiejsi Poeci": Supervielle'a, Oskara Miłosza, Apollinaire'a, „Nie wiem, moja miła, czy mnie jeszcze kochasz"[36].

Jeśli jednym z wielkich pytań, które mogą posunąć naprzód znajomość samego siebie, jest to, jak w każdym wieku, w każdym roku swojego istnienia wyobraża się sobie przeszłość, to jaką pamięć przypisać tej dziewczynie z drugiego rzędu? Może nie ma innej niż ta z minionego lata, pamięć prawie bez obrazów, wspomnienie wcieleśnienia się w nią brakującego ciała, ciała mężczyzny. Jeśli chodzi o przyszłość, współistnieją w niej dwa zamierzenia: (1) stać się zwiewną blondynką, (2) być wolną,

autonomiczną i użyteczną dla świata. Wyobraża sobie siebie jako połączenie ponętnej aktorki Mylène Demongeot i Simone de Beauvoir.

Mimo że poborowych w dalszym ciągu wysyłano do Algierii, była to epoka nadziei i woli, wielkich planów na ziemi, morzu i w niebie, wielkich słów i wielkiej żałoby po Gérardzie Philipie i Camusie. Był transatlantyk France, były caravelle i concorde, szkoła do szesnastego roku życia, domy kultury, wspólny rynek i któregoś dnia pokój w Algierii. Były plecionki filofun, nowy frank, jogurty smakowe, skondensowane mleko w tubce i tranzystory. Pierwszy raz słyszało się muzykę wszędzie, na plaży tuż koło ucha, idąc ulicą. Radość z tranzystora zdawała się nieznanej natury, płynęła z bycia w samotności, gdy w istocie nie było się samemu, z dysponowania wedle woli dźwiękami i różnorodnością świata.

A młodych przybywało, było ich coraz więcej. Brakowało nauczycieli, wystarczyło, że miałeś osiemnaście lat i maturę, żeby wysłali cię do zerówki uczyć dzieci czytania z elementarza. Dostarczano nam rozrywek, hula-hoop, radiowe i telewizyjne programy dla młodzieży, ale nie mieliśmy prawa do niczego – ani do głosowania, ani do uprawiania seksu, ani nawet do wyrażania własnej opinii. Aby móc zabrać głos, trzeba było najpierw udowodnić, że realizuje się dominujący model życia przyjęty w społeczeństwie, być członkiem grona pedagogicznego, pracować na poczcie lub na kolei, u Michelina, Gillette, w ubezpieczeniach, „zarabiać na siebie”. Przyszłość była tylko sumą doświadczeń, które należało zdobyć: dwudziestoczteromiesięczna służba wojskowa, praca, małżeństwo, dzieci. Oczekiwano od nas naturalnej akceptacji międzypokoleniowego przekazu. Mając w perspektywie tę z góry wytyczoną przyszłość, instynktownie chciało się długo pozostawać młodym. Dyskursy i instytucje nie nadążały za naszymi pragnieniami, lecz przepaść oddzielająca to, co można społecznie wyrazić, od tego, co było w nas niewyrażalne, wydawała nam się normalna i nieunikniona, nie było to nawet coś, co dawało się pomyśleć, każdy czuł to tylko w głębi duszy, oglądając *Do utraty tchu*.

Ludzie mieli już dosyć Algierii, bomb podkładanych przez OAS[37] na parapetach w Paryżu, zamachu w Petit-Clamart[38], podawanych z samego rana informacji o puczu dokonanym przez jakichś nieznanych generałów

zakłócających postępy procesu pokojowego i „samostanowienia”. Oswoili się z myślą o niepodległości i o legalności Frontu Wyzwolenia Narodowego[39], przywykli do nazwisk jego przywódców, Ahmada Ben Belli i Farhata Abbasa. Ich pragnienie szczęścia i spokoju współgrało z ustanowieniem zasady sprawiedliwości, z niedawno jeszcze niewyobrażalną dekolonizacją. Przejawiali jednak tyle samo co kiedyś obaw, czy może raczej obojętności, wobec „Arabów”. Unikali ich lub ignorowali, niechętnie przystając na to, aby stykać się na ulicach swoich miast z osobnikami, których bracia mordowali Francuzów po drugiej stronie Morza Śródziemnego. A robotnik imigrant, mijając Francuza, uświadamiał sobie – jeszcze szybciej i jaśniej niż on – że nosi twarz wroga. To, że jemu podobni mieszkają w dzielnicach biedy, zasuwają przy taśmie albo w głębi jakiegoś wykopu, że ich październikowa manifestacja została zakazana, a potem zduszona ze skrajną siłą, wreszcie nawet to, gdyby się o tym dowiedział, że stu z nich wrzucono do Sekwany – wszystkie te sprawy wydałyby się Francuzowi zgodne z naturą rzeczy. (Później, gdy stanie się już jasne, co zaszło 17 października 1961 roku[40], nie sposób będzie powiedzieć, czy w tamtym czasie znało się te fakty, pamiętać będzie się jedynie, że jesień była ciepła, że zbliżał się początek roku akademickiego. Miało się poczucie dyskomfortu płynące z tego, że się nie wiedziało – a przecież państwo i gazety zrobiły wszystko, żeby utrzymać nas w niewiedzy – jakby nie istniał sposób, by zadośćuczynić za ignorancję i milczenie. I mimo starań nie potrafiło się postawić znaku równości między nienawistną październikową szarżą policji de Gaulle’a na Algierczyków a jej akcją w lutym następnego roku wymierzoną w przeciwników OAS[41]. Nie da się zestawić dziewięciu zabitych rozgniecionych na kratach stacji metra Charonne z utopionymi w Sekwanie niepoliczonymi ofiarami).

Nikt nie zadawał sobie pytania, czy porozumienie z Évian[42] było zwycięstwem, czy porażką, grunt, że przyniosło ulgę i stało się początkiem zapominania. Nie przejmowano się ciągiem dalszym, *pieds-noirs* i *harkis*[43] tam, Algierczykami tutaj. Miało się nadzieję, że następnego lata niebywale tanio spędzi się wakacje w Hiszpanii, tak jak opowiadali ci, którzy już tam byli.

Ludzie przyzwyczaili się do przemocy i podziału świata: Wschód–Zachód, mużyk Chruszczow – młody amant Kennedy, Peppone – don Camillo, JEC–UEC, „L'Humanité"–„L'Aurore"[44], Franco–Tito, katole–komuchy. Pod pokrywką zimnej wojny czuli się bezpieczni. Pomijając retoryczny gniew związkowych przemówień, nie uskarżali się na nic, zdecydowali, że będą posłuszni państwu, co wieczór wysłuchiwali w radiu morałów Jeana Nochera[45] i nie przejmowali się, że strajki nie osiągały wyznaczonych celów. Kiedy w październikowym referendum zagłosowali na „tak"[46], mniej im chodziło o to, żeby wybierać prezydenta w powszechnych wyborach, a bardziej o to, żeby de Gaulle stał się prezydentem dożywotnio, najlepiej do końca świata.

My natomiast przygotowywaliśmy się do egzaminów licencjackich, słuchając tranzystora. Chodziło się do kina na *Cleo od piątej do siódmej*, *Zeszłego roku w Marienbadzie*, na Bergsona, Buñuela i włoskie filmy. Uwielbiało się piosenki Léo Ferrégo, Barbary, Jeana Ferrata, Leny'ego Escudero i Claude'a Nougaro. Czytało się „Hara-Kiri"[47]. Nie czuło się żadnej wspólnoty z bigbitowcami, którzy mówili: „Hitler? Nie kojarzę", ani z ich młodszymi od nas idolami, z dziewczynkami uczesanymi w dwie kitki, śpiewającymi piosenki na szkolnym dziedzińcu, z chłopakiem ryczącym i tarzającym się po scenie. Miało się wrażenie, że nigdy nie staną się tacy jak my, że przy nich zawsze będziemy starzy. Może nawet umrzemy za panowania de Gaulle'a.

Ale nie byliśmy dorośli. Życie seksualne pozostawało ukradkowe i niezręczne, odbywało się wciąż pod groźbą „wpadki". Oficjalnie nikt nie uprawiał seksu przed ślubem. Chłopcy uważali, że dowodzą swojej erotycznej biegłości, rzucając sprośne aluzje, ale i tak jedyne, co umieli, to wytrysnąć w takim miejscu ciała dziewczyny, w którym – jak podpowiadała jej ostrożność – było to bezpieczne. Trudno było określić, czy jest się dziewicą, seksualność pozostawała nierozstrzygniętą kwestią, dziewczyny godzinami dyskutowały o niej w pokojach akademików, do których żaden chłopak nie miał prawa wstępu. Szukały rady w książkach, czytały raport Kinseya, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że mają prawo do rozkoszy. W stosunku do seksu odziedziczyły wstydliwość swoich matek. Ciągle istniały inne słowa przeznaczone dla mężczyzn i inne dla kobiet, one nigdy nie mówiły „dochodzić" ani „kutas", czy w ogóle jakkolwiek inaczej,

brzydziło je już samo nazywanie narządów płciowych, chyba że specjalnym, neutralnym językiem, „wagina”, „penis”. Najzuchwalsze ośmielały się dyskretnie umówić na wizytę w poradni planowania rodziny, potajemnej instytucji, w której przepisywano im trudny do założenia kauczukowy krążek dopochwowy.

Nie podejrzewały, że siedzący obok nich w sali wykładowej chłopcy bali się ich ciał. Że na ich najbardziej niewinne pytania odpowiadali monosylabami nie dlatego, że nimi gardzili, lecz ze strachu przed dziewczęcym brzuchem-pułapką, co powodowało, że w ostatecznym rozrachunku woleli się pobrandzlować wieczorem.

Kiedy w sosnowym lasku albo na piasku Costa Brava dziewczyna nie powstrzymała chłopaka, zanim nastąpiło nieodwracalne, czas zatrzymywał się z powodu zbyt długo czystych majtek. Trzeba było „spędzić” płód, tak albo inaczej – dla bogatych była to Szwajcaria, dla reszty kuchnia w mieszkaniu jakiejś nieznanej kobiety bez dyplomu wyciągającej wygotowaną sondę z rondla, który służył jej do wszystkiego. Jedynym pożytkiem z lektury Simone de Beauvoir było utwierdzenie się w przekonaniu, że posiadanie macicy to nieszczęście, więc dziewczyny w dalszym ciągu mierzyły sobie temperaturę, jakby były chore, i przez trzy z każdych czterech tygodni obliczały, kiedy wypadają niebezpieczne dni. Żyły w dwóch różnych czasach – jednym takim jak wszyscy, z referatami do przygotowania na zajęcia, wakacjami, i drugim, kapryśnym, groźnym, zawsze mogącym się zatrzymać, śmiertelnym czasie swojej krwi.

W salach wykładowych ukrawaceni wykładowcy objaśniali nam dzieła pisarzy poprzez ich biografie, mówili „pan” André Malraux, „pani” Marguerite Yourcenar na znak szacunku dla nich jako osób żyjących, i dawali nam do analizy utwory zmarłych autorów. Nikt nie miał śmiałości cytować Freuda z obawy, że ściągnie na siebie sarkastyczne uwagi i dostanie zły stopień, o Bachelardzie i *Études sur le temps humain* Georges’a Pouleta zaledwie napomykano. Sądzono, że przejawia się wielką niezależność umysłu, deklarując na początku wystąpienia, że należy „odrzucić etykietki” i że *Edukacja sentymentalna* była pierwszym dziełem prawdziwie współczesnym. W gronie przyjaciół obdarowywano się książkami, w których wypisywano dedykacje. Był to czas Kafki, Dostojewskiego, Virginii Woolf, Lawrence’a Durrella. Odkrywano „nową

powieść” – Butora, Robbe-Grilleta, Sollersa, Sarraute. Chciało się ją lubić, ale nie znajdowało się w niej wystarczająco wiele recept na życie.

Wolało się teksty pełne słów i zdań, które podsumowywały egzystencję, zarówno naszą, jak i gospodyń domowych czy dostawców, a jednocześnie nas od nich odróżniały, ponieważ w przeciwieństwie do nich my „stawialiśmy sobie pytania”. Potrzebowaliśmy pojęć objaśniających nam świat i nas samych, takich, które dyktowałyby nam jakieś zasady moralne: „alienacji” i jej satelitów, „złej wiary” i „fałszywej świadomości”, „immanencji” i „transcendencji”. Wszystko ocenialiśmy według jednej miary – „autentyczności”. Gdyby nie obawa skłócenia się z rodzicami, którzy do jednego worka hańby wrzucali rozwodników i komunistów, najchętniej wstąpilibyśmy do Komunistycznej Partii Francji. Bywało, że w kawiarni, pośród gwaru i papierosowego dymu, dekoracja w jednej chwili znikała, a człowiek czuł się na świecie obco, pozbawiony przeszłości i przyszłości stawał się „daremnym pragnieniem”.

W marcu, gdy dni stają się dłuższe i za ciepło już na zimowe ubrania, nadchodzi nie tylko lato, ale po prostu życie, bez kształtu i planu, „*The time is out of joint, life is a tale told by an idiot full of sound and fury signifying nothing*”[48] – powtarzało się sobie, idąc na uczelnię. W gronie przyjaciół opowiadało się, że najchętniej popełniłoby się samobójstwo, połknąwszy tabletki nasenne, w śpiworze gdzieś w górach Guadalajary.

W czasie niedzielnych obiadów w połowie lat sześćdziesiątych, gdy rodzice korzystali z obecności studenta – który zjechał na weekend wyprać bieliznę – żeby zaprosić członków rodziny i przyjaciół, biesiadnicy dyskutowali o pojawieniu się nowego supermarketu i budowie basenu miejskiego, o renault 4L i citroënie ami 6. Ci, którzy kupili telewizor, komentowali wygląd ministrów i spikerek, rozmawiali o gwiazdach ekranu, jakby chodziło o sąsiadów z tej samej klatki. To, że obejrzeli, jak Raymond Oliver przyrządza płonący stek z pieprzem, że śledzą program medyczny Igora Barrière’a albo rozrywkowy *36 Chandelles*, zdawało się dawać im prawo do wygłaszania apodyktycznych sądów. Dostrzegłszy nieprzychylne reakcje tych, którzy nie mieli telewizora, nie słyszeli ani o Zitronie[49], ani o Anne-Marie Peysson[50], ani o dzieciach przepuszczanych przez maszynkę do mięsa przez Jeana-Christophe’a Averty’ego[51], powracali

do bliższych i wspólnych wszystkim tematów, takich jak najlepszy sposób gotowania królika, korzyści płynące z bycia urzędnikiem, która masarnia ma wyśmienitą obsługę. Zamyślali się nad rokiem 2000, obliczali, czy będą wtedy jeszcze na świecie, ile będą mieli lat. Bawili się wyobrażaniem sobie życia pod koniec wieku – posiłki, które zastąpi pigułka, zajmujące się wszystkim roboty, domy na Księżycu. Ale szybko porzucali ten temat, bo w gruncie rzeczy mieli w nosie, jak się będzie żyło za czterdzieści lat, chodziło o to, żeby po prostu żyć.

Z poczucia koniecznego poświęcenia – wobec gości rozpływających się nad naszymi studiami, z wdzięczności za kieszonkowe oraz wypraną i wyprasowaną bieliznę, którą zabierało się ze sobą – zamiast czytać *Fale* Virginii Woolf czy *Psychologię społeczną* Stoetzela, uczestniczyło się chętnie, choć niezręcznie w rozmowie. Mimowolnie zauważało się, jak inni wycierają talerze chlebem, kręcą filiżanką, żeby rozpuścić cukier, mówią z szacunkiem „ktoś wysoko postawiony”, i nagle spoglądało się na swoje środowisko rodzinne z zewnątrz, jak na zamknięty świat, którego nie jest się już częścią. Zamieszkujące w nas myśli nie miały nic wspólnego z chorobami, warzywami do zasadzenia w czasie przybywającego księżyca, karami dyscyplinarnymi w fabryce, ze wszystkim, o czym tutaj rozmawiano. Dlatego nie mówiło się im o nas, o naszych wykładach, pilnowało się, żeby w niczym się im nie sprzeciwiać, jakby brak pewności, że znajdziemy po studiach dobrą posadę albo że będziemy pracować w szkole, mógł się przyczynić do załamania ich wiary, wydać się im zniewagą i sprawić, że zwątpiliby w nasze zdolności.

Zgromadzonych nie ożywiały już wspomnienia Okupacji i bombardowań. Nieodległe emocje przyblakły. Kiedy pod koniec posiłku ktoś mówił jeszcze: „Nie damy się szkopom”, był to już zwykły cytat.

Nam także wydawało się, że świętowane w rodzinnym gronie powojenne niedziele, ówczesne popularne piosenki, jak *Kwiat Paryża* i *Ach, białe winko*, należą do przebrzmiałego czasu, do epoki dzieciństwa, której nie miało się już ochoty wspominać, i kiedy jakiś wujek próbował ją ożywić: „Pamiętasz, jak cię uczyłem jeździć na rowerze?”, uważało się, że jest stary. Pośród zgiełku głosów, słów i wyrażeń, których słuchaliśmy, odkąd byliśmy na świecie, ale które nie przychodziły nam już spontanicznie do głowy, mieliśmy poczucie, jakbyśmy unosili się na fali nierozpoznawalnych obrazów innych niedziel, aż po te czasy, o których snuto opowieści – gdy wracaliśmy na deser, zdyszani po zbyt

wyczerpującej zabawie, a potem słuchaliśmy piosenek, których nikt już dzisiaj nie nucił.

Na tym czarno-białym zdjęciu trzy dziewczyny i chłopak leżą na brzuchu na pierwszym planie. Widać tylko górną część ich ciał, reszta chowa się za opadającym zboczem. Za nimi dwóch chłopców, jeden stoi pochylony i odcina się na tle nieba, drugi klęczy i wydaje się, że drażni jedną z dziewcząt wyciągniętą ręką. W głębi dolina jakby we mgle. Na odwrocie: „Miasteczko studenckie, Mont-Saint-Aignan, czerwiec ’63. Brigitte, Alain, Annie, Gérald, Annie, Ferrid”.

Jest dziewczyną pośrodku z włosami upiętymi *à la* George Sand, o szerokich, obnażonych ramionach, najbardziej „kobieca”. Jej zaciśnięte pięści w dziwny sposób wystają spod przylegających do ziemi piersi. Nie ma okularów. Zdjęcie zrobiono w okresie pomiędzy sesją egzaminacyjną a ogłoszeniem wyników. To czas nieprzespanych nocy, dyskusji toczonych w barach i pokojach na mieście, po których następują zatrzymywane w pół drogi rozbierane pieszczoty przy dźwiękach *La Javanaise*. Czas popołudniowych drzemek, z których wyłania się z poczuciem winy, że wykluczyła się ze świata, jak w dniu, gdy z kretesem przespała przejazd Tour de France i Jacques’a Anquetila. Weszła w świat zabawy i nudzi się w nim. Dziewczyny, które otaczają ją na zdjęciu, należą do burżuazji. Nie czuje, by cokolwiek ją z nimi łączyło, jest silniejsza i bardziej samotna. Przebywając z nimi zbyt często, towarzysząc im na prywatkach, ma wrażenie, że jest upadła. Równocześnie nie wydaje się jej, by miała jeszcze coś wspólnego z robotniczym środowiskiem swojego dzieciństwa, z małym interesem prowadzonym przez rodziców. Przeszła na drugą stronę, ale nie potrafiłaby powiedzieć czego. Jej życie w tyle, za nią składa się z niepowiązanych obrazów. Nie czuje przynależności do żadnego miejsca, tylko do nauki i literatury.

W tej chwili nie dałoby się ściśle ocenić abstrakcyjnej wiedzy tej dziewczyny, podobnie jak jej lektur, gdyż licencjat z literatury współczesnej, który właśnie kończy, stanowi jedynie przybliżony wskaźnik tego, co umie. Jest oczytana w egzystencjalizmie i surrealizmie, zna Dostojewskiego, Kafkę, całego Flauberta, z zapałem także rzuca się na nowości, Le Clézia, „nową powieść”, jakby tylko ostatnio wydane książki mogły dostarczyć jej najsłuszniejszego oglądu świata istniejącego tu i teraz.

Studia – jeszcze bardziej niż sposobem na wyrwanie się z biedy – wydają się jej najlepszym narzędziem, by nie ugrzęznąć w owej napawającej ją politowaniem kobiecej kondycji, nie ulec pokusie zatracenia się w mężczyźnie (por. zdjęcie z liceum sprzed pięciu lat), której się wstydzi. Nie odczuwa ochoty, by wyjść za mąż ani mieć dzieci, bo macierzyństwo i życie umysłowe wydają się jej nie do pogodzenia. Jest pewna, że tak czy inaczej byłaby złą matką. Jej ideałem jest wolny związek, jak w wierszu André Bretona pod tym właśnie tytułem.

Niekiedy odczuwa przygnębienie wszystkim, czego się nauczyła. Jej ciało jest młode, a myśl stara. W dzienniku napisała, że czuje się „do granic przesycona banalnymi myślami, teoriami", że „poszukuje innego słownika", gdyż pragnie „powrócić do swej pierwotnej czystości", marzy, by pisać w nieznanym języku. Słowa są dla niej „haftowanym ornamencikiem na obrusie nocy". Inne zdania przeczą temu znużeniu: „Jestem wolą i pragnieniem". Nie dopowiada czego.

Przyszłość postrzega jak wielkie czerwone schody z obrazu Soutine'a, którego reprodukcję wycięła z dziennika „Lectures pour tous" i przykleiła do ściany w swoim pokoju w akademiku.

Bywa, że nachodzą ją sceny z dzieciństwa, pierwszy dzień w szkole, jarmark w ruinach, wakacje w Sotteville-sur-Mer i tak dalej. Wyobraża też sobie siebie za dwadzieścia lat, wspominającą ich obecne dyskusje o komunizmie, samobójstwie i antykoncepcji. To, jaką kobietą wtedy będzie, jest jednak tylko ideą, fantomem. Przecież i tak nigdy nie osiągnie tego wieku.

Gdy się patrzy na nią na zdjęciu, piękną, postawną kobietę, nie sposób podejrzewać, że jej największą obawą jest szaleństwo, według niej tylko pisanie – ewentualnie mężczyzna – mogłyby ją przed nim ustrzec, przynajmniej doraźnie. Rozpoczęła powieść, w której przeszłość, teraźniejszość, sny i wyobrażenia o przyszłości przeplatają się wewnątrz *ja* będącego odklejonym od niej sobowtórem.

Jest pewna, że nie ma „osobowości".

I że nie istnieje żaden związek między jej życiem a Historią, której ślady odcisnęły się w nim przecież: doznanie zimna i szarej marcowej pogody (strajk górników), wilgotny weekend Zielonych Świątek (śmierć Jana XXIII), zdanie kolegi: „Za dwa dni wybuchnie wojna światowa"

(kryzys kubański), przypadkowa zbieżność nocy spędzonej na balu związku studentów z puczem generałów, Salana, Challe'a i tak dalej. Utożsamia się tylko z obrazami samej siebie, nie uważa za swoje wielkich wydarzeń ani kroniki wypadków drobnych zwanej rubryką przejechanych psów, którą gardzi. Za kilka miesięcy zabójstwo Kennedy'ego w Dallas mniej ją obejdzie niż poprzedniego lata śmierć Marilyn Monroe, ponieważ wtedy od ośmiu tygodni nie miała miesiączki.

Coraz szybsze pojawianie się rzeczy odsuwało przeszłość w cień. Ludzie nie zastanawiali się nad ich użytecznością, po prostu chcieli je mieć i cierpieli, bo nie zarabiali dość dużo, żeby niezwłocznie je sobie kupić. Uczyli się wypisywać czeki, odkrywali „udogodnienia w płatnościach" i kredyt konsumpcyjny. Nowości wprawiały ich w dobry nastrój, odczuwali dumę, korzystając z odkurzacza i elektrycznej suszarki do włosów. Ciekawość była silniejsza od nieufności. Poznawano dania surowe i flambirowane, stek tatarski z pieprzem, nowe przyprawy i ketchup, rybę panierowaną i purée w proszku, mrożony groszek, serce palmy, płyny po goleniu, żel do kąpieli Obao i karmę dla psów Canigou. Sklepy Coop i Familistère znikały, zastępowane przez supermarkety, w których klienci z zachwytem mogli dotknąć towaru, zanim go kupią. Ludzie czuli się wolni, nikogo nie trzeba było o nic prosić. Co wieczór Galerie Barbès serwowały klientom bezpłatny wiejski bufet. Młode małżeństwa z klasy średniej kupowały prestiż wraz z ekspresem do kawy marki Hellem, eau sauvage Diora, radiem UKF, wieżą stereo, żaluzjami, tapetą z jutowego płótna, tekowym kompletem do salonu, materacem Dunlopillo, biurkiem i sekretarzykiem – meblami, których nazwy znali tylko z powieści. Chodzili do antykwariatów, podejmowali gości wędzonym łososiem, awokado z krewetkami, fondue bourguignonne, czytali „Playboya", „Lui", „Barbarellę", „Le Nouvel Observateur", Teilharda de Chardin, czasopismo „Planète" i rozmarzali się, przeglądając w „Rezydencjach" – już samo to słowo było luksusem – ogłoszenia o mieszkaniach w podwyższonym standardzie, z osobną garderobą. Po raz pierwszy podróżowali też samolotem, skrywając niepokój i wzruszając się widokiem rozciągających się w dole zielonych i złocistych kwadratów, denerwowali się, że nie mają jeszcze telefonu, o którego instalację dopominają się już od roku. Inni nie

widzieli korzyści płynących z jego posiadania i po dawnemu chodzili na pocztę, gdzie urzędnik wykręcał numer i wysyłał ich do kabiny.

Ludzie się nie nudzili, chcieli używać.

W poczytnym dziełku *Rozważania na rok 1985* przyszłość jawiła się promienna, ciężkie i brudne prace miały być wykonywane przez roboty, wszyscy mieli mieć dostęp do kultury i wiedzy. Pierwszy przeszczep serca w dalekiej Republice Południowej Afryki zdawał się nieśmiałym krokiem na drodze ku zwycięstwu nad śmiercią.

Mnogość rzeczy maskowała deficyt myśli i zużywanie się wierzeń.

Młodzi profesorowie posługiwali się podręcznikiem do literatury Lagarda i Micharda, z którego sami uczyli się w liceum, przyznawali punkty za aktywność, zadawali wypracowania trymestralne i zapisywali się do związków zawodowych, które w każdym biuletynie ogłaszały: „Władza ustępuje!”. Film *Zakonnica* Rivette’a według powieści Diderota był zakazany, książki erotyczne kupowało się w księgarni wysyłkowej Terrain Vague. Sartre i de Beauvoir odmawiali występowania w telewizji (ale wszyscy mieli to w nosie). Trwało się przy zużytych wartościach i dyskursach. Później, przypominając sobie miśka Nounoursa z dobranocki, będziemy odnosili wrażenie, że to de Gaulle przychodził co wieczór ułożyć nas do snu.

Społeczeństwo przemieszczało się we wszystkich kierunkach, chłopi schodzili z gór w doliny, studenci, eksmitowani z centrów miast, wspinali się na kampusy na wzgórzach, w Nanterre żyli w tym samym błocie, co imigranci ze slumsów. Repatrianci z Algierii i ubogie rodziny, które opuściły swoje parterowe domki z wygódką, zamieszkiwały na wielkich osiedlach w lokalach oznaczonych literą F i kolejnymi cyframi[52]. Jednak ludzie nie chcieli być razem, pragnęli po prostu centralnego ogrzewania, jasnych ścian i łazienki.

To, co dotąd pozostawało najściślej zakazane, co nie wydawało się kiedykolwiek możliwe – pigułka antykoncepcyjna – zostało zalegalizowane. Nie miało się śmiałości prosić o nią lekarza, który jej nie proponował, zwłaszcza jeśli się nie było mężatką. To byłoby oznaką bezwstydu. Czuło się, że z pigułką życie całkowicie się zmieni, kobieta

stanie się tak bardzo panią swojego ciała, że zdawało się to wręcz przerażające. Będzie równie wolna jak mężczyzna.

Młodzież na świecie z hukiem dawała o sobie znać. W wojnie wietnamskiej znajdowała powód do buntu, a w kampanii stu kwiatów Mao[53] – do marzeń. Nastąpiło przebudzenie czystej radości, które wyrażali Beatlesi. Wystarczyło ich słuchać, żeby człowiekowi zachciało się być szczęśliwym. Antoine, Nino Ferrer i Dutronc wprowadzili modę na pajacowanie. Starsi dorośli udawali, że tego nie dostrzegają, słuchali *Tirlipota* na RTL, Maurice'a Birauda na stacji Europe, *Minuty zdrowego rozsądku* Saint-Greniera, porównywali urodę telewizyjnych spikerek, zastanawiali się, kto: Mireille Mathieu czy Georgette Lemaire, będzie nową Piaf. Po Algierii mieli dosyć wojen, z niesmakiem patrzyli, jak izraelskie czołgi rozjeżdżają żołnierzy Nassera, zdezorientowani powrotem problemu, który uważali za załatwiony, i przeistoczeniem się ofiar w zwycięzców.

Ponieważ każde lato było podobne do pozostałych i z coraz większym trudem przychodziło troszczyć się tylko o siebie, ponieważ nie dało się realizować nakazu „spełnienia się" w pojedynkę ani dyskutując ciągle w tych samych kawiarniach, ponieważ poczucie, że jest się młodą, przekształcało się w nieokreślone i monotonne trwanie, ponieważ uznawało się społeczną wyższość pary nad osobą samotną, w końcu zakochiwało się z większą determinacją niż przedtem. Toteż wystarczyła chwila zapomnienia o kalendarzyku, żeby niespodziewanie zostać małżeństwem i wkrótce potem rodzicami. Spotkanie komórki jajowej z plemnikiem przyspieszało bieg indywidualnych biografii. Kończyło się studia, pracując jako pomoc nauczyciela, ankieter albo korepetytor. Wyjazd do Algierii albo w głąb Afryki na stanowisko „kooperanta" kusił wizją przeżycia ostatniej przygody oddalającej czas stabilizacji.

Wraz z podjęciem stałej pracy młode małżeństwa otwierały konto bankowe, brały kredyt na lodówkę z zamrażalnikiem, kuchenkę gazowo-elektryczną i całą resztę, dziwiły się, jak bardzo życie w związku unaoczniło im, że są biedni, jak wiele powinni mieć i jak drogie jest to, co nagle okazywało się w najoczywistszy sposób niezbędne, a czym dotąd nie zaprzątali sobie głowy. Z dnia na dzień stawali się dorosłymi, którym rodzice mogli

wreszcie bez obawy, że zostaną ofuknięci, przekazać swoją wiedzę dotyczącą spraw praktycznych, oszczędzania, opieki nad dziećmi, czyszczenia parkietów. Było to dziwne, choć zarazem napełniające dumą uczucie, gdy ludzie zwracali się do nas per „pani”, dodając inne niż dotychczas nazwisko. Wkraczało się w bezustanny ciąg trosk o utrzymanie, w cykl przygotowywania dwóch posiłków dziennie. Zaczynało się regularnie odwiedzać miejsca, w których się dotąd nie bywało: sklepy Casino, dział spożywczy Prisunica, Nouvelles Galeries. Beztroskie kaprysy poprzedniego życia, nocna rundka po knajpach z kumplami, seans w kinie, zanikały wraz z pojawieniem się niemowlęcia, o którym nie przestawało się myśleć, oglądając w ciemnej sali *Szczęście* Agnès Vardy, by zaraz po powrocie do domu pobiec do maluszka i z ulgą odkryć, że oddycha i śpi spokojnie, zaciskając swoje małe piąstki. Kupowało się więc telewizor, który dopełniał procesu integracji społecznej. W niedzielne popołudnia oglądało się *Les Chevaliers du ciel* i *Ożeniłem się z czarownicą*. Przestrzeń się kurczyła, czas stawał przewidywalny, odmierzały go godziny pracy, żłobek, pora kąpieli i dobranocki, sobotnie zakupy. Odkrywano szczęście uporządkowanego życia. Melancholię wynikającą z oddalania się indywidualnych planów – malowania, gry na instrumencie, pisania – kompensowało się satysfakcją, że uczestniczy się w przedsięwzięciu tworzenia rodziny.

Z szybkością, która wprawiała nas w osłupienie, tworzyliśmy mikroskopijne komórki, szczelne i osiadłe, odwiedzaliśmy się nawzajem w gronie młodych małżeństw i młodych rodziców, osoby samotne zaś uważaliśmy za należące do niedojrzałego gatunku nieznającego rat oraz słoiczków Blédina i Dr Spock, a swoboda, z jaką się przemieszczali, w nieokreślony sposób nam uwłaczała.

Nie zastanawialiśmy się nad oceną tego, co przeżywamy, w odniesieniu do przemówień politycznych i światowych wydarzeń. Odczuwało się po prostu przyjemność głosowania przeciwko de Gaulle’owi na François Mitterranda, modnisia, którego nazwisko kojarzyło się niejasno z epoką francuskiej Algierii. W biegu osobistej egzystencji Historia nie miała znaczenia. Było się tylko, w zależności od dnia, szczęśliwą albo nie.

Im bardziej zanurzało się w tym, co – jak powiadano – stanowiło rzeczywistość, w pracę, w rodzinę, tym większe miało się poczucie odrealnienia.

W słoneczne popołudnia na ławkach w parku, doglądając zabawy pociech w piaskownicy, młode kobiety wymieniały spostrzeżenia na temat pieluch i odżywiania dzieci. Niekończące się rozmowy i zwierzenia nastolatek, które w kółko wzajemnie się odprowadzały, wydawały się odległe. Poprzednie życie, sprzed najdalej trzech lat, sprawiało wrażenie nierealnego, pozostawiło żal, że się z niego bardziej nie skorzystało. Kobiety wkroczyły w Świat Troski o pożywienie, pościel, dziecięce choroby. One, które myślały, że nigdy nie upodobnią się do swoich matek, wchodziły w ich rolę z większą, niż można było się spodziewać, łatwością, ale też rodzajem dezynwoltury, do których zachęcała *Druga płeć* i reklamy „Moulinexie, wyzwól kobietę!”, bo w odróżnieniu od poprzedniczek negowały wartość tego, co – mimo wszystko i nie mając pojęcia dlaczego – czuły się zobowiązane robić.

W czasie obiadów, na które młode małżeństwa z obawą i gorączką zapraszały teściów, żeby pokazać, jak dobrze się urządziły, na dodatek z większym smakiem niż rodzeństwo, kiedy już pochwalono się żaluzjami, dało pomacać aksamit kanapy, zaryczało głośnikami wieży stereo i wyjęło ślubny serwis (chociaż niektóre kieliszki już się wytłukły), gdy wszyscy rozsiedli się wreszcie wygodnie wokół stołu i wyjaśnili sobie, jak jeść fondue bourguignonne, zrobione według przepisu z „Elle”, rozpoczynały się drobnomieszczańskie rozmowy o pracy, wakacjach i samochodach, kryminałach San Antonia, długich włosach Antoine’a, brzydocie Alice Sapritch, piosenkach Dutronca. Nie sposób było uniknąć dyskusji o tym, czy bardziej opłaca się małżeństwu, żeby żona pracowała zawodowo, czy pozostała w domu. Naśmiewano się z de Gaulle’a, „Francuzi, zrozumiałem was!”, „Niech żyje wolny Quebec!”[54] (jakby konieczność stanięcia do drugiej tury wyborów prezydenckich z Mitterrandem odsłoniła pokłady lekceważenia i niespodziewanie ujawniła zgrzybiałość tego polityka, którego satyryczny „Le Canard enchaîné” nie nazywał już inaczej jak Karol Druga Tura). Sławiono inteligencję i nieskazitelność moralną Mendèsa-France’a, zastanawiano się, jaka przyszłość czeka Valéry’ego Giscarda d’Estaing, Deferre’a, Rocarda. Stół szumiał od bezkolizyjnie różnorodnych i prześmiewczych uwag słanych pod adresem policyjnych szpicli, Mauriaca i jego zduszonego chichotu, tików Malraux, którego wyobrażano sobie kiedyś jako ucieleśnienie jego książkowych bohaterów, kogoś w rodzaju

rewolucjonisty Czena z *Doli człowieczej*, ale już od samego patrzenia, jak w swoim palcie uczestniczy w oficjalnych uroczystościach, przestawało się wierzyć w literaturę.

W ustach pięćdziesięciolatków i osób starszych wspomnienie wojny sprowadzało się do osobistych anegdot, pełnych czczych przechwałek, które ludziom przed trzydziestką wydawały się ględzeniem. Byliśmy zdania, że od tego są rocznicowe przemówienia przy okazji składania wieńców. Pojawiały się nazwiska z czasów IV Republiki, Bidault, Pinay, które jednak nie przywoływały w nas żadnego wyraźnego obrazu, a jedynie oczywistą konstatację, że „już wtedy byliśmy na świecie", i ze zdziwieniem odkrywało się w gniewie, jaki jeszcze wzbudzali – „ten łajdak Guy Mollet[55]" – że w swoim czasie odgrywali ważną rolę. Jeśli chodzi o Algierię, która stała się „ziemią misyjną", zapewniającą korzyści finansowe młodym nauczycielom, bo przecież wciąż uczono tam po francusku, sprawa była już zamknięta.

Antykoncepcja wywoływała przy rodzinnym stole zbyt wielkie poruszenie, aby o niej mówić. „Aborcja" była słowem niewymawialnym.

Do deseru gospodyni wymieniała talerze, dosyć zmartwiona, że – zamiast oczekiwanych pochwał – jej fondue bourguignonne przyjęto tylko z ciekawością okraszoną komentarzami niezbyt entuzjastycznymi, wziąwszy pod uwagę trud, jaki włożyła w przygotowanie sosów, i odrobinę protekcjonalnymi. Po kawie, przy sprzątniętym stole rozpoczynała się partia brydża. Whisky sprawiała, że powiedzonka teścia stawały się bardziej zawiesiste i jędrne. Czy to możliwe, że ktoś jeszcze mówi: „Dziesięć tysięcy Anglików utopiło się w Tamizie, bo nie wyszli w atu"? W tym stanie przejedzenia rozjaśniającego twarze nowej rodziny, przy wtórze gaworzenia dziecka, które chciało zakończyć sjestę, nawiedzało nas ulotne wrażenie tymczasowości. Było się zdziwioną, że jest się tutaj, że ma się to, co się chciało, mężczyznę, dziecko, mieszkanie.

Na czarno-białym zdjęciu wnętrza zrobionym w szerokim planie młoda kobieta i chłopczyk siedzą obok siebie na łóżku przeistoczonym za pomocą poduszek w kanapę, za nimi okno z firankami, na ścianie jakiś afrykański bibelot. Ona ma na sobie kostium z jasnego dżerseju: bliźniak i spódnicę przed kolano. Ciemne włosy, ciągle asymetrycznie spięte po bokach,

podkreślają pełny owal twarzy, policzki uniesione w szerokim uśmiechu. Ani fryzura, ani kostium nie odpowiadają wyobrażeniu, jakie będzie się później miało o roku sześćdziesiątym szóstym czy siódmym, jedynie krótka spódnica jest zgodna z modą wylansowaną przez Mary Quant. Dziecko, któremu kobieta położyła rękę na ramieniu, wygląda na bystre, ma żywe oczy, małe ząbki, na sobie golf i spodnie od piżamy, a otwarte usta sugerują, że uchwycono je w chwili, kiedy coś mówiło. Na odwrocie: „Rue de Loverchy, zima ’67”. Zatem zdjęcie zrobił on, niewidoczny tutaj niestały student o chłopięcym wyglądzie, który w ciągu niecałych czterech lat stał się mężem, ojcem i urzędnikiem w górskim mieście. A więc fotografię na pewno zrobiono w niedzielę, jedyny dzień, gdy mogą być razem, kiedy pośród zapachów gotującego się obiadu, szczebiotania dziecka układającego klocki Lego, gdzieś między naprawą spłuczki w sedesie do wtóru *Das Musikalische Opfer* Bacha wytwarzają wspólną pamięć i umacniają poczucie, że mimo wszystko są szczęśliwi. Zdjęcie współtworzy tę konstrukcję, umiejscawia „rodzinkę” w trwaniu, stanowiąc jego krzepiącą gwarancję dla dziadków dziecka, którzy otrzymali odbitkę.

Dokładnie w tym momencie, zimą na przełomie 1967 i 1968 roku, ona z pewnością nie myśli o niczym, pochłonięta atmosferą panującą w ich trzyosobowej komórce, błogością, którą mogłyby zakłócić nagły telefon albo dzwonek do drzwi, chwilowo wolna od obowiązków, których zasadniczym celem jest utrzymywanie tej komórki: robienia list zakupów, przeglądania pościeli i bielizny, „Co dzisiaj na kolację?”, wszystkich tych spraw związanych z bezustannym przewidywaniem najbliższej przyszłości, które przeszkadzają jej w wypełnianiu zewnętrznych obowiązków, w jej pracy nauczycielki. Rodzinne chwile to te, w których c z u j e, nie myśli.

To, co bierze za prawdziwe myśli, nachodzi ją, gdy jest sama albo na spacerze z dzieckiem. Prawdziwe myśli to dla niej nie refleksje o sposobie mówienia i ubierania się ludzi, zastanawianie się, czy krawężnik nie jest za wysoki dla wózka, że zakazano wystawiania *Parawanów* Jeana Geneta lub co sądzić o wojnie w Wietnamie, lecz pytania o nią samą, o być i mieć, o sens istnienia. To zgłębianie ulotnych wrażeń, niemożliwych do wyjaśnienia innym, wszystko to, co, gdyby miała czas pisać – a nie ma czasu nawet na czytanie – stałoby się materiałem jej książki. W swoim dzienniku, który otwiera bardzo rzadko, jakby stanowił zagrożenie dla komórki rodzinnej, jakby nie miała już prawa do życia wewnętrznego, zapisała: „Nie mam już żadnych myśli. Nie próbuję już wyjaśniać swojego

życia”. I „jestem drobnomieszczanką, której się powiodło”. Ma wrażenie, że sprzeniewierzyła się swoim dawnym celom, że istnieje już tylko w wymiarze materialnego postępu. „Boję się urządzić w tym życiu spokojnym i wygodnym, żyć, nie zdając sobie sprawy, że żyję”. Dokładnie w chwili, gdy dochodzi do tego wniosku, wie, że nie jest gotowa wyrzec się tego, o czym nigdy nie wspomina w dzienniku – wspólnego życia, intymności pielęgnowanej w jednym miejscu, mieszkania, do którego spieszy się po skończonych lekcjach, snu we dwoje, porannego szumu golarki elektrycznej, bajki o trzech małych świnkach wieczorem, tej powtarzalności, której zdaje się nienawidzić, a z którą jest przecież związana. Trzydniowa nieobecność, gdy pojechała zdawać egzamin na dyplomowaną nauczycielkę szkoły średniej, dała jej odczuć brak rodziny – wszystkiego, co powoduje ścisk serca, gdy wyobraża sobie jego nagłą utratę.

Nie rozmyśla o sobie tak jak kiedyś na plaży, o kolejnym lecie albo że jest pisarką i wydaje swoją pierwszą książkę. Przyszłość maluje się jej w ściśle materialnym kształcie: otrzymanie lepszego stanowiska, awans i zakupy, posłanie dziecka do przedszkola – to nie marzenia, lecz przewidywania. Często powraca do obrazów z czasów, gdy żyła jeszcze sama, widzi się na ulicach miast, po których spacerowała, w pokojach, w których mieszkała – w Rouen w bursie dla dziewcząt, w Finchley, gdy pracowała jako *au pair*, w Rzymie na wakacjach w pensjonacie przy ulicy Serviego Tullio. Wydaje się jej, że te wszystkie *ja* w dalszym ciągu tam istnieją. Właściwie to przeszłość i przyszłość zamieniły się miejscami, przedmiotem marzeń jest teraz to, co było, a nie to, co będzie: odnaleźć się znów w tym pokoju w Rzymie latem sześćdziesiątego trzeciego.
W dzienniku pisze: „Z powodu skrajnego narcyzmu pragnę widzieć swoją przeszłość czarno na białym i tym samym być taka, jaka już nie jestem” oraz: „Dręczy mnie pewne wyobrażenie kobiety. Może trzeba pójść w tę stronę”. Na obrazie Dorothei Tanning, który widziała trzy lata wcześniej na wystawie w Paryżu, jest kobieta z obnażonymi piersiami, a za nią amfilada uchylonych drzwi. Obraz nosi tytuł *Urodziny*. Myśli, że ten obraz przedstawia jej życie i że ona sama jest wewnątrz taka, jaka była niegdyś w *Przeminęło z wiatrem*, w *Jane Eyre*, potem w *Mdłościach*. Czytając każdą kolejną książkę, *Do latarni morskiej*, *Les Années-Lumière* Serge’a Rezvaniego, zadaje sobie pytanie, czy mogłaby tak opowiedzieć swoje życie.

Przemykają ulotne obrazy rodziców w małym normandzkim miasteczku, matka zdejmująca sklepowy fartuch, żeby iść na wieczorną mszę, ojciec wracający z ogródka ze szpadlem na ramieniu, powolny, nadal istniejący świat, bardziej nierealny niż film, tak odległy od tego, którego ona jest teraz częścią, nowoczesnego, cywilizowanego, zmierzającego w trudnym do ustalenia kierunku.

Pomiędzy tym, co zachodzi w świecie, a tym, co przydarza się jej, nie ma żadnego punktu przecięcia, to dwa ciągi równoległe, jeden abstrakcyjny, złożony z informacji, które zapomina się zaraz po tym, jak się je przyswoi, i drugi – cały złożony z nieruchomych obrazów.

W każdym ułamku czasu, obok tego, co uważa się za naturalne, co przyjęło się robić i mówić, co należy myśleć zgodnie z zaleceniami z książek, reklam w metrze czy rysunkowych dowcipów, istnieją rzeczy, o których społeczeństwo nieświadomie milczy, skazując na samotne nieprzystosowanie tych, którzy je odczuwają i nie potrafią ich nazwać. Milczenie, które pewnego dnia nagle pęka, kiedy słowa spływają powoli na rzeczy wreszcie rozpoznane, podczas gdy poniżej tworzą się kolejne pokłady milczenia.

Później dziennikarze i historycy z lubością będą przypominać zdanie Pierre’a Viansona-Pontégo opublikowane w „Le Monde” kilka miesięcy przed majem sześćdziesiątego ósmego: „Francja się nudzi!”. Łatwo byłoby odnaleźć zmatowiałe obrazy siebie, pełne trudnej do datowania apatii, obrazy niedziel spędzonych w towarzystwie spikerki Anne-Marie Peysson, i można by przysiąc, że to samo dotyczyło wszystkich, całego świata zastygłego w jednolitej szarzyźnie. A telewizja, emitując niewzruszoną ikonografię z ograniczoną obsadą aktorów, ustanowi wersję *ne varietur* zdarzeń, narzucając wrażenie, że tego roku wszyscy mieli po osiemnaście, góra dwadzieścia pięć lat i z zasłoniętymi twarzami rzucali kamieniami w oddziały Republikańskich Kompanii Bezpieczeństwa. Pod wpływem powtarzanych nieustannie kadrów wypierało się obrazy własnej historii Maja: te znane tylko sobie – plac dworcowy którejś niedzieli, pusty, bez podróżnych i bez gazet w kiosku – czy te mało chwalebne – kiedy ze strachu, że zabraknie pieniędzy (więc pospiesznie wypłacało się je z banku), paliwa i przede wszystkim jedzenia, napełniało się po brzegi

wózek w Carrefourze, mając w pamięci przekazane przez rodziców opowieści o głodzie.

Była to wiosna podobna do innych, z zimnymi deszczami w kwietniu i późną Wielkanocą. Podczas zimowych igrzysk olimpijskich kibicowało się narciarzowi alpejskiemu Jeanowi-Claude'owi Killy'emu, przeczytało *Élise ou la vraie vie* Claire Etcherelli, dumnie wymieniło renault R8 na fiata sedana, zaczęło analizować *Kandyda* z pierwszymi klasami o profilu ogólnym, niezbyt uważnie śledząc przy tym w radiu relacje z zamieszek na paryskich uniwersytetach. Pewnie jak zawsze zostaną stłumione przez władze. Ale Sorbonę zamknięto, pisemne egzaminy dla kandydatów na dyplomowanych nauczycieli szkół średnich odwołano, doszło do starć z policją. Pewnego wieczora głosy w stacji Europe n$^{o}$ 1 doniosły, że w Dzielnicy Łacińskiej, tak jak dziesięć lat wcześniej w Algierze, stanęły barykady, poleciały koktajle Mołotowa, są ranni. Teraz wreszcie pojawiała się myśl, że dzieje się coś poważnego, i nazajutrz nie miało się już ochoty wrócić do normalnego życia. Ludzie mijali się niezdecydowani, gromadzili. Bez dokładnego powodu ani nie wysuwając żadnych żądań, przestawało się pracować – to udzielało się wszystkim, bo gdy pojawia się nieprzewidziane, można jedynie czekać. Nie wiedziano, co zdarzy się jutro, i nie próbowano się tego dowiedzieć. To był inny czas.

My, którzy nigdy tak naprawdę nie pogodziliśmy się z koniecznością pracy i nie do końca pragnęliśmy rzeczy, które kazano nam kupować, rozpoznawaliśmy się teraz w niewiele od nas młodszych studentach rzucających kostką brukową w policję. W naszym imieniu odpowiadali władzy za lata cenzury i represji, za brutalne tłumienie manifestacji przeciwko wojnie w Algierii, za rasistowskie pogromy Arabów, za zakazaną *Zakonnicę* i czarne luksusowe limuzyny oficjeli. Mścili się za nas, za ubezwłasnowolnienie naszej młodości, za pełne szacunku milczenie w salach wykładowych, za wstyd, z jakim potajemnie wpuszczałyśmy chłopaków do naszych pokoi w żeńskich akademikach. Utożsamialiśmy się z paryskimi wieczorami pożogi, bo mieliśmy świadomość upokorzenia naszych pragnień, bo czuliśmy się przygnębieni własną uległością. Żałowaliśmy, że nie było nam dane zaznać tego przedtem, ale też uważaliśmy się za szczęśliwców, że zdarza nam się to na początku kariery zawodowej.

Nagle rok 1936 z rodzinnych opowieści stawał się rzeczywistością.

Oglądano i słyszano to, czego od urodzenia nikt nie widział lub co uważano za niemożliwe. Miejsca, których użytkowanie podlegało dotąd odwiecznym regułom, do których wstęp miały tylko określone grupy ludzi, uniwersytety, fabryki, teatry, otwierały się naraz szeroko i robiono w nich wszystko z wyjątkiem tego, do czego zostały przeznaczone: dyskutowano, jedzono, spano i uprawiano seks. Nie istniały już przestrzenie zinstytucjonalizowane i uświęcone. Wykładowcy i studenci, młodzi i starzy, dyrektorzy i robotnicy rozmawiali ze sobą, a w rozmowie w cudowny sposób rozpływały się społeczne różnice i hierarchie. Oprócz tego porzucono wszelkie oratorskie konwenanse, dworny, wykastrowany język, pompatyczny ton i owijanie w bawełnę, ten dystans, z jakim – co sobie właśnie uświadamiano – możni i ich sługusi (wystarczyło popatrzeć na Michela Droit[56]) narzucali swoją dominację. Rozemocjonowane głosy ujmowały rzeczy bezceremonialnie i po imieniu, przerywały sobie, nie przepraszając. Twarze wyrażały gniew, pogardę, przyjemność. W oczy biła swoboda postawy, energia gestów. Jeśli miała nastąpić rewolucja, to działa się właśnie tu, widoczna jasno w ekspansji i rozluźnieniu ciał, siedzących niedbale, gdzie popadło. Gdy de Gaulle pojawił się na nowo – a gdzież on się podziewał?, miało się nadzieję, że dawno już zniknął – z ustami ściśniętymi obrzydzeniem mówił o *la chienlit*, błazeńskiej maskaradzie[57]. Nie znając znaczenia tego słowa, dostrzeżono jednak całą arystokratyczną pogardę, jaką wzbudzała w generale rewolta, obrzydzenie zredukowane do określenia kojarzącego się z ekskrementami i kopulacją, zezwierzęceniem i rozkiełznanymi instynktami.

Nie zastanawiano się nad tym, że w toku rewolucji nie wyłonił się żaden lider robotniczy. Przywódcy Partii Komunistycznej i związków zawodowych zgodnie ze swoim paternalistycznym podejściem w dalszym ciągu określali potrzeby i oczekiwania. Rzucili się negocjować z rządem – który niemal nie dawał znaku życia – jakby nie można było osiągnąć nic poza zwiększeniem siły nabywczej i obniżeniem wieku emerytalnego. Patrząc, jak wychodzą z sali obrad w Grenelle i pompatycznie wypowiadają słowa, o których od trzech tygodni zdążono już zapomnieć, słuchając o „postulatach”, na które władza „przystała”, czuło się powiew chłodu. Nadzieja powróciła, gdy „baza” odrzuciła abdykację z Grenelle, a Mendès-France pojawił się na stadionie Charléty. Wątpliwości odżyły, gdy rozwiązano Zgromadzenie Narodowe i ogłoszono wybory. Kiedy ujrzano

tłum gaullistów wypełniający Pola Elizejskie, a w nim Debrégo, Malraux (natchnione spojrzenie na obrzmiałej twarzy nie chroniło go już przed służalczością) i innych, idących ramię w ramię w sztucznym i posępnym braterstwie, zrozumiano, że wszystko zaraz się skończy. Nie można było dłużej ignorować istnienia dwóch światów, między którymi trzeba będzie dokonać wyboru – ten jednak nie będzie tym razem oznaczał wrzucenia do urny kartki z nazwiskiem jednego z notabli, lecz odesłanie do diabła wszystkich będących teraz u władzy. Niestety połowa młodych nie ukończyła jeszcze dwudziestego pierwszego roku życia i nie miała prawa głosu. W liceach, w fabrykach lewicowy związek zawodowy CGT i Komunistyczna Partia Francji nakazywały powrót do pracy. Panowało przekonanie, że ich rzecznicy prasowi, którzy powolną lub fałszywie chropawą wymową próbowali udawać chłopów, robią nas zgodnie na szaro. Zyskali reputację „obiektywnych sprzymierzeńców władzy" i stalinowskich zdrajców, przez kolejne lata ten czy ów w swoim miejscu pracy miał się stać celem wszystkich ataków.

Tymczasem egzaminy trwały, pociągi jeździły, znów pojawiła się benzyna. Można było wyjechać na wakacje. Na początku lipca mieszkańcy prowincji przemieszczający się autobusem z jednego paryskiego dworca na drugi czuli pod kołami bruk ułożony z powrotem na miejscu, jakby nic się nie stało. Gdy wracali kilka tygodni później, bez żadnych wstrząsów sunęli po gładkim asfalcie, zastanawiając się, gdzie się podziały te tony ociosanych kamieni. Wydawało się, że w dwa miesiące wydarzyło się więcej niż w ciągu dziesięciu lat, lecz osobiście nie miało się czasu nic zrobić. Coś się przegapiło, ale nie było wiadomo kiedy – albo coś odpuściło.

Wszyscy zaczęli wierzyć, że czeka nas burzliwa przyszłość, to była kwestia miesięcy, najwyżej roku. Gorąca miała być jesień, potem wiosna (aż przestało się już o tym myśleć i kiedy później odnajdywało się parę starych dżinsów, mówiło się „przeżyły maj sześćdziesiątego ósmego"). „Nowy miesiąc maj" – nadzieja dla jednych, którzy pragnęli jego powrotu i pracowali nad budową innego społeczeństwa, groźba dla drugich, którzy sprzeciwiali się jego powtórce, wtrącali do więzienia Gabrielle Russier[58], w każdym długowłosym młodzieńcu dopatrywali się „lewaka", przyklaskiwali ustawom przeciwko wandalizmowi i wszystko potępiali. W miejscach pracy ludzie tworzyli dwie kategorie: tych, którzy w Maju

strajkowali, i tych, którzy nie, a dzielił ich wzajemny ostracyzm. Maj stał się probierzem, kryterium klasyfikacji – gdy się kogoś spotykało, od razu myślało się, po której stał stronie. Każda z grup żywiła do drugiej nienawiść, tym z przeciwnego obozu nie wybaczano niczego.

My, którzy – aby zmieniać społeczeństwo – pozostaliśmy przy Zjednoczonej Partii Socjalistycznej, odkrywaliśmy maoistów, trockistów, mnogość teorii i idei pojawiających się otwarcie i niespodzianie. Zewsząd wyłaniały się nowe ruchy, książki i czasopisma, filozofowie, krytycy, socjologowie: Bourdieu, Foucault, Barthes, Lacan, Chomsky, Baudrillard, Wilhelm Reich, Ivan Illich, „Tel Quel", analiza strukturalna, narratologia, ekologia. W ten lub inny sposób, czy chodziło o *Les Héritiers* Bourdieu i Passerona, czy o szwedzką książeczkę poświęconą pozycjom seksualnym, wszystko dążyło ku nowemu rodzajowi inteligencji i przekształceniu świata. Zanurzano się w tych nieznanych językach, nie wiedząc, co wybrać, w zadziwieniu, że wcześniej się o tym wszystkim nie słyszało. W miesiąc nadrabiało się całe lata. Krzepiące było też odnaleźć – podstarzałych, ale bardziej niż przedtem walecznych – de Beauvoir w jej turbanie i Sartre'a, nawet jeśli nie mieli nam nic nowego do powiedzenia. André Breton umarł niestety o dwa lata za wcześnie.

Nic z tego, co do tej pory uznawano za normalne, nie było już oczywiste. Rodzina, edukacja, więzienie, praca, wakacje, szaleństwo, reklama, cała rzeczywistość została poddana refleksji, włączając w to słowa tych, którzy ją krytykowali – wzywano ich do ujawienia genezy ich tez: „A ty z jakich pozycji przemawiasz?". Społeczeństwo przestało funkcjonować w sposób naiwny. Kupno samochodu, ocena wypracowania, rodzenie dzieci – wszystko miało jakieś znaczenie.

Nic na całej planecie nie powinno być nam obojętne, oceany, morderstwo w Bruay-en-Artois[59], angażowaliśmy się we wszystkie walki, Chile Salvatora Allende i Kuba, Wietnam, Czechosłowacja. Ocenialiśmy systemy, poszukiwaliśmy modeli. Poddawaliśmy świat uogólniającej politycznej egzegezie. Najważniejszym słowem było „wyzwolenie".

Każdemu, niezależnie od tego, czy był intelektualistą, czy nie, jeśli tylko reprezentował jakąś grupę, kondycję, rodzaj niesprawiedliwości, wolno było się wypowiedzieć i zostać wysłuchanym. Gdy się coś przeżyło jako

kobieta, homoseksualista, uciekinier ze swojej klasy, więzień, chłop, górnik, miało się prawo mówić „ja”. Podniecające stało się myślenie o sobie w kategoriach zbiorowości. Spontanicznie objawiali się rzecznicy prostytutek i strajkujących pracowników. Charles Piaget, robotnik z fabryki Lipa, był teraz bardziej znany niż psycholog o tym samym nazwisku, o którym powtarzano nam na każdym kroku w klasie filozofii (nie mając pojęcia, że pewnego dnia nazwisko „Piaget” będzie odsyłało już tylko do reklam firmy jubilerskiej w kolorowych magazynach przeglądanych u fryzjera).

Chłopcy i dziewczęta wszędzie byli teraz razem, zniknęły uroczystości rozdania nagród, wypracowania i szkolne mundurki, oceny zastąpiono literami od A do E. Uczniowie całowali się i palili na szkolnych dziedzińcach, na głos komentowali tematy prac pisemnych, uznając je za „debilne” albo „genialne”.

Eksperymentowano z gramatyką strukturalną, polami semantycznymi i izotopiami, pedagogiką Freineta. Porzucano Corneille’a i Boileau, a wprowadzano do programu Borisa Viana, Eugène’a Ionesco, piosenki Boby’ego Lapointe’a i Colette Magny, tygodnik „Pilote” i komiksy. Kazano uczniom pisać powieści i dzienniki. Dodatkową podnietę do działania czerpało się z wrogości kolegów, którzy w sześćdziesiątym ósmym okopali się w pokoju nauczycielskim, i pretensji rodziców oskarżających nas o wywoływanie skandalu, ponieważ wprowadziliśmy na listę lektur *Buszującego w zbożu* i *Les Petits Enfants du siècle* Christiane Rochefort.

Z dwugodzinnych dyskusji o narkotykach, skażeniu środowiska czy rasizmie wychodziło się w stanie upojenia i z poczuciem, że niczego się uczniów nie nauczyło. Cóż, może i „pedałowało się trochę obok roweru”, ale szkoła nareszcie czemuś służyła. Bez końca przechodziło się od stawiania jednego pytania do następnego.

Myśleć, mówić, pisać, pracować, istnieć inaczej: uważano, że nic się nie traci, gdy się wszystkiego popróbuje.

1968 był pierwszym rokiem istnienia świata.

Przez chwilę trudno było uwierzyć w wiadomość o śmierci generała de Gaulle’a, która nadeszła pewnego listopadowego poranka – a więc jednak wierzyliśmy, że jest nieśmiertelny! – ale potem uzmysłowiano sobie, do

jakiego stopnia przez ostatnie półtora roku zdążyło się o nim zapomnieć. Jego śmierć wyznaczała koniec epoki sprzed Maja, kres czasów, które były już dla nas odległą przeszłością, chociaż ewolucja zachodziła niepostrzeżenie, odmierzana trwaniem dni, dzwonkami na lekcje, głosem Alberta Simona i madame Soleil w Europe n$^{o}$ 1, cosobotnim stekiem z frytkami, dobranocką o klaunie Kiri i wieczorną *Minutą dla kobiet* z Annick Beauchamp. Być może, aby tę ewolucję dostrzec, potrzebna była chwila zatrzymania, na przykład jak w tym wspomnieniu: uczniowie w promieniach słońca siedzą na szkolnym dziedzińcu po śmierci robotnika Pierre'a Overneya, zabitego przez strażnika w zakładach Renault. Chwila, która – jak się sądziło – zapadnie w pamięć z powodu szczególnej atmosfery marcowego popołudnia, lecz gdy czas pozostawiony za sobą stanie się historią, okaże się obrazem pierwszego strajku okupacyjnego.

To, co wczoraj było powodem do wstydu, nagle zniknęło. Wyśmiewano poczucie winy: „Wszyscy jesteśmy judeo-kretynami", „niespełnienie seksualne" uważano za coś godnego pożałowania, a „niezdolność do osiągnięcia orgazmu" – za najwyższą zniewagę. Czasopismo „Rodzice" uczyło oziębłe kobiety, jak rozłożywszy nogi, mają stymulować się przed lustrem. W ulotce rozdawanej w liceach doktor Carpentier zachęcał uczniów do masturbacji w celu rozładowania nudy spowodowanej lekcjami. Pieszczoty między dorosłymi a dziećmi nie były już uważane za zdrożne. Zalecano wszystko to, czego wcześniej zakazywano, co uznawano za niewysłowiony grzech. Przyzwyczajano się do oglądania na ekranie organów płciowych, ale wstrzymywało się oddech, gdy w *Ostatnim tangu w Paryżu* Bertolucciego Marlon Brando odbywał stosunek analny z Marią Schneider. Aby się doskonalić, kupowało się małą czerwoną szwedzką książeczkę ze zdjęciami wszystkich możliwych pozycji seksualnych, szło się do kina na *Techniki fizycznej miłości*, rozważało się uprawianie seksu w trójkącie. I tylko – mimo wszystko – nie decydowano się na paradowanie nago przy dziecku, co także proponowano, choć jeszcze wczoraj było uważane za absolutnie niedopuszczalne.

Dyskurs przyjemności stawał się wszechobecny. Trzeba było szczytować, czytając, pisząc, kąpiąc się i wydalając. Taki był cel aktywności ludzkiej.

Kobiety zastanawiały się nad swoim życiem i zaczynały dostrzegać, że nie biorą prawdziwego udziału w wyzwoleniu seksualnym, w wolności twórczej, we wszystkim, co istnieje dla mężczyzn. Samobójstwo Gabrielle Russier wstrząsnęło nami, jakby była naszą nieznaną siostrą, i oburzałyśmy się na przebiegłość Pompidou cytującego wiersz Éluarda[60] (którego nikt nie zrozumiał), żeby nie odpowiedzieć wprost, co myśli o tej sprawie. Na prowincję docierały plotki o działaniach Frontu Wyzwolenia Kobiet. W kioskach można było kupić feministyczną gazetę zatytułowaną „Ścierka Się Pali", czytało się *Kobiecego eunucha* Germaine Greer, *La Politique du mâle* Kate Millett, *La Création étouffée* Suzanne Horer i Jeanne Socquet, odczuwając zarazem podniecenie i niemoc, jakich dostarcza odkrycie w książce prawdy skierowanej wprost do siebie. Wybudziwszy się z małżeńskiego odrętwienia, siedząc na ziemi pod plakatem „Kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru", przepatrywało się własne życie i miało poczucie, że byłoby się zdolną opuścić męża i dzieci, odłączyć od wszystkiego i pisać, nie owijając w bawełnę. Po powrocie do domu determinacja słabła, wzbierało poczucie winy. Nie było już jasne, jak można by się zabrać do tego wyzwalania – ani w sumie po co. Przekonywało się samą siebie, że akurat nasz facet nie jest fallokratą ani żadnym macho. I było się rozdartą między dwoma dyskursami – tym, który głosił równouprawnienie mężczyzn i kobiet i atakował „patriarchalną dominację", oraz tym, który kładł nacisk na dowartościowanie wszystkiego, co kobiece, miesiączki, karmienia piersią i gotowania zupy z porów. Jednak po raz pierwszy można było sobie wyobrazić życie jako marsz w stronę wolności, a to dużo zmieniało. Zaczynało zanikać przeświadczenie o naturalnej niższości kobiety.

Nie sposób sobie przypomnieć dnia ani miesiąca, w każdym razie zdarzyło się to wiosną, gdy przeczytało się od pierwszego do ostatniego wszystkie trzysta czterdzieści trzy nazwiska kobiet – a więc było nas tak wiele, chociaż każda myślała, że jest sama, z sondą w macicy i krwią tryskającą na prześcieradło! – które w „Le Nouvel Observateur" przyznały się do nielegalnej aborcji. Mimo że było to źle widziane, przyłączyło się do osób żądających zniesienia ustawy z 1920 roku i zapewnienia wolnego dostępu do zabiegu przerywania ciąży pod opieką lekarską. Odbijało się ulotki na fotokopiarce w liceum, z zapadnięciem nocy wrzucało je do skrzynek na listy, chodziło do kina na *Histoires d'A.*, potajemnie prowadziło ciężarne

kobiety do prywatnego mieszkania, w którym lekarze aktywiści za darmo odsysali niepożądane płody. Wystarczały szybkowar, by zdezynfekować narzędzia, i pompka do roweru z odwróconym mechanizmem: doktor Karman uprościł zabieg przeprowadzany niegdyś w „fabrykach aniołków" i uczynił go bezpieczniejszym. Przekazywało się adresy miejsc w Londynie i Amsterdamie, a potajemna działalność pasjonowała, była niczym powrót do epoki ruchu oporu, przejęcie pałeczki od „tragarzy"[61] z czasów wojny algierskiej. Adwokatka Gisèle Halimi, tak piękna w błyskach fleszy, gdy wychodziła z sali sądowej w Bobigny, gdzie broniła Djamili Boupachy[62], uosabiała tę kontynuację – podobnie jak działacze ruchu „Pozwólcie im żyć" i profesor Lejeune pokazujący w telewizji zdjęcia płodów nawiązywali do tradycji Vichy. Pewnego sobotniego popołudnia, gdy tysiące z nas stało w słońcu pod transparentami, unosząc oczy ku jednolicie błękitnemu niebu Delfinatu, mówiłyśmy sobie, że to my, po raz pierwszy od tysiącleci, sprawimy, że kobiety nie będą umierać z wykrwawienia. Któż zatem mógłby o nas zapomnieć?

Dostosowywano rewolucję do indywidualnych potrzeb, do wieku, zawodu, klasy społecznej, zainteresowań, wbrew sobie podążano za nakazem świętowania i rozkoszy, oświecenia: nie można było umrzeć idiotą. Jedni palili zioło i żyli w komunie, drudzy zaczynali pracować jako robotnicy w fabryce Renault albo wyjeżdżali do Katmandu, jeszcze inni spędzali tydzień na Tabarce[63], czytali „Charlie Hebdo", „Fluide glacial", „L'Écho des savanes", „Tankonalasanté", „Métal hurlant", „La Gueule ouverte"[64], przyklejali kwiaty do drzwiczek samochodów, na ścianach pokoju wieszali czerwone plakaty z Che Guevarą i dziewczynką poparzoną napalmem, nosili maoistowskie mundurki albo poncza, a kobiety porzuciły biustonosze, spali na podłodze, wąchali kadzidełka, kupowali ziółka Maurice'a Mességué, chodzili na przedstawienia do Grand Magic Circus, na *Ostatnie tango w Paryżu*, na *Emmanuelle*, remontowali starą farmę w Archèche, prenumerowali „Pięćdziesiąt Milionów Konsumentów"[65] z obawy przed pestycydami w maśle, pozostawiali „Lui", nasz odpowiednik „Playboya", na stole, w zasięgu wzroku dzieci, a tym ostatnim proponowali, żeby zwracały się do nich po imieniu jak do swoich kolegów.

Szukało się wzorców w przestrzeni i czasie, w Indiach i w Sewennach, w tym, co egzotyczne, i w tym, co chłopskie. Dążono do czystości.

Ci najbardziej spragnieni odrodzenia, którzy nie decydowali się jednak na porzucenie wszystkiego, pracy i mieszkania, aby zamieszkać na wsi – a był to projekt ciągle odkładany, aczkolwiek trwało się w przekonaniu, że pewnego dnia się go zrealizuje – poszukiwali zapadłych wsi, gdzie żyło się w najgorszych warunkach, i wybierali się tam na wakacje, gardząc plażami i rodzinną prowincją, płaską i „zdeformowaną" przez postęp przemysłowy. Cenili w zamian biednych chłopów i jałowe ziemie, w widoczny sposób niezmienione od wieków, naznaczone piętnem „autentyczności". Oni, którzy chcieli tworzyć Historię, niczego tak bardzo nie podziwiali jak jej zaprzeczenia, wyrażającego się w cykliczności pór roku i niezmienności gestów – za kromkę chleba kupowali więc od rolników stare stodoły.

Albo jechali na wakacje do krajów Europy Wschodniej. Na szarych ulicach, przed znacjonalizowanymi sklepami, w których nieliczne pozbawione etykiet towary pakowano w szary papier, w mieszkaniach oświetlonych wieczorem jedynie zwisającymi z sufitów nagimi żarówkami mieli wrażenie, że podróżują po niespiesznym, pozbawionym wdzięku świecie lat powojennych, gdzie brakuje prawie wszystkiego. Było to słodkie i niewypowiedziane uczucie. Nigdy nie chcieliby jednak tam zamieszkać. Przywozili haftowane koszule i rakiję. Chcieli, żeby zawsze istniały gdzieś kraje, w których nie dokonuje się postęp i które pozwalałyby się im przenosić w przeszłość.

W letnie wieczory na początku lat siedemdziesiątych, pośród zapachu suchej ziemi i tymianku, zgromadzeni wokół wielkiego chłopskiego stołu kupionego za marne tysiąc franków u handlarza starociami, nad szaszłykami i nicejskim ratatouille (nie można było zapominać o wegetarianach) obcy sobie biesiadnicy, paryżanie odnawiający dom w sąsiedztwie, przypadkowi podróżni, miłośnicy wycieczek i malowania na jedwabiu, pary z dziećmi i bez nich, zarośnięci mężczyźni, zdziczałe nastolatki, dojrzałe kobiety w indyjskich sukienkach, po pełnym rezerwy początku – choć już od pierwszej chwili wszyscy mówili sobie na „ty" – nawiązywali rozmowy o sztucznych barwnikach i hormonach w żywności, o seksuologii i ekspresji cielesnej, o antygimnastyce, metodach Mézières

i Rogersa, o jodze, narodzinach bez przemocy opisywanych przez Frédérica Leboyera[66], o homeopatii i soi, autosugestii, Lipie[67] i René Dumoncie[68]. Zastanawiano się, czy lepiej posyłać dzieci do szkoły, czy kształcić je samemu, czy mycie podłogi ajaxem jest toksyczne, czy korzystniej jest uprawiać jogę, czy chodzić na terapię grupową, czy utopią byłoby pracować tylko dwie godziny dziennie, czy kobiety powinny się domagać równouprawnienia, czy może równości w odmienności. Omawiano po kolei najlepsze sposoby odżywiania się, rodzenia i wychowywania dzieci, dbania o siebie, uczenia się, życia w harmonii ze sobą, z innymi, z naturą i tego, jak uciec od społeczeństwa. „Wyrażania siebie": przez garncarstwo, tkanie, grę na gitarze, robienie biżuterii, teatr, pisanie. W powietrzu wisiało przemożne pragnienie „tworzenia". Wszyscy uprawiali albo zamierzali uprawiać jakąś formę działalności artystycznej. Uznawano, że w ten czy inny sposób każda z tych form równa jest innej i że nawet jeśli nie maluje się albo nie gra na flecie poprzecznym, zawsze można stwarzać siebie w psychoanalizie.

Podczas gdy dzieci, położone spać w jednym pokoju, wygłupiały się w najlepsze, pomimo oficjalnego zalecenia, że mają być cicho, dorośli, popijając alkohol pędzony przez sąsiada – zaproszonego tylko na aperitif – schodzili na marzycielskie rozważania o seksie, czy jesteśmy hetero, czy homo, na wyznania o pierwszym orgazmie. Dzika dziewczyna oznajmiała: „Uwielbiam srać". Spotkanie się tego letniego wieczora z ludźmi, z którymi nic nas nie łączyło, z dala od rodzinnych obiadów i rytuałów, których nienawidziliśmy, dawało ekscytujące poczucie, że otwieramy się na różnorodność świata. Czuliśmy się z powrotem nastolatkami.

Nikomu nie przyszło do głowy, by mówić o wojnie, Auschwitz i obozach albo wydarzeniach w Algierii, to była sprawa zamknięta, dyskusji podlegały tylko Hiroszima i przyszłość nuklearna. Było tak, jakby nic się nie wydarzyło pomiędzy wiekami chłopskiego życia, których tchnienia zdawała się przynosić wonna noc na langwedockim pustkowiu, a tą chwilą w sierpniu 1973 roku.

Ktoś zaczynał grać na gitarze, śpiewać *Comme un arbre dans la ville* Maxime'a Le Forestiera i *Duerme negrito* zespołu Quilapayún – słuchano ze spuszczonymi oczami. Układano się do snu gdzie popadło, na łóżkach polowych w dawnym budynku gospodarczym, nie wiedząc, czy lepiej byłoby się kochać z sąsiadem z prawej, czy z lewej, czy może z żadnym.

Sen ogarniał nas, zanim podjęliśmy decyzję, pogrążeni w euforii i utwierdzeni w wartości tego stylu życia, którego przedstawienie odgrywaliśmy przez cały wieczór sami przed sobą, z dala od „drobnomieszczuchów" wczasujących w ścisku na kempingach w Merlin-Plage.

Społeczeństwo miało już teraz swoją nazwę – stało się „społeczeństwem konsumpcyjnym". To był fakt bezdyskusyjny, pewnik, którego – czy człowiek sobie tego życzył, czy nad tym ubolewał – nie dało się podważyć. Wzrost ceny ropy naftowej przerwał ten trend tylko na chwilę. Był to czas wydawania pieniędzy, ze szczególnym naciskiem na kupowanie rzeczy i dóbr mających zapewnić przyjemność. Fundowano więc sobie dwudrzwiową lodówkę, zwinne renault 5, tydzień w Club Hôtel we Flaine, kawalerkę w Grande-Motte. Zmieniano telewizor. Na kolorowym ekranie świat był piękniejszy, a wnętrza godne pozazdroszczenia. Znikał dystans, który czerń i biel ustanawiały wobec codzienności, jej surowy, niemal tragiczny negatyw.

Reklama pokazywała, jak trzeba się zachowywać, żyć, meblować, była kulturową wychowawczynią społeczeństwa. Toteż dzieci domagały się owocowej wody Évian, bo „smakuje lepiej", batoników Cadbury, serka Kiri, adaptera, żeby słuchać piosenki z disnejowskich *Aryskotratów* i *Gospodyni proboszcza* Annie Cordy, zdalnie sterowanego samochodziku i lalki Barbie. Rodzice mieli nadzieję, że jeśli tylko ofiarują im to wszystko, ich pociechy nie będą później palić haszu. A my, którzy nie dawaliśmy się na to nabrać, którzy poważnie analizowaliśmy z uczniami pułapki zastawiane przez reklamę i zadawaliśmy im jako temat pracy pisemnej pytanie: „Czy szczęście tkwi w posiadaniu rzeczy?", kupowaliśmy we Fnacu wieżę stereo, radiomagnetofon kasetowy Grundig, kamerę super 8 Bell & Howell i mieliśmy poczucie, że wykorzystujemy nowoczesność do mądrych celów. Dla nas i poprzez nas konsumpcja ulegała oczyszczeniu.

Ideały Maja przybierały postać przedmiotów i rozrywki.

Człowiek był zbity z tropu, gdy na ekranie zainstalowanym w salonie, do wtóru terkoczącego projektora zobaczył po raz pierwszy, jak idzie, porusza wargami, bezgłośnie się śmieje. Dziwiono się sobie, swoim gestom. To było nowe wrażenie, bez wątpienia podobne do tego, jakie w XVII wieku mieli

ludzie przeglądający się w lustrze albo później nasi pradziadowie spoglądający na swój pierwszy portret fotograficzny. Nie miało się śmiałości wyrazić odczuwanego zamętu i wolało się patrzeć na innych, krewnych, przyjaciół, bo na ekranie wydawali się bardziej podobni do ludzi, którymi dla nas byli. Jeszcze straszniejsze okazywało się usłyszenie z magnetofonu własnego głosu. Nie można już było odtąd zapomnieć jego tonu, który słyszeli inni. Zyskiwało się znajomość siebie, traciło beztroskę.

Sposób ubierania się, noszenia bluzek na ramiączkach i butów na koturnach, spodni dzwonów, to, co się czytało („Le Nouvel Observateur”), na co oburzało (broń jądrowa, detergenty w morzach), co akceptowało (hipisi) – wszystko to dawało poczucie dopasowania do teraźniejszości. Stąd płynęła pewność, że w każdej sprawie ma się rację. Rodzice i pokolenie pięćdziesięciolatków pochodzili z innej epoki, razem ze swoją chęcią zrozumienia młodych. Uważaliśmy ich opinie i rady za zwykłe informacje. I wierzyliśmy, że nigdy się nie zestarzejemy.

Pierwsza scena filmu ukazuje drzwi wejściowe, które się uchylają – na dworze jest ciemno – zamykają i znowu otwierają. Wbiega mały chłopiec, zatrzymuje się niezdecydowany, jest w pomarańczowej bluzie i czapce z nausznikami. Po nim zjawia się drugi, mniejszy, opatulony w niebieską zimową kurtkę z białym futerkiem. Większy kręci się, mniejszy stoi jak skamieniały z nieruchomymi oczami, można by pomyśleć, że film się zatrzymał. Teraz wchodzi kobieta w brązowym dopasowanym płaszczu, którego kaptur zakrywa jej głowę. Przed sobą trzyma jeden na drugim dwa kartony. Wystają z nich jakieś artykuły spożywcze. Zamyka drzwi ramieniem. Znika z pola widzenia, po chwili pojawia się już bez kartonów, zdejmuje płaszcz, który umieszcza na rozwidlającym się u góry wieszaku, odwraca się do kamery z szybkim uśmiechem i spuszcza oczy oślepiona rażącym światłem lampy błyskowej. Jest niemal chuda, prawie bez makijażu, w brązowych, obcisłych rozszerzanych spodniach i swetrze w żółto-brązowe pasy. Półdługie szatynowe włosy ma spięte klamrą. W wyrazie jej twarzy jest coś ascetycznego i smutnego – a może to cień zawodu, uśmiech pojawia się zbyt późno, aby był spontaniczny. Gesty zdradzają szorstkość i/lub nerwowość. Ale oto znowu dzieci, tym razem stają przed nią. Cała trójka nie wie, co ze sobą robić, poruszają rękami i nogami, zgrupowani przed kamerą, w której obiektyw patrzą, oswojeni już

z silnym światłem. Najwyraźniej nic nie mówią. Można by pomyśleć, że pozują do zdjęcia, którego zrobienie trwa nieskończoność. Większy z chłopców podnosi rękę i groteskowo salutuje, z grymasem na ustach i zamkniętymi oczami. Kamera przeskakuje po elementach wystroju, które mają jakąś wartość estetyczną lub materialną, uosabiających mieszczański gust – komoda, żyrandol z nieprzejrzystego szkła.

To on, jej mąż, sfilmował tę scenę, gdy wracała z zakupów z dziećmi, które zgarnęła po szkole. Etykietka na rolce filmu informuje: „Życie rodzinne ’72–’73”. Filmuje zawsze on.

Ona, według kryteriów z magazynów kobiecych, z pozoru należy do poszerzającej się grupy aktywnych trzydziestolatek godzących pracę z macierzyństwem, pielęgnujących swoją kobiecość i noszących się modnie. Wyliczenie miejsc, w których bywa w ciągu dnia (liceum, Carrefour, mięsny, pralnia chemiczna i tak dalej), oraz lista zajęć (kursowanie austinem mini między pediatrą, zajęciami dżudo starszego syna a pracownią garncarską młodszego, poczta, lekcje i poprawa prac pisemnych, przygotowanie śniadania, ubrań dla dzieci, nastawienie prania, obiadu, zakupy, wszystko oprócz chleba, który kupuje on, wracając z pracy) ujawniłyby jednak:

widoczną nierówność pomiędzy czynnościami wykonywanymi w domu i poza nim – praca zarobkowa (⅔) i domowa, w tym edukacyjna (⅓)

ogromne zróżnicowanie obowiązków

częste odwiedzanie miejsc związanych z handlem

niemal całkowity brak przerw pomiędzy czynnościami

Ten rachunek – którego ona nie przeprowadza, odczuwając pewną dumę, że szybko robi to, co nie wymaga inwencji ani zmian – nie wystarcza jednak do zrozumienia jej nowego stanu ducha.

Wykonywany zawód napełnia ją bezustannym poczuciem niedoskonałości i szalbierstwa, w swoim dzienniku napisała: „Bycie nauczycielką powoduje, że czuję się rozdarta”. Kipi energią, chęcią uczenia się i podejmowania nowych wyzwań, przypomina sobie, co napisała, gdy miała dwadzieścia dwa lata: „Jeśli nie spełnię danej sobie obietnicy, że do dwudziestego piątego roku życia napiszę powieść, to popełnię samobójstwo”. W jakiej mierze maj sześćdziesiątego ósmego – a uważa, że przeszedł obok niej, gdyż była już zbyt zasiedziała – leży u podstaw nękającego ją pytania: „Czy byłabym szczęśliwsza, mając inne życie?”.

Zaczęła myśleć o sobie poza małżeństwem i rodziną.

Nie wspomina z nostalgią okresu studiów. Postrzega je jako czas intelektualnego zmieszczanienia, zerwania ze środowiskiem, z którego się wywodzi. Jej pamięć przestaje być romantyczna, staje się krytyczna. Często nachodzą ją sceny z dzieciństwa, matka krzycząca do niej: „Później naplujesz nam w twarz”, chłopacy krążący po mszy na skuterach i ona sama z włosami skręconymi trwałą jak na zdjęciu z ogrodów pensjonatu, prace domowe odrabiane przy stole pokrytym śliską ceratą, przy którym ojciec „przyrządza podwieczorek” – jak zapomniany język powracają również słowa – jej lektury, *Confidences* i powieści Delly, piosenki Luisa Mariano, wspomnienia doskonałych ocen i społecznej niższości – tego rewersu zdjęć – wszystko, co uznała za wstydliwe i pogrzebała, a co staje się teraz godne tego, aby to odszukać i obejrzeć w świetle inteligencji. W miarę jak jej pamięć odtrąca upokorzenie, przyszłość staje się z powrotem polem do działania. Walczyć o prawo kobiet do przerywania ciąży wbrew niesprawiedliwości społecznej i zrozumieć, jak stała się tą kobietą, to dla niej to samo.

We wspomnieniach z lat, które właśnie minęły, nie znajduje niczego, co uznałaby za obrazy szczęścia:

zima przełomu 1969 i 1970 roku w czerni i bieli z powodu bladego nieba i obfitych opadów śniegu, którego szare placki aż do kwietnia zalegały na chodnikach. Specjalnie po nich chodziła, próbując rozgnieść je botkami i przyczynić się do zniszczenia tej niekończącej się zimy, która kojarzyła się z pożarem dancingu w Saint-Laurent-du-Pont w departamencie Isère, choć przecież spłonął dopiero następnej zimy

na placu w Saint-Paul-de-Vence Yves Montand w różowej koszuli grający w bule, z małym brzuszkiem, po każdym rzucie szczęśliwy i dumny z siebie, omiatający spojrzeniem turystów zgromadzonych w sporej odległości za barierkami – tego samego lata, kiedy Gabrielle Russier siedzi w więzieniu i po powrocie do domu popełnia samobójstwo

park zdrojowy w Saint-Honoré-les-Bains, zbiornik wodny, po którym dzieci puszczają zabawkowe statki, Hôtel du Parc, w którym mieszkała z nimi przez trzy tygodnie, później pomylony z pensją z książki Roberta Pingeta *Quelqu’un*

Pośród tego, co w pamięci nie do wytrzymania, jest obraz jej umierającego ojca, zwłok ubranych w garnitur, który miał na sobie tylko raz, na jej ślubie,

zniesionych w plastikowym worku z sypialni na parter po schodach zbyt wąskich na trumnę.

Wydarzenia polityczne przetrwały tylko w formie szczegółów: w telewizji podczas kampanii prezydenckiej konsternujący widok tandemu Mendès-France – Defferre, jej ówczesna myśl: „Ale dlaczego Mendès-France nie kandydował sam?”, i chwila, gdy Alain Poher w ostatnim przemówieniu przed drugą turą podrapał się po nosie, jej wrażenie, że z powodu tego gestu wykonanego na oczach wszystkich przegrał z Pompidou.

Nie czuje swojego wieku. To z pewnością arogancja młodej kobiety wobec starszych, poczucie wyższości w stosunku do tych po menopauzie. Bardzo nieprawdopodobne, że stanie się jedną z nich. Przepowiednia, że umrze w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, wcale jej nie porusza – wydaje się jej, że to akceptowalny wiek, żeby zakończyć życie.

Zapowiadano gorącą wiosnę, potem jesień. Nie sprawdziło się.

Komitety licealistów, autonomistów, ekologów, przeciwników energetyki jądrowej, mężczyzn odmawiających służby wojskowej z powodów ideologicznych, feministek, homoseksualistów – wszystkie te sprawy zdawały się palące, ale nie łączyły ze sobą. Może w pozostałej części świata zbyt wiele było wstrząsów, od Czechosłowacji po niekończącą się wojnę w Wietnamie, zamach w czasie igrzysk olimpijskich w Monachium, w Grecji junta za juntą. Władza, a przede wszystkim minister spraw wewnętrznych Raymond Marcellin, spokojnie zduszali „akcje goszystów”. A do tego wszystkiego nagła śmierć Pompidou, choć podejrzewano, że może być chory najwyżej na hemoroidy. W pokoju nauczycielskim związkowe plakaty znowu zaczynały zapowiadać, że tego a tego dnia odbędzie się strajk przeciwko „pogorszeniu się naszych warunków pracy”, który ma za cel uzyskanie „ustępstw ze strony władzy”. Wyobrażenie o przyszłości ograniczało się do zaznaczenia w kalendarzu dni wolnych od pracy, począwszy od września.

Lektura „Charlie Hebdo” i „Libération” utrzymywała w przeświadczeniu, że należy się do wspólnoty rewolucyjnej rozkoszy i wbrew wszystkiemu trzeba pracować nad nadejściem nowego Maja.

Ujawnienie i opisanie przez Sołżenicyna „archipelagu Gułag”, przyjęte jak objawienie, siało zwątpienie i zaciemniało horyzont Rewolucji. Obrzydliwie uśmiechnięty facet, spoglądający z plakatów prosto w oczy przechodniom, zapowiadał: „Interesują mnie wasze pieniądze”. Z braku alternatywy decydowano się postawić na Związek Lewicy i jej wspólny program, w końcu było to coś, czego jeszcze nie widziano. Począwszy od 11 września 1973 roku – kiedy pod palącym słońcem protestowało się przeciwko Pinochetowi po zabójstwie Allende, prawica zaś świętowała koniec „żałosnego eksperymentu chilijskiego” – aż do wiosny 1974 roku, gdy siedziało się przed telewizorem, patrząc na to, co określano jako wielkie wydarzenie, starcie Mitterranda z Giscardem – nie wierzyło się już, że nadejdzie nowy Maj. Z powodu ciepłych deszczy w marcu lub kwietniu kolejnego roku pewnego wieczora po wyjściu z wywiadówki miało się wrażenie, że coś mogłoby się wydarzyć, a zarazem, że to tylko złudzenie. Wiosną nie zdarzało się już nic ani w Paryżu, ani w Pradze.

Z Giscardem d’Estaing żyło się teraz w „rozwiniętym społeczeństwie liberalnym”. Nic nie było polityczne ani społeczne, ale jedynie nowoczesne lub nie. Wszystko odnosiło się do nowoczesności. Ludzie mylili słowo „wolny” – „*libre*”, ze słowem „liberalny”, byli przekonani, że społeczeństwo nazwane liberalnym pozwala na posiadanie maksimum praw i rzeczy.

Niespecjalnie się nudzono. Nawet my – włączywszy telewizor w wieczór wyborczy i wysłuchawszy, jak Giscard wypowiada formułkę: „Pozdrawiam mojego konkurenta”, jakby ją wypierdywał z ustami ściśniętymi w kaczy kuper – byliśmy wstrząśnięci postulatami przyznania prawa głosu osiemnastolatkom, wprowadzenia rozwodów za obopólną zgodą, rozpoczęciem debaty nad ustawą o przerywaniu ciąży, omal nie popłakaliśmy się z wściekłości, widząc, jak Simone Veil sama broni się w Zgromadzeniu Narodowym przed atakami mężczyzn z jej własnej partii, i umieściliśmy ją w naszym panteonie obok innej Simone – de Beauvoir. Pojawienie się tej ostatniej na ekranie, gdy po raz pierwszy udzieliła telewizyjnego wywiadu (w turbanie i z pomalowanymi na czerwono paznokciami wyglądała niczym wróżka) rozczarowało, przyszło zbyt późno, nie powinna była, a my nie gniewaliśmy się już, kiedy uczniowie mylili ją z filozofką, którą zdarzało się nam cytować na lekcjach. Zerwaliśmy jednak z tym wyelegantowanym prezydentem, gdy odmówił

prawa łaski Ranucciemu[69], zabójcy ośmiolatki, skazanemu na śmierć w środku pierwszego od dawna tak gorącego lata bez kropli deszczu.

Panowała moda na traktowanie wszystkiego lekko, „z przymrużeniem oka". Nie praktykowało się już moralnego oburzenia. Bawiły tytuły filmów migające na plakatach: *Lodziary* i *Wilgotne majteczki*, czekano na każde pojawienie się Jeana-Louisa Bory'ego w roli „ciotki" – zniewieściałego geja. Dawny zakaz wyświetlania *Zakonnicy* wydawał się niepojęty, a przecież trudno było się przed sobą przyznać, jak bardzo zbulwersowała nas scena z *Jaj*, filmu Bertranda Bliera, w której Patrick Dewaere ssie pierś kobiety w zastępstwie jej niemowlęcia.

Odzwyczajano się od pewnych słów i zasad moralnych, zastępując je określeniami oceniającymi czynności, zachowania i uczucia według miary przyjemności, „frustracji" i „nagrody". Nowy sposób bycia w świecie dyktowały „luz", dezynwoltura, swoboda, mieszanina pewności siebie i obojętności na innych.

Ludzie bardziej niż kiedykolwiek marzyli o wsi, byle dalej od „zanieczyszczonego powietrza", nużącego rytmu „dom–praca–dom", „koncentracyjnych" przedmieść pełnych „chuliganów". Niemniej jednak w dalszym ciągu wybierali – w zależności od możliwości – wielkie miasta ze „strefami priorytetowej urbanizacji" albo osiedla domów jednorodzinnych.

Nas, którzy mieliśmy mniej niż trzydzieści pięć lat, w melancholii pogrążała myśl, że „zapuścimy korzenie", zestarzejemy się i umrzemy w tym samym niedużym prowincjonalnym mieście, to znaczy, że nigdy nie dostaniemy się do tego pełnego gwaru i życia tygla, bo tak wyobrażaliśmy sobie region paryski, którego przyciąganie wyczuwało się już od Dijon, gdy pociąg rozpędzał się nagle i gnał jak szalony, by zatrzymać się dopiero w szarych murach Dworca Lyońskiego. To było nieuniknione zwieńczenie udanego życia, ostateczne wyniesienie do nowoczesności.

Sainte-Geneviève-des-Bois, Ville-d'Avray, Chilly-Mazarin, Le Petit-Clamart, Villiers-le-Bel – te nazwy brzmiały ładnie i historycznie, kojarzyły się z jakimś filmem, zamachem na de Gaulle'a albo z niczym – nie potrafiliśmy ich umiejscowić na mapie, wiedzieliśmy tylko, że znajdowały się wewnątrz zaczarowanego kręgu. To tam, wyszedłszy z dowolnego

miejsca, można było pojechać do Dzielnicy Łacińskiej i jak piosenkarz i aktor Serge Reggiani wypić kawę z mlekiem na boulevard Saint-Germain. Wystarczało po prostu unikać Sarcelles, La Courneuve i Saint-Denis ze znaczącą „populacją obcokrajowców” żyjących w wielkich skupiskach, o ich złej reputacji pisano nawet w podręcznikach.

Wyjeżdżało się więc. Zagospodarowywało w nowej willi czterdzieści kilometrów od obwodnicy. Dom o lekkiej konstrukcji na wykańczanym osiedlu, barwnym jak letnisko, z ulicami noszącymi nazwy kwiatów. Zatrzaskujące się drzwi wydawały dźwięk niczym w bungalowie. Miejsce było ciche, otwarte na niebo Île-de-France, położone niedaleko pola, przez które biegł rząd słupów.

Dalej rozpościerały się przestrzenie porośnięte trawą, stały przeszklone budynki i wysokie biurowce, ciągnęły się chodniki i inne osiedla połączone kładkami ponad drogami szybkiego ruchu. Trudno było sobie wyobrazić, gdzie przebiegają granice miasta. Czuliśmy się, jakbyśmy szybowali w przestrzeni zbyt rozległej, istnienie się w niej rozpuszczało. Nie było sensu chodzić na spacery, w ostateczności można było biegać w dresie, nie rozglądając się wokół. Zachowaliśmy odciśniętą w ciele pamięć dawnego miasta, ulic pełnych samochodów i przechodniów na chodnikach.

Gdy przeprowadzka z prowincji do regionu paryskiego stała się faktem, czas zaczynał płynąć szybciej. Nie miało się już takiego samego poczucia trwania. Z nadejściem wieczora odnosiło się wrażenie, że nic się nie zrobiło, pozostawało tylko mgliste wspomnienie po prowadzeniu lekcji dla rozhukanych klas.

Mieszkać w regionie paryskim oznaczało:

być rzuconym na terytorium o niejasnej topografii, zaciemnionej labiryntem dróg przemierzanych tylko w samochodzie

nie móc się uwolnić od spektaklu obfitości towarów skumulowanych na nieużytkach lub wystawionych wzdłuż dróg w różnorodnym sznurze składów, których szyldy zapowiadały nadmiar: Wszechsalon, Świat Wykładzin, Centrum Skór, i niespodziewanie nadawały osobliwą realność reklamom z komercyjnych stacji radiowych: „Oczywiście Saint-Maclou!”

Oznaczało to też, że w tym, co się widziało, nie sposób się było dopatrzyć kojącego porządku.

Człowiek lądował w innej czasoprzestrzeni, w innym uniwersum, prawdopodobnie w świecie przyszłości, pewnie dlatego tak trudnym do zdefiniowania. Można go było tylko doświadczać, przechodząc przez deptak u stóp Błękitnej Wieży, pośród deskorolkarzy i ludzi, których się nigdy nie pozna. Wiedzieliśmy, że są nas tu tysiące, a stąd do dzielnicy La Défense – miliony, lecz nigdy nie myślało się o innych.

Tutaj Paryż był nierealny. Męczyło nas jeżdżenie do centrum w środy i niedziele z dziećmi, żeby im pokazać wieżę Eiffla i muzeum Grévin, Sekwanę i statki wycieczkowe. Zabytki, o których w dzieciństwie tak bardzo marzyliśmy, odkrywane dzisiaj jako bliskie, bo prowadziły do nich drogowskazy: Wersal, Chantilly, już nas nie kusiły. W niedzielne popołudnia zostawaliśmy w domu i oglądaliśmy satyrycznego *Małego donosiciela* albo zajmowaliśmy się majsterkowaniem.

W nieunikniony sposób najczęściej odwiedzanym miejscem stało się wielkie trzypoziomowe centrum handlowe, ciche pomimo tłumów, pod przeszklonym dachem, z fontannami i ławkami, pełne łagodnie oświetlonych korytarzy, które kontrastowały z bezlitosnym blaskiem witryn i wnętrz przyklejonych do siebie sklepów. Wchodziło się do nich i wychodziło z nich, nie musząc otwierać jakichkolwiek drzwi, nie mówiąc ani „dzień dobry”, ani „do widzenia”. Ubrania i artykuły żywnościowe nigdy nie wyglądały piękniej – dostępne bezpośrednio i bez żadnego rytuału. Zabawne nazwy butików: Gałganiarnia, Szpargalnik, Łasuchowo, zachęcały do buszowania w towarach z dziecięcą beztroską, więc czuliśmy, że nie należymy do określonej grupy wiekowej.

Zakupy robiło tu inne *ja* niż to, które załatwiało sprawunki w Prisunicu czy w Nouvelles Galeries. Gdy przechodziło się od Darty’ego do Pier Importu, pragnienie kupowania narastało skokowo, jakby nabycie elektrycznej gofrownicy i japońskiej lampy miało z nas uczynić odmienne istoty – w ten sam sposób, jak w wieku piętnastu lat żywiliśmy nadzieję, że przemienimy się dzięki znajomości modnych słów i rock and rolla.

Unosiliśmy się w puchowej teraźniejszości, nie wiadomo, czy z powodu przeprowadzki do miasta bez przeszłości, czy dlatego, że otwierała się przed nami nieskończona perspektywa „rozwiniętego społeczeństwa liberalnego”, a może była to przypadkowa zbieżność obu tych czynników. Szliśmy do kina na *Hair*. Gdy samolot zabierał bohatera filmu do

Wietnamu, umieraliśmy zarówno my, jak i nasze złudzenia z maja sześćdziesiątego ósmego.

W miarę jak przejdą tygodnie, a my będziemy jeździć ciągle tymi samymi trasami i parkować ciągle w tym samym miejscu, zniknie wreszcie poczucie dziwności. Odkryjemy ze zdumieniem, że poruszamy się w kręgu tej ogromnej i niedookreślonej populacji, której niewyraźny szum unoszący się rano i wieczorem nad autostradami zdaje się przepełniać nas niewidoczną, lecz pewną realnością. Odkryjemy Paryż, zlokalizujemy dzielnice i ulice, stacje metra i najlepsze miejsce na peronie, żeby wysiąść z wagonu jednej linii i przesiąść się na drugą. Odważymy się wreszcie dojechać samochodem aż do Étoile i Concorde. Przy wjeździe na most Gennevilliers, spoglądając na otwierającą się nagle ogromną perspektywę Paryża, doświadczymy wzniosłego uczucia, że stanowimy część tego olbrzymiego, gorączkowego życia, jakby spotykał nas osobisty awans. Nie mieliśmy ochoty powracać do tego, co było już dla nas tylko prowincją. Aż pewnego wieczora w pociągu zagłębiającym się w podparyską noc, punktowaną czerwonymi i niebieskimi neonami, barwami regionu paryskiego, sabaudzkie miasto, z którego wyprowadziliśmy się trzy lata wcześniej, wyda nam się końcem świata.

Wojna w Wietnamie się skończyła. Od jej rozpoczęcia przeżyliśmy tak wiele, że stanowiła część naszej biografii. W dniu upadku Sajgonu uświadomiliśmy sobie, że nigdy nie wierzyliśmy w klęskę Amerykanów. Płacili w końcu za napalm i biegnącą przez pole ryżowe dziewczynkę z plakatu wiszącego w naszym domu. Czuło się rzeźkość i zarazem zmęczenie płynące ze spraw nareszcie dokonanych. Odzierano nas ze złudzeń. W telewizji pokazywano statki oblepione gronami uciekinierów z komunistycznego Wietnamu. Cywilizowana facjata dobrodusznego Sihanouka, króla Kambodży, który prenumerował „Le Canard enchaîné”, nie była w stanie przesłonić okrucieństwa Czerwonych Khmerów. Zmarł Mao. Przypominano sobie pewien zimowy poranek, gdy w kuchni przed wyjściem do szkoły usłyszało się, że ktoś krzyczy „Stalin nie żyje!”. Odkrywano, że za plecami boga rzeki ustrojonego w sto kwiatów działała banda złoczyńców kierowana przez Jiang Qing, wdowę po przywódcy. Tuż obok nas, za granicą, Czerwone Brygady i banda Baadera porywały przedsiębiorców i polityków, a ich zwłoki odnajdywano potem w bagażnikach samochodów jak trupy pierwszych lepszych mafiosów. Pełne nadziei oczekiwanie na rewolucję stało się rzeczą wstydliwą i nie ośmielaliśmy się przyznać, że zasmuciło nas samobójstwo Ulrike Meinhof w jej więziennej celi. Zbrodnia popełniona przez intelektualną ikonę lewicy, filozofa Louisa Althussera, który pewnego niedzielnego poranka udusił swoją żonę w małżeńskim łożu, w niejasny sposób zdawała się wynikać tyleż z marksizmu, którego był ucieleśnieniem, ile z problemów natury psychicznej.

W studiach telewizyjnych pojawiali się „nowi filozofowie”. Zwalczali „ideologie” i wymachiwali Sołżenicynem, żeby zdezawuować marzących o rewolucji. W odróżnieniu od Sartre’a, o którym powiadano, że zniedołężniał i w dalszym ciągu odmawiał występowania w telewizji, i od de Beauvoir, wyrzucającej z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, ci „nowi” byli młodzi, „apelowali” do sumień słowami zrozumiałymi dla wszystkich i dzięki temu ludzie wyzbywali się kompleksów, że niczego nie rozumieją. Miło było popatrzeć na spektakl ich moralnego oburzenia, ale nie wiadomo było, co chcieli za jego pomocą osiągnąć, chyba tylko zniechęcić do głosowania na Związek Lewicy.

My, których w dzieciństwie przekonywano, że zbawienie duszy zależy od dobrych uczynków, którym potem na lekcjach filozofii zalecano, aby wprowadzać w życie imperatyw kategoryczny Kanta: postępuj zawsze tak, aby twój czyn mógł stać się prawem powszechnym, i którzy wreszcie wraz z Marksem i Sartre'em mieliśmy zmieniać świat, uwierzywszy w sześćdziesiątym ósmym, że jest to możliwe, nie dostrzegaliśmy w tej nowej filozofii żadnej nadziei.

Autorytety milczały na temat przedmieść i nowo przybyłych rodzin, sąsiadujących teraz w blokach z wcześniejszymi mieszkańcami, którzy zarzucali im, że nie mówią i nie jedzą jak oni. Trudni do opisania i prawie nieznani ludzie żyjący poniżej ideału szczęścia, do którego aspirowało społeczeństwo, grupy upośledzonych przez los, ubodzy niemający innego wyboru, jak tylko mieszkać w „klatkach dla królików", gdzie przecież nikt nie mógłby być szczęśliwy. Imigracja w dalszym ciągu miała twarz robotnika drogowego w kasku, krzątającego się w wykopie, albo śmieciarza stojącego na stopniu pełnej odpadów ciężarówki. Ta egzystencja miała wymiar czysto ekonomiczny, tak też triumfalnie powtarzali uczniowie w trakcie corocznej obywatelskiej dyskusji w klasie, przekonani, że szermują najlepszym argumentem przeciwko rasizmowi: potrzebujemy ich, żeby wykonywali prace, których nie chcą już wykonywać Francuzi.

Do świadomości przebijały się tylko fakty pokazywane w telewizji. Każdy miał kolorowy odbiornik. Starzy włączali go w południe, gdy rozpoczynano nadawanie programu, i wieczorem zasypiali przed nieruchomym obrazem kontrolnym. Zimą pobożni telewidzowie mogli obejrzeć *Dzień Pański*, żeby wziąć udział we mszy, nie wychodząc z domu. Kobiety prasowały, oglądając serial na pierwszym programie albo *Dzień dobry pani* na drugim. Matki zapewniały sobie ciszę, włączając dzieciom *Środowych gości* albo *Cudowny świat Disneya*. Dla wszystkich telewizja była natychmiastowym i tanim środkiem „rozrywki", żonom dostarczała spokoju, gdy siedzący obok mężowie oglądali niedzielne wydanie magazynu sportowego. Otaczała nas stałą i niewyczuwalną troską, którą emanowały uśmiechnięte i jednomyślnie wyrozumiałe twarze prowadzących (Jacques Martin i Stéphane Collaro), ich dobrotliwe spojrzenia (Bernard Pivot, Alain Decaux). Spajała nas coraz mocniej, przekazując nam te same zainteresowania, niepokoje i satysfakcje – czy odnajdą podłego mordercę

małego Philippe’a Bertranda, czy uwolnią porwanego barona Empaina, czy złapią nieuchwytnego bandytę Mesrine’a[70], czy ajatollah Chomeini wróci do Iranu? Dawała nam bezustannie odnawianą moc przywoływania wielkich wydarzeń i małych faktów z kroniki wypadków codziennych. Dostarczała informacji z zakresu medycyny, historii, geografii, ze świata zwierząt i tak dalej. Poszerzała wiedzę, która była radosna i nie niosła żadnych konsekwencji. Inaczej niż w szkole można ją było po prostu przekazywać w niezobowiązującej rozmowie, sygnalizując formułką: „W telewizji mówili” albo – do wyboru – „W telewizji pokazywali”, że zachowuje się pewien dystans do źródła lub prawdziwości tego, o czym mowa.

Tylko nauczyciele oskarżali telewizję o to, że odciąga dzieci od lektury i wyjaławia ich wyobraźnię. One nie przejmowały się tym wcale, wyśpiewywały na cały głos zasłyszane w programach telewizyjnych piosenki, naśladowały głosy postaci z dobranocek, bawiły się doskonale, przerabiając na dowcipy hasła reklamowe.

Dzień po dniu telewizja przekazywała niejednorodny, bezustanny zapis świata. Rodziła się nowa pamięć. Na powierzchnię magmy spraw wirtualnych, zobaczonych, zapomnianych i ogołoconych z towarzyszącego im komentarza, wypływały długie reklamy, postaci najbardziej malownicze lub najczęściej pokazywane, sceny niecodzienne i gwałtowne, nakładające się na siebie, jakby zmarła samobójczą śmiercią aktorka Jean Seberg i porwany przez Czerwone Brygady włoski polityk Aldo Moro zostali znalezieni martwi w tym samym samochodzie.

Odnosiło się wrażenie, że śmierć intelektualistów i artystów pogłębia nieszczęścia trawiące epokę. Roland Barthes umarł za wcześnie. Śmierci Sartre’a spodziewaliśmy się i nadeszła, majestatyczna, milion ludzi szło za trumną, a turban na głowie Simone de Beauvoir przekrzywił się, gdy filozofa składano do ziemi. Sartre przeżył dwa razy tyle, co Camus, dawno już leżący w grobie, pochowany zimą na przełomie 1959 i 1960 roku, dwa miesiące po Gérardzie Philipie.

Odejścia Brela i Brassensa, podobnie jak niegdyś Piaf, zaskakiwały bardziej, jakby powinni towarzyszyć nam przez całe nasze życie, chociaż ostatnio rzadziej się ich słuchało, tego pierwszego, bo za bardzo moralizatorski, tego drugiego, bo anarchistyczny w zbyt oswojony sposób.

Wolało się Renauda i Souchona. Nie do porównania z groteskową śmiercią Claude'a François rażonego prądem w wannie w przeddzień pierwszej tury wyborów parlamentarnych, które lewica przegrała, choć wszyscy spodziewali się, że je wygra, ani Joe Dassina, powalonego zawałem, mimo że był od nas tylko trochę starszy. Jego odejście sprawiło, że nagle poczuliśmy się bardzo daleko od wiosny siedemdziesiątego piątego i upadku Sajgonu, od dawki nadziei, którą niosła jego popularna piosenka *L'Été indien*.

Pod koniec lat siedemdziesiątych na rodzinnych obiadach, których tradycja utrzymywała się pomimo geograficznego rozproszenia biesiadników, pamięć stawała się krótsza.

Gdy tak siedzieliśmy nad przegrzebkami, pieczenią wołową kupioną u rzeźnika, a nie w supermarkecie, i ptysiami ziemniaczanymi, mrożonymi, ale – jak zapewniano – równie dobrymi jak domowe, rozmawiało się o samochodach, porównując marki, o tym, czy lepiej zbudować nowy dom, czy kupić stary, o ostatnich wakacjach, o konsumowaniu czasu i rzeczy. Instynktownie omijano tematy budzące niegdyś społeczne pragnienia i wszystkie sprawy dotyczące różnic kulturowych, a zamiast tego rozkładano na czynniki pierwsze wspólną teraźniejszość, zamachy bombowe na Korsyce, w Hiszpanii i w Irlandii, diamenty cesarza Bokassy, antyprezydencki pamflet *Hazard d'Estaing*, kandydaturę humorysty Coluche'a na stanowisko głowy państwa, tenisistę Björna Borga, wpływ barwnika E 123, filmy – *Wielkie żarcie*, który widzieli wszyscy z wyjątkiem dziadków, bo nie chodzili do kina, czy *Manhattan* Woody'ego Allena, znany tylko wtajemniczonym. W konwersacji, w której monopol na tematy mieli mężczyźni, kobiety skupiały się w swoim gronie na kwestiach gospodarskich – składaniu prześcieradeł z gumką, wycieraniu się dżinsów na kolanach, wywabiania solą plam po winie na obrusach.

Dawne upodobanie do wspomnień wojennych wygasło. Czasem tylko zatliło się jeszcze przy deserze i szampanie, reanimowane przez najstarszych, których słuchano z tym samym pobłażliwym uśmiechem jak wtedy, gdy przywoływali Maurice'a Chevaliera i Joséphine Baker. Więzi z przeszłością słabły. Komunikowano się wyłącznie w sprawach bieżących.

Dzieci stanowiły temat trwożnych rozmów rodziców porównujących metody swobodnego wychowania, którego sami nie zaznali – czego zakazywać, a na co zezwalać (pigułka, prywatki, papierosy, motorower). Dyskutowali o zaletach prywatnego szkolnictwa, użyteczności nauki niemieckiego i udziału w zagranicznym kursie językowym. Chcieli dobrego gimnazjum, dobrego profilu nauczania, dobrego liceum, dobrych profesorów – owładnięci ideą zapewnienia potomkom doskonałych warunków i bezbolesnego indywidualnego sukcesu, za które czuli się odpowiedzialni.

Czas dzieci zastępował czas umarłych.

Ostrożnie wypytywane o swoje rozrywki i ulubioną muzykę, nastolatki odpowiadały grzecznie, lakonicznie i nieufnie, pewne, że w gruncie rzeczy nie interesujemy się ich gustami, chyba że jako znakiem czegoś, co one same postrzegały jedynie niejasno, może ich ukrytego bytu, o którym nie miały zamiaru nas informować. Na koniec zdezorientowani opowieściami o grach fabularnych i strategicznych oraz *heroic fantasy*, uspokajaliśmy się, że odwołują się do *Władcy pierścieni* i Beatlesów, a nie tylko do Pink Floydów, Sex Pistols czy hard rocka, którym zamęczały nas jak dzień długi. Widząc, że są miłe w swoich sweterkach w serek nałożonych na kraciaste koszule i schludnie uczesane, myśleliśmy sobie, że na razie nie grożą im jeszcze narkotyki, schizofrenia i pośredniak.

Po deserze najmłodszych proszono o pokazanie obrazków wykonanych z gwoździ i drutu, zademonstrowanie zręczności w układaniu kostki Rubika, zagranie na pianinie *Małego Murzynka* Debussy’ego, którego – ku irytacji rodziców – nikt tak naprawdę nie słuchał. Po wahaniach rezygnowano z zakończenia rodzinnego spotkania grą towarzyską, gdyż młodzi nie znali brydża, starzy byli nieufni wobec scrabbli, a *Monopoly* zajmowało zbyt dużo czasu.

A my, na początku lat osiemdziesiątych wchodzący w czterdziestkę, przepełnieni znużoną słodyczą kultywowanej tradycji, spoglądając kolejno na twarze biesiadników, które na tle okna wydawały się czarne, mieliśmy przelotne poczucie dziwności tego powtarzalnego rytuału, w którym braliśmy teraz udział, zajmując środkowe miejsce pomiędzy dwiema generacjami. Przyprawiające o zawrót głowy wrażenie niewzruszoności, jakby w społeczeństwie nic się nie zmieniło. Pośród gwaru głosów, które

nagle wydawały nam się oderwane od ciał, uświadamialiśmy sobie, że w trakcie rodzinnego posiłku mógłby się przydarzyć nagły atak szaleństwa i ktoś przewróciłby stół, wydając z siebie dzikie wrzaski.

Wreszcie zgodnie z pragnieniem, które żywiliśmy my sami, jak i państwo działające za pośrednictwem banków i planów oszczędnościowych na cele mieszkaniowe, „nabywało się prawo własności". Realizacja tego marzenia, społeczne spełnienie ścieśniało czas, przybliżało pary do starości: będą tu żyli razem aż do śmierci. Praca, małżeństwo, dzieci – dotarli do kresu reprodukcji przypieczętowanej teraz kredytem na dwadzieścia lat. Odurzali się majsterkowaniem i malowaniem wnętrz, kładzeniem tapet. Czasem ogarniało ich przelotne pragnienie powrotu do przeszłości. Zazdrościli młodym, którzy za obopólną zgodą praktykowali, jak to się mówiło, „młodzieńcze współzamieszkiwanie", do czego oni sami nie mieli niegdyś prawa. Wokół nich roiło się od rozwodników. Próbowali filmów erotycznych, kupowali w sex-shopie bieliznę. Kochając się od lat z tym samym mężczyzną, kobiety miały wrażenie, że stają się z powrotem dziewicami. Czas między miesiączkami wydawał się krótszy. Porównywały swoje życie do życia osób samotnych i rozwiedzionych, z melancholią spoglądały na młodą podróżniczkę z plecakiem siedzącą na ziemi przed dworcem i spokojnie pijącą mleko z kartonu. Aby sprawdzić, czy mogłyby żyć bez męża, po południu szły same do kina, drżąc całe w środku, bo były pewne, że każdy wie, iż nie są na swoim miejscu.

Wracały na wielki rynek uwodzenia, z powrotem odkrywały, że w świecie mogłyby zaznać przygód, od których oddaliły je małżeństwo i macierzyństwo. Chciały wyjechać na wakacje bez męża i dzieci, ale uświadamiały sobie, że perspektywa samotnego podróżowania i mieszkania w hotelu napełniała je lękiem. W zależności od dnia wahały się między chęcią powrotu do niezależności a obawą przed nim. Aby poznać swoje prawdziwe pragnienia i dodać sobie odwagi, szły zobaczyć *Kobietę pod presją* Johna Cassavetesa, *Identyfikację kobiety* Michelangela Antonioniego, czytały *Leworęczną kobietę* Petera Handkego, *La Femme fidèle* Marivaux. Zanim podjęły decyzję o separacji, czekały je miesiące scen i męczących pojednań, rozmów z przyjaciółkami, ostrożnego przygotowywania rodziców na rozłam w małżeństwie, ich, którzy w dniu ślubu ostrzegali: „W naszej rodzinie nie było rozwodów". W procesie

rozpadu sporządzanie inwentarza mebli i sprzętów do podziału wyznaczało punkt, za którym nie ma już odwrotu. Spisywało się listę przedmiotów nagromadzonych w ciągu piętnastu lat:

dywan 300 franków
wieża stereo 10 000 franków
akwarium 1000 franków
marokańskie lustro 200 franków
łóżko 2000 franków
fotele w stylu Emmanuelle 1000 franków
szafka na leki 50 franków i tak dalej

Toczyło się o nie kłótnie, przeciwstawiając wartość handlową, „To nic niewarte", wartości użytkowej, „Ja bardziej potrzebuję samochodu niż ty". To, czego pragnęliśmy razem, kiedy się wprowadziliśmy, czego nabycie nas cieszyło, a co potem wtopiło się w tło lub zatarło w codziennym użytkowaniu, odnajdowało teraz początkową, zapomnianą wartość przedmiotu mającego cenę. Podobnie jak lista sprzętów do kupienia, od garnków po pościel, utrwalała kiedyś jedność w trwaniu, tak teraz lista rzeczy do podziału materializowała rozstanie. Unieważniała wspólne zainteresowania i pragnienia, zamówienia z katalogu robione wieczorem po kolacji, rozterki u Darty'ego, który z dwóch modeli kuchenki wybrać, ryzykowny przewóz na dachu samochodu fotela kupionego pewnego letniego popołudnia u handlarza starzyzną. Inwentarz ratyfikował śmierć związku. Następnym krokiem było zasięgnięcie porady adwokata, przełożenie naszej historii na język prawny, który za jednym zamachem pozbawiał ją elementów uczuciowych, wciskał w banalność i anonimowość „rozkładu pożycia". Miało się ochotę uciec i na tym poprzestać, lecz przeczuwało się, że nie ma odwrotu, byłyśmy gotowe znieść to rozdarcie, groźby i wyzwiska, podłość, gotowe żyć, mając do dyspozycji dwa razy mniej pieniędzy, gotowe na wszystko, byle tylko odzyskać nadzieję na przyszłość.

Kolorowe zdjęcie: kobieta, mniej więcej dwunastoletni chłopiec i mężczyzna, wszyscy oddaleni od siebie jak wierzchołki trójkąta, stoją na piaszczystej esplanadzie, białej od słońca, rzucając na nią cienie, w tle budynek wyglądający na muzeum. Po prawej mężczyzna w maoistowskim

mundurku, sfotografowany od tyłu, z rękami w górze filmuje budowlę. Chłopiec z najdalszego wierzchołka trójkąta stoi przodem do obiektywu, jest w szortach i T-shircie z niewidocznym nadrukiem, trzyma czarny przedmiot, bez wątpienia etui na aparat. Po lewej, na pierwszym planie i uchwycona z półprofilu, kobieta w zielonej dopasowanej sukience luźnej w talii, coś między stylem codziennym a hipisowskim. Trzyma grubą książkę, najprawdopodobniej przewodnik. Włosy ma starannie ściągnięte do tyłu i zaczesane za uszy, przez co jej twarz zdaje się pełna, a przy tym niewyraźna, bo pada na nią ostre światło. Pod luźną sukienką dolna część ciała wydaje się ciężka. Obydwoje, kobieta i dziecko, sprawiają wrażenie, jakby zostali uchwyceni w ruchu, jak gdyby szli i odwrócili się z uśmiechem do obiektywu w ostatniej chwili, usłyszawszy zawołanie tego, kto robi zdjęcie. Na odwrocie napis: „Hiszpania, lipiec ’80”.

Jest żoną i matką w tej rodzinnej grupce, której czwarty członek, nastoletni syn, nacisnął migawkę. Pomimo szerokiego uśmiechu ściągnięte do tyłu włosy, opuszczone ramiona, bezkształtnie opadająca sukienka zdradzają, że jest znużona i obojętna na to, czy się podoba, czy nie.

Tutaj, w pełnym słońcu, na tym trudnym do zidentyfikowania etapie ich podróży, nie było w niej zapewne żadnej myśli wykraczającej poza rodzinną bańkę, poza przemieszczanie się peugeotem 306 od paradorów do barów z tapas i zabytków oznaczonych trzema gwiazdkami w przewodniku, a wszystko to z obawą, że gdy wrócą do samochodu, okaże się, że opony poprzecinało im ETA. W tej celi pod gołym niebem, chwilowo wyzwolona – odkąd w rzęsistym deszczu opuścili region paryski – od wielorakich trosk, których skrótowe ślady znajdują się w jej notesie (zmienić pościel, zamówić pieczeń, wywiadówka i tak dalej), a tym samym bardziej skupiona na sobie, nie może jednak uwolnić się ze swojego małżeńskiego cierpienia, poczucia niemocy, żalu i porzucenia. To cierpienie wpływa na jej stosunek do świata: krajobrazy docierają do niej jakby z oddali. Gdy w strefach przemysłowych przy wjeździe do miast dostrzega wznoszące się na równinie sylwetki wielkich centrów handlowych, a nie zauważa osiołków, ogranicza się do stwierdzenia, że Hiszpania zmieniła się od śmierci Franco. W kawiarnianych ogródkach widzi tylko kobiety między trzydziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia i szuka na ich twarzach znaków szczęścia lub rozpaczy: „A jak jest z nimi?”. Ale też czasem, siedząc w głębi baru, patrząc z pewnej odległości na swoje dzieci grające z ojcem

na fliperach, myśli z bólem, że rozwodząc się z nim, sprowadzi cierpienie do tego jakże spokojnego świata.

Z tej podróży do Hiszpanii pozostaną następujące momenty:

na plaza Mayor w Salamance, kiedy siedząc w cieniu, popijali drinki, nie mogła oderwać wzroku od mniej więcej czterdziestoletniej kobiety, którą można by wziąć za stateczną matkę w kwiecistej bluzce, spódnicy do kolan i z torebką w ręce, polującej pod arkadami na klientów

nocą w hotelu Escurial w Toledo, obudzona jękami, pobiegła do sąsiedniego pokoju, w którym mieszkali chłopcy. Spali spokojnie. Gdy położyła się z powrotem do łóżka, ona i jej mąż zdali sobie sprawę, że to jakaś kobieta przeżywa niekończący się orgazm. Jej krzyki odbijały się od ścian patio i przez otwarte okna wpadały do wszystkich pokoi. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zrobić sobie dobrze, leżąc przy śpiącym mężu

w Pampelunie, gdzie spędzili trzy dni podczas święta Sanfermines, pewnego popołudnia, drzemiąc sama w łóżku, poczuła się jak w swoim kąciku w bursie dla dziewcząt, kiedy miała osiemnaście lat, to samo ciało i ta sama samotność, ten sam brak woli działania. Z łóżka słyszała muzykantów, którzy przemierzali miasto w przebraniach, z przyprawionymi wielkimi głowami, nigdzie się nie zatrzymując. To było dawne odczucie, że się jest z dala od świętujących

Tego lata 1980 roku czas jej młodości wydaje się jej nieograniczoną przestrzenią pełną światła, którą ona w całości zajmuje i którą ogarnia swoim obecnym wzrokiem, nie rozpoznając niczego konkretnego.
W osłupienie wprawia ją myśl, że ten świat jest już za nią. Wtedy właśnie po raz pierwszy dociera do niej straszliwy sens zdania: „Ma się tylko jedno życie”. Być może widzi przyszłą siebie w starej kobiecie z *Nakarmić kruki*, filmu Carlosa Saury, teraz już tak odległego, który wstrząsnął nią owego lata suszy, odrealniającego upału – kobiecie sparaliżowanej, niemej, z twarzą zalaną łzami, niestrudzenie kontemplującej wiszące na ścianie fotografie, a w tle lecą w kółko te same piosenki. Filmy, które chce zobaczyć lub które widziała niedawno, *Wanda*, *Taka zwykła historia*, tworzą w niej linie fikcji. Poszukuje w nich własnego życia, domaga się od nich, aby nakreśliły dla niej przyszłość.

Wydaje się jej, że jakaś książka pisze się sama gdzieś poza nią, po prostu dlatego, że ona żyje – ale tak nie jest.

Nie spostrzegliśmy nawet, że przebudziliśmy się z letargu.

Ludzie traktowali społeczeństwo i politykę z radosną kpiną Coluche'a[71]. Nawet dzieci wiedziały, że jego skecze są zakazane we wszystkich stacjach, a przecież co chwila ktoś powtarzał: „To coś nowego, to właśnie wyszło". Jego wizja Francji „zwiniętej w kłębek ze śmiechu" pasowała do naszej i zachwycało nas, że postanowił startować w wyborach prezydenckich, chociaż nie wyobrażaliśmy sobie, żebyśmy rzeczywiście mogli oddać na niego głos, to byłby jednak rodzaj świętokradztwa. Cieszono się z informacji, że wyniosły Giscard d'Estaing dostał diamenty od afrykańskiego potentata podejrzewanego o to, że trzyma zwłoki swoich przeciwników w zamrażarce. Dzięki zaskakującemu odwróceniu ról prawdę, postęp i młodość ucieleśniał już nie on, lecz Mitterrand, który był za: niezależnym radiem, zwrotem kosztów zabiegu przerwania ciąży, emeryturą od sześćdziesiątego roku życia, trzydziestodziewięciogodzinnym tygodniem pracy, zniesieniem kary śmierci i tak dalej. To jego otaczała teraz aura suwerenności, której odwieczną oczywistość umacniał portret zrobiony na tle jakiejś wioski i kościelnej wieży.

Milczeliśmy, bo byliśmy przesądni. Przyznanie się do tego, że mocno wierzyliśmy w dojście lewicy do władzy, mogło przynieść pecha. „Wybory to pułapka na durniów"[72] było sloganem z innej epoki.

Nie wierzyliśmy w to nawet wtedy, gdy zobaczyliśmy, jak na ekranie telewizora pojawia się dziwaczna twarz François Mitterranda zrobiona z niepołączonych ze sobą kropek. Potem zdaliśmy sobie sprawę, że całe nasze dorosłe życie upłynęło pod rządami ludzi, którzy nas nie obchodzili, że z wyjątkiem jednego miesiąca – maja – minione dwadzieścia trzy lata jawiły się nam jako strumień czasu pozbawionego nadziei, a polityka nigdy nie stała się dla nas źródłem szczęścia. Mieliśmy o to żal, jakby okradziono nas z naszej młodości. Aż wreszcie pewnego mglistego niedzielnego majowego wieczora, który zacierał klęskę tamtego maja, powracaliśmy w nurt Historii, pragnęliśmy stworzyć ją od nowa wraz z gromadą młodych mężczyzn i kobiet, robotników i nauczycieli, artystów i homoseksualistów, pielęgniarek i listonoszy. To był rok trzydziesty szósty, Front Ludowy naszych rodziców, Wyzwolenie, maj sześćdziesiątego ósmego, który się powiódł. Potrzebowaliśmy liryzmu i emocji, róży i Panteonu[73], Jeana Jaurèsa i Jeana Moulina, piosenek z czasów Komuny Paryskiej i hymnu górników z północnej Francji. Wprawiających nas w drżenie słów, które

wydawały się szczere, bo już od dawna ich nie słyszeliśmy. Zanim skonfrontujemy się z przyszłością, musimy odzyskać przeszłość, na nowo zdobyć Bastylię, upić się symbolami i nostalgią. Naszymi łzami były łzy szczęścia Mendèsa-France'a, gdy ściskał go Mitterrand. Kpiło się z tchórzostwa posiadaczy, którzy pędzili ulokować kasę w Szwajcarii, z poczuciem wyższości uspokajało się szkolną sekretarkę przekonaną, że jej mieszkanie zostanie zaraz znacjonalizowane. Zamach na Jana Pawła II, ranionego z pistoletu przez jakiegoś Turka, zdarzył się w nieodpowiednim momencie, nie zapadnie w pamięć.

Wszystko wydawało się możliwe. Wszystko zdawało się nowe. Na czterech komunistycznych ministrów zerkało się z ciekawością, jak na egzotyczne stwory, dziwiąc się, że nie przypominają Sowietów i mówią bez akcentu Georges'a Marchais'go czy Andrégo Lajoinie. Spodziewano się parlamentarzystów z fajką i brodą jak u studentów w latach sześćdziesiątych. Atmosfera wydawała się lżejsza, życie odmłodniało. Powracały słowa: „burżuazja", „klasa społeczna". Język się rozluźniał. Jadąc w wakacje autostradą, słuchając puszczanych na cały regulator kaset Iron Maiden i przygód Davida Grosexe'a w niezależnym radiu Carbone 14, mieliśmy wrażenie, że otwiera się przed nami nowy czas.

Od kiedy sięgnąć pamięcią, nigdy nie pozwolono na tak wiele w tak krótkim czasie (o czym się wkrótce zapomni i nie można już będzie sobie wyobrazić powrotu do dawnego stanu rzeczy). Zniesiona kara śmierci, zwrot kosztów za zabieg przerwania ciąży, prawne uregulowanie sytuacji nielegalnych imigrantów, zalegalizowanie homoseksualizmu, urlopy dłuższe o tydzień, tydzień pracy skrócony o godzinę i tak dalej. Jednakże spokój nie potrwał długo. Rząd domagał się pieniędzy, pożyczał je od nas, dewaluował, zabraniał wywozu franków z kraju, kontrolując biura wymiany walut. Atmosfera stawała się napięta, język – „dyscyplina" i „oszczędność" – sugerował karę, jakby posiadanie większej ilości czasu, pieniędzy i praw było nielegalne, jakby trzeba było powrócić do naturalnego porządku narzucanego przez ekonomistów. Mitterrand nie mówił już o „ludzie lewicy". Na razie jeszcze nie za bardzo miano mu to za złe, nie był przecież Margaret Thatcher, która pozwoliła umrzeć prowadzącemu strajk głodowy Bobby'emu Sandsowi i wysłała żołnierzy na śmierć na Falklandy. Jednak 10 maja pozostawał wspomnieniem krępującym, niemal komicznym. Wszystko, co wydawało się nam

spełnieniem sprawiedliwości i początkiem nowego społeczeństwa, nacjonalizacja, podwyżki płac, skrócenie czasu pracy, okazało się urządzoną z rozmachem ceremonią ku pamięci Frontu Ludowego, hołdem złożonym zapomnianym ideałom, w które celebransi nie bardzo wierzyli. Uroczystość się nie odbyła. Państwo znów się od nas oddalało.

Zbliżało się natomiast do mediów. Politycy produkowali się w telewizji na tle uroczystych scenografii, do wtóru dramatycznej muzyki, udając, że poddają się przesłuchaniom i mówią prawdę. Gdy słyszano, jak bez wahania cytują tak wiele liczb i nigdy ani niczym nie dają się zbić z tropu, domyślano się, że z góry znają zadawane pytania. Jak w szkolnych rozprawkach chodziło o to, żeby „przekonać". Z tygodnia na tydzień pojawiali się kolejni: dobry wieczór, pani Georgino Dufoix, dzień dobry, panie Charles'u Pasqua, dobry wieczór, panie Brisie Lalonde. Nie zapamiętywano niczego z wyjątkiem „myśli przewodniej" ich wywodów, na którą zresztą nikt nie zwróciłby uwagi, gdyby czujni dziennikarze nie wprowadzali jej triumfalnie do obiegu.

Fakty, rzeczywistość materialna i niematerialna dochodziły do nas za pośrednictwem liczb i procentów, bezrobotni, sprzedaż samochodów i książek, prawdopodobieństwo raka i śmierci, opinie „za" i „przeciw". „Pięćdziesiąt pięć procent Francuzów uważa, że jest za dużo Arabów, trzydzieści procent ma magnetowid. Dwa miliony są bezrobotne". Liczby nie wyrażały niczego poza fatalizmem i determinizmem.

Nie sposób ustalić, od kiedy Kryzys, byt mroczny i bezkształtny, stał się dla wszystkich przyczyną i wyjaśnieniem świata, pewnością absolutnego zła. Był nim jednak, gdy Yves Montand w trzyczęściowym garniturze, popierany przez „Libération" – które zdecydowanie nie było już gazetą Sartre'a – wyjaśnił nam, że cudownym lekarstwem na Kryzys jest Przedsiębiorczość. Całe jej eschatologiczne piękno ucieleśniło się później w obrazie i głosie Catherine Deneuve, oddanych w służbę Banque de Suez, gdy zachwalała otwarcie się tegoż na kapitały prywatne, a wysokie, okazałe wrota do bogactwa rozsuwały się powoli, całkiem inaczej niż drzwi z *Procesu* Kafki, które ta reklama przywodziła nam na myśl.

Przedsiębiorczość była prawem naturalnym, oznaką nowoczesności i inteligencji, to ona miała uratować świat. (Nie rozumieliśmy więc, dlaczego fabryki zwalniały pracowników i plajtowały). Nie spodziewano

się już niczego po „ideologiach” i ich „drętwej mowie”. „Walka klas”, „zaangażowanie”, opozycja „kapitału i pracy” wzbudzały uśmiechy politowania. Słowa, których przestano używać, wydawały się pozbawione znaczenia. Pojawiały się inne i narzucały się jako kryteria oceny jednostek i czynów, „skuteczność”, „wyzwanie”, „zysk”. „Sukces” urastał do rangi wartości transcendentalnej, definiował „Francję, która wygrywa”, od Paula-Loupa Sulitzera po Philippe’a de Villiers[74], opromieniał blaskiem Bernarda Tapie, faceta, „który startował od zera”. To był czas wciskania kitu.

Nie wierzono w niego. Gdy stało się na stacji kolejki podmiejskiej w Nanterre obok uniwersytetu, krew mroził wielki napis na budynku z szarego betonu naprzeciwko – URZĄD PRACY. Żebrało tak wielu, że człowiek się zastanawiał, czy to nie jest przypadkiem jakiś nowy zawód. Wraz z wprowadzeniem kart kredytowych pieniądze stawały się niewidzialne.

Z braku nadziei zalecano, byśmy „wyzwolili serca”, zachęcano do noszenia przypinek, udziału w marszach i koncertach, kupowania płyt wspierających akcje walki z głodem, rasizmem, biedą, w obronie pokoju na świecie, za polską Solidarnością, Jadłodajniami Serca, uwolnieniem Nelsona Mandeli i Jeana-Paula Kauffmanna.

Przedmieścia anektowały wyobraźnię, przybierając niewyraźną postać rzędów betonowych bloków i błotnistych połaci przy końcowych przystankach kolejki podmiejskiej i autobusów zmierzających na północ, śmierdzących moczem klatek schodowych, stłuczonych szyb i popsutych wind, piwnic usłanych strzykawkami. „Młodzi z przedmieść” stanowili osobną kategorię ludzi, nieucywilizowaną, w niejasny sposób groźną, bardzo mało francuską, chociaż się tu urodzili. Godni podziwu belfrzy, gliny i strażacy odważnie „stawiali im czoło” na ich terytorium. „Dialog kultur” sprowadzał się do przyswojenia sobie ich sposobu mówienia i naśladowania ich akcentu, przestawiania – jak oni – liter i sylab, mówieniu „*une meuf*” zamiast „*une femme*” (kobieta) i „*un tarpé*” zamiast „*un pétard*” (skręt z haszyszem). Otrzymali zbiorową nazwę oznaczającą zarówno ich pochodzenie, kolor skóry, jak i sposób mówienia: „*les Beurs*” (odwrócone i przekręcone „*les Arabes*”). Szydercy twierdzili, że zamiast „Mówię po francusku” wypowiadają „Moja mówić Francja”. Było ich wielu, nie znało się ich.

Na powierzchnię wypłynął też znowu typ ze skrajnej prawicy, Jean-Marie Le Pen, którego pamiętano z dawniejszych czasów – z czarną opaską na oku przywodził na myśl Moszego Dajana.

Na peryferiach miast gigantyczne sklepy otwarte także w niedziele oferowały tysiące butów, narzędzi i mebli. Hipermarkety olbrzymiały, dotychczasowe wózki zastępowano większymi. Nawet pochylając się, trudno było dosięgnąć ich dna. Wymieniano też telewizory na nowsze, żeby mieć odbiorniki z eurozłączem i magnetowidem. Pojawienie się nowości nie wywoływało już ekscytacji, a wiara w bezustanny postęp odbierała chęć, by go sobie wyobrażać. Ludzie przyjmowali przedmioty zarówno bez zachwytu, jak i bez niepokoju, jako dodatek do osobistej swobody i przyjemności. Kiedy pojawiły się płyty kompaktowe, nie trzeba już było wstawać co kwadrans, żeby zmienić stronę, pilot pozwalał nie ruszać się z kanapy przez cały wieczór. Kasety wideo realizowały wielkie marzenie o kinie we własnym domu. Na ekranie minitela[75] można było sprawdzić potrzebny numer telefonu, godzinę odjazdu pociągu, horoskop i zajrzeć na strony erotyczne. W końcu wszystko można było robić u siebie, nikogo o nic nie prosząc, w zbliżeniu i bez wstydu oglądać w domu penisy i spermę. Przestawano odczuwać zdziwienie. Nikt nie pamiętał, że nigdy by nie uwierzył, iż pewnego dnia to zobaczy. A widział. I co? I nic. Tylko satysfakcja, że ma się dostęp do niedawno jeszcze zakazanych przyjemności.

Dzięki walkmanowi muzyka po raz pierwszy przenikała ciało, można było żyć w niej, odgrodzonym od świata.

Młodzi byli rozsądni, zasadniczo myśleli jak my. W liceum nie rozrabiali, nie buntowali się przeciwko programowi nauczania, regulaminowi czy autorytetom i godzili się na nudę lekcji. Żyć zaczynali po szkole. Grali na swoich konsolach Atari i w RPG, entuzjazmowali się komputerami osobistymi i domagali własnego – Orica 1, oglądali w telewizji *Dzieci rocka*, *Nie dla orłów*, *Klipy na dobry wieczór*, czytali Stephena Kinga i – żeby zrobić nam przyjemność – popularnonaukowy dwumiesięcznik „Phosphore”. Słuchali funka, hard rocka albo rockabilly. Żyli zanurzeni w muzyce, pomiędzy płytami a walkmanem. Świrowali na imprezach,

z pewnością palili skręty. Powtarzali materiał. Mało mówili o swojej przyszłości. Kiedy tylko mieli ochotę, otwierali lodówki i szafki, żeby niezależnie od pory dnia czy nocy zjeść jogurt, zupę w proszku, nutellę, spali w naszym mieszkaniu ze swoją dziewczyną. Nie mieli czasu robić wszystkiego, uprawiać sportu, malować, chodzić do klubu filmowego, jeździć na szkolne wycieczki. Niczego nie mieli nam za złe. Dziennikarze nazywali ich „pokoleniem olewaczy".

Uczeni i wychowywani razem już od przedszkola, dziewczyny i chłopcy rośli spokojnie w atmosferze, która w naszych oczach wyglądała na niewinną i równościową. Zarówno oni, jak i one mówili językiem szorstkim i grubiańskim, nazywali się nawzajem „ciotami" i kazali się „odpieprzyć". Uważaliśmy, że są „sobą", że traktują „naturalnie" to, co gnębiło nas w ich wieku, seks, nauczycieli i rodziców. Sondowaliśmy ich ostrożnie, obawiając się, że oskarżą nas o wchodzenie z butami w ich sprawy i granie im na nerwach. Dawaliśmy im wolność, o której marzyliśmy, gdy byliśmy w ich wieku, jednocześnie nie przestając sprawować nad nimi dyskretnej kontroli, tak jak robiły to nasze matki. Patrzyliśmy na ich autonomię i niezależność ze zdziwieniem i z satysfakcją jak na wygraną w loterii pokoleń.

Pouczali nas w sprawach tolerancji, antyrasizmu, pacyfizmu i ekologii. Nie interesowali się polityką, lecz akceptowali wszystkie szlachetne hasła, jak skrojony dla nich slogan „Wara od mojego kumpla"[76], kupowali płyty z koncertów charytatywnych przeciwko głodowi w Etiopii, uczestniczyli w marszach Beurów. Byli uwrażliwieni na „prawo do różnicy". Mieli moralną wizję świata. Podobali się nam.

W czasie świątecznych obiadów coraz rzadziej odnoszono się do przeszłości. Nikogo z młodego pokolenia nie zainteresowałyby nasze opowieści o wchodzeniu w dorosłość. Tak samo jak oni nienawidziliśmy wojen i wrogości między narodami. Nie mówiliśmy również o Algierii, Chile czy Wietnamie ani o Maju lub walce o swobodny dostęp do aborcji. Byliśmy współcześni naszym dzieciom.

Czas miniony opuszczał rodzinne stoły, umykał z ciał i głosów świadków. Pojawiał się w telewizji w archiwalnych dokumentach komentowanych przez głos znikąd. „Obowiązek pamięci" stał się obywatelską powinnością, był znakiem poczucia sprawiedliwości, nowego patriotyzmu. Po czterdziestu latach przyzwolenia na obojętność wobec

eksterminacji Żydów – bo nie można powiedzieć, by film *Noc i mgła* Alaina Resnais'go o obozach koncentracyjnych czy książki Primo Leviego i Roberta Antelma znalazły rzesze odbiorców – zaczęto odczuwać wstyd, lecz był on spóźniony. Dopiero gdy oglądało się *Shoah* Lanzmanna, do świadomości widza docierał – ku jego przerażeniu – możliwy zakres własnego okrucieństwa.

Ludzi opanowała mania genealogii. Udawali się do merostw w swoich rodzinnych stronach, zbierali akty urodzenia i zgonu, zafascynowani i zawiedzeni niemotą archiwów, w których pojawiały się tylko nazwiska, daty, zawody: Jacques-Napoléon Thuillier, urodzony 3 lipca 1807 roku, pracownik najemny, Florestine-Pélagie Chevalier, tkaczka. Przywiązywali się do przedmiotów i zdjęć rodzinnych, byli zdumieni, że bez żalu wyzbywali się ich w latach siedemdziesiątych, podczas gdy teraz tak bardzo im ich brakowało. Miało się potrzebę „powrotu do źródeł". Rosła presja odnajdywania „korzeni".

Tożsamość, która do tej pory sprowadzała się do informacji zawartych w dowodzie osobistym, stawała się przyćmiewającą wszystko troską. Nikt dokładnie nie wiedział, na czym miała polegać. Było to w każdym razie coś, co trzeba było mieć, odnaleźć, zdobyć, podkreślać, wyrażać. Cenne i najwyższe dobro.

Na świecie żyły kobiety, które zasłaniały się od stóp do głów.

Ciało, któremu formę zapewniały jogging, kasety z ćwiczeniami i aerobik, a wewnętrzną czystość woda Évian i jogurty, kontynuowało drogę do wniebowstąpienia. To ono myślało w nas. Seksualność musiała być „promienna". Aby się doskonalić, czytało się *Spraw, by oszalał na twoim punkcie. Tajniki skutecznych pieszczot* doktora Gérarda Leleu. Kobiety znowu zaczynały nosić pończochy i gorsety, deklarując, że robią to przede wszystkim „dla siebie". Zewsząd napływały zachęty do tego, by „sprawić sobie przyjemność".

Czterdziestoletnie pary oglądały filmy pornograficzne na Canal+. Na widok niestrudzonych penisów i wygolonych wzgórków łonowych ogarniało ich techniczne pożądanie, migocząca w oddali iskierka bez związku z ogniem, który – gdy dziesięć czy dwadzieścia lat temu popychał ich ku sobie – sprawiał, że nie mieli nawet czasu zdjąć butów. Teraz

w chwili orgazmu mówili: „Dochodzę”, jak aktorzy porno. Zasypiali zadowoleni, że czują się normalni.

Nadzieja i oczekiwanie przenosiły się z rzeczy na troskę o zachowanie w dobrej formie ciała, nieprzemijającej młodości. Do zdrowia miało się prawo, choroba była niesprawiedliwością, którą należało niezwłocznie usunąć.

Dzieci nie miały już robaków i prawie nigdy nie umierały. Powszechnie rodziły się z probówki, sfatygowane serca i wątroby żywych były zastępowane narządami zmarłych.

Gówno i śmierć musiały pozostawać niewidoczne.

Wolano nie mówić o chorobach, które się ostatnio pojawiły i nie było na nie lekarstwa, jak ta o niemieckiej nazwie alzheimer, otumaniająca starców i sprawiająca, że zapominali nazwiska, twarze. Inną można się było zarazić przez stosunki analne i strzykawki – była karą dla homoseksualistów i narkomanów, w ostateczności również pechem przytrafiającym się niektórym pacjentom poddawanym transfuzji.

Religia katolicka niepostrzeżenie znikła z naszego życia. Rodziny nie przekazywały już sobie jej nauk ani związanych z nią obyczajów. Oprócz kilku rytuałów nikt jej nie potrzebował jako oznaki szacunku, jakby posługiwano się nią zbyt długo, jakby w ciągu dwóch tysiącleci zużyła się w miliardach modlitw i mszy. Grzech lekki i śmiertelny, przykazania boskie i kościelne, łaska i cnoty teologalne pochodziły z niezrozumiałego słownika i schematu minionych myśli. Wolność seksualna sprawiła, że znikła moda na rozwiązłość, sprośne piosenki o siostrzyczkach zakonnych i księdzu z Camaret. Kościół nie terroryzował już wyobraźni dojrzewających nastolatków, nie ograniczał relacji seksualnych, a kobiecy brzuch znalazł się poza jego władzą. Straciwszy swoje zasadnicze pole działania, jakim był seks, Kościół stracił wszystko. Tak naprawdę poza lekcjami filozofii nie dyskutowało się już poważnie o idei Boga. Na ławce w gimnazjum jakiś uczeń napisał: „Bóg istnieje, byłem w nim na spacerze”.

Niczego nie zmieniła pod tym względem popularność nowego polskiego papieża. Był politycznym bohaterem zachodniej wolności, takim Lechem Wałęsą w skali światowej. Jego wschodni akcent, biała szata, „Nie lękajcie się” i sposób, w jaki całował ziemię, wysiadłszy z samolotu, stanowiły część show, podobnie jak rzucanie majtkami na koncertach Madonny.

(Jeśli rodzice uczniów szkół prywatnych wyszli pewnej ciepłej marcowej niedzieli na ulice, to dla wszystkich było jasne, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego[77]. Nie chodziło o wiarę religijną, lecz świecką, o pewność, że mają dla swoich dzieci gwarancję powodzenia w życiu).

Trzydziestominutowy film na kasecie wideo nakręcony podczas lekcji w drugiej klasie liceum w Vitry-sur-Seine w lutym osiemdziesiątego piątego. To ona jest kobietą siedzącą przy stole, takim samym, jakie stały we wszystkich szkołach od lat sześćdziesiątych. Naprzeciwko niej na krzesłach uczniowie w bezładnych grupkach, większość to dziewczyny, kilka Afrykanek lub Antylek, parę z Maghrebu. Niektóre są umalowane, noszą wydekoltowane sweterki, cygańskie pierścienie. Dość wysokim głosem mówi o pisaniu i życiu, o kobiecej kondycji, czasem wahając się, zatrzymując i poprawiając, zwłaszcza gdy odpowiada na pytania. Wydaje się przejęta koniecznością, aby wszystko uwzględnić, przytłoczona wizją pewnej całości, którą dostrzega tylko ona, aż wreszcie wypowiada jakieś niespecjalnie oryginalne zdanie. Porusza dużymi dłońmi, przesuwa nimi często po rudej czuprynie, ale nie ma już w niej tej nerwowości, zniknęły niedokończone gesty z domowego filmu sprzed trzynastu lat.
W porównaniu ze zdjęciami z Hiszpanii jej kości policzkowe są słabiej zaznaczone, wyraźniej natomiast rysuje się owal podbródka. Śmieje się, a właściwie lekko uśmiecha – ta subtelna wesołość podkreśla jej nieśmiałość, a może to nieświadomy spadek po skłonnym do szyderstw ludowym środowisku, w którym spędziła młodość, jest w tym także coś z uznającej swoją błahość midinetki. Ten uśmiech kontrastuje ze spokojem jej twarzy. Ma tylko delikatny makijaż, nie nałożyła pudru (cera jej się błyszczy), w wycięciu jasnozielonej bluzki z postawionym kołnierzem widać czerwoną apaszkę. Dolna część ciała kryje się pod stołem. Żadnej biżuterii. Oto niektóre pytania:

Jak wyobrażała sobie pani życie, gdy była pani w naszym wieku?

Odpowiedź (wolno): Musiałabym się zastanowić… powrócić do czasów, gdy miałam szesnaście lat, być pewna… potrzebowałabym na to co najmniej godziny. (Głos staje się nagle ostry, zdenerwowany). Wy żyjecie w roku osiemdziesiątym piątym, kobiety decydują o tym, czy będą mieć dzieci, czy chcą je mieć, nie będąc zamężne, a dwadzieścia lat temu nie było to możliwe!

Bez wątpienia w tej „sytuacji komunikacyjnej” odczuwa zniechęcenie, zdając sobie sprawę, że nie potrafi inaczej niż za pośrednictwem obiegowych zdań i banałów opisać całokształtu swojego kobiecego doświadczenia od szesnastego do czterdziestego czwartego roku życia. (Musiałaby z powrotem się w nim zanurzyć, długo trwać otoczona obrazami siebie samej w drugiej klasie, przypomnieć sobie piosenki, odnaleźć zeszyty, przeczytać, co wtedy pisała w dzienniku).

W tym momencie swojego życia jest rozwiedziona, mieszka sama z dwoma synami, ma kochanka. Z obojętnością, która ją samą zdumiała, sprzedała kupiony dziewięć lat wcześniej dom, meble. Wyzbyła się rzeczy materialnych i jest wolna. Ma wrażenie, że powraca do swojej młodości – jakby małżeństwo okazało się tylko interludium – podejmuje ją na nowo tam, gdzie ją zostawiła, odnajdując to samo pełne ekscytacji oczekiwanie, tę samą zadyszkę, gdy na wysokich obcasach biegnie na randkę, to samo rozczulenie, kiedy słyszy piosenki o miłości. Odczuwa te same pragnienia, lecz nie wstydzi się, że doskonale umie je zaspokajać, potrafi przyznać przed samą sobą: mam ochotę się pieprzyć. Dzięki tej nieznoszącej sprzeciwu akceptacji swojego ciała realizuje „rewolucję seksualną” – teraz już niezbyt odkrywcze odrzucenie wartości sprzed sześćdziesiątego ósmego – mając również świadomość jakże kruchej wspaniałości swojego wieku. Boi się starości, tego, że będzie jej brakować zapachu krwi. Ostatnio zszokowało ją urzędowe pismo informujące, że będzie zatrudniona na obecnym stanowisku do roku 2000. Dotąd ta data była dla niej nierealna.

Dzieci nie zajmują bezustannie jej myśli, tak jak nie zajmowali ich rodzice, kiedy była dzieckiem lub młodą dziewczyną. Są po prostu jej częścią.

Ponieważ nie jest już żoną, nie jest też taką samą jak przedtem matką, raczej skrzyżowaniem siostry, przyjaciółki, wychowawczyni i organizatorki życia codziennego, mniej rygorystyczną niż przed rozwodem: każdy je, kiedy chce, z tacą na kolanach i przed telewizorem. Często spogląda na synów ze zdziwieniem. Jak to możliwe, że owocem oczekiwania, aż urosną, kaszek z miodem, pierwszych dni w podstawówce, a potem w gimnazjum, są ci duzi chłopcy, o których – jest tego pewna – nie wie zbyt wiele? Bez nich nie potrafiłaby się usytuować na osi czasu. Gdy widzi małe dzieci bawiące się w piaskownicy na skwerku, jest zdumiona, że zdarza się jej przypominać sobie dzieciństwo swoich synów i poczuć, jak bardzo jest już odległe.

Ważnymi momentami jej aktualnej egzystencji są popołudniowe spotkania z kochankiem w pokoju hotelowym przy ulicy Danielle Casanovy i wizyty u matki w szpitalu na oddziale opieki paliatywnej. Jedne i drugie są ze sobą tak powiązane, że czasem wydaje się jej, iż dotyczą tej samej osoby. Jakby dotykanie skóry i włosów zagubionej matki było tej samej natury, co erotyczne gesty, których pełne jest popołudnie z kochankiem. Po akcie miłosnym zapada w płytki sen, wtulona w jego masywne ciało, w tle słysząc szum samochodów i przypominając sobie inne chwile, kiedy tak leżała w ciągu dnia: niedziele w Yvetot, gdy była dzieckiem i czytała oparta o plecy matki, czas, gdy pracowała jako *au pair* w Anglii i kładła się owinięta w kołdrę obok elektrycznego grzejnika, tamten dzień w hotelu Maisonnave w Pampelunie. Za każdym razem trzeba się było wydobyć z tego stanu lekkiego odrętwienia, wstać, odrobić lekcje, wyjść na ulicę, zacząć pracować, istnieć społecznie. W tych chwilach myśli, że jej życie można by przedstawić za pomocą dwóch przecinających się osi: jednej poziomej, skupiającej wszystko, co się jej przydarzyło, co przez całe życie widziała i słyszała, i drugiej, pionowej, zanurzającej się w noc, na której byłoby tylko kilka obrazów.

Ponieważ w swojej nowo odnalezionej samotności odkrywa nagle myśli i wrażenia zagłuszane dotąd przez życie w małżeństwie, przychodzi jej do głowy, żeby napisać „coś w rodzaju opowieści o kobiecym losie” od roku 1940 do 1985, jak gdyby *Historię pewnego życia* Maupassanta, pozwalającą odczuć przepływ czasu w niej i poza nią, w Historii, „powieść totalną”, która kończyłaby się utratą ludzi i rzeczy, rodziców, męża, opuszczających dom dzieci, sprzedanych mebli. Obawia się jednak zagubić w różnorodności przedmiotów, które trzeba by opisać. Jak mogłaby zorganizować tę skumulowaną pamięć wielkich i codziennych zdarzeń, tysięcy dni prowadzących do dzisiejszego?

Już teraz z 8 maja osiemdziesiątego pierwszego pozostał jej tylko obraz dojrzałej kobiety spacerującej powoli z psem po pustej ulicy, tymczasem dokładnie za dwie minuty wszystkie stacje telewizyjne i radiowe ogłoszą nazwisko przyszłego premiera Republiki, Michela Rocarda, który pojawi się na ekranie niczym nurek Kartezjusza. Wszyscy na plac Bastylii!

A z niedawnej przeszłości:

pod koniec czerwca – przed wielką manifestacją w sprawie szkół prywatnych (tłum pełen plisowanych spódniczek i białych bluzek), a może

już po niej – śmierć Michela Foucaulta, według „Le Monde” z powodu sepsy[78], dwa lata wcześniej zaś Romy Schneider, tak pięknej w *Okruchach życia*, po raz pierwszy widzianej w *Les Jeunes Années d’une reine*, ale tylko wyrywkowo, bo ekran zasłaniała jej głowa chłopaka, który całował ją w ostatnim rzędzie sali kinowej, tradycyjnie wykorzystywanym do tego celu

blokada dróg urządzona przez kierowców ciężarówek w dniu poprzedzającym początek ferii zimowych

hutnicy, którzy przypominali jej robotników z fabryki Lipa, palący opony na torach, gdy ona czytała *Słowa i rzeczy* Michela Foucaulta w przedziale unieruchomionego TGV

Czuło się, że nic nie powstrzyma powrotu prawicy do władzy. Że fatalizm prognoz przedwyborczych prawdopodobnie się ziści i nieuchronnie czeka nas ten nieznany stan, „kohabitacja”, jakby spełniło się niewypowiedziane pragnienie z upodobaniem podsycane przez media. Dotowany przez państwo program tymczasowego zatrudnienia młodych, wymuskany Fabius[79] „zaorany” w telewizji przez Chiraca, Jaruzelski w ciemnych okularach mafiosa przyjęty w Pałacu Elizejskim, zatopienie statku Rainbow Warrior[80] – wydawało się, że lewicowy rząd wszystko robi nie tak. Na jego szkodę zadziałało nawet porwanie francuskich zakładników w Libanie, nowy rozdział w konflikcie, którego nikt nie rozumiał. Drażniły cowieczorne wezwania, aby nie zapomnieć, że Jean-Paul Kauffmann, Marcel Carton i Marcel Fontaine są ciągle przetrzymywani, bo co można było na to poradzić?[81] W zależności od tego, do jakiego obozu politycznego się należało, ta irytacja u jednych wywoływała agresję, u drugich konsternację. Nawet zimniejsze niż zazwyczaj zimy, śnieg w Paryżu i dwadzieścia stopni mrozu w departamencie Nièvre nie zapowiadały niczego dobrego. Otaczały nas cienie zmarłych po cichu ofiar AIDS i wyniszczeni chorzy. Trawiła nas zgryzota. Każdego wieczora, słuchając w radiu France Inter Pierre’a Desproges’a kończącego swoją *Kronikę zwyczajnej nienawiści* słowami: „Co do miesiąca marca, to – bez żadnego politycznego podtekstu – zdziwiłbym się, gdyby przetrwał zimę”, rozumiano, że to lewica jej nie przetrzyma.

Po powrocie do władzy prawica bezwzględnie niszczyła wszystko, co zostało zrobione. Reprywatyzowała przedsiębiorstwa, znosiła konieczność

uzyskania oficjalnej zgody na zwolnienie z pracy i podatek od wielkich fortun. Nie uszczęśliwiało to ludzi. Z powrotem zakochiwali się w Mitterrandzie.

Zmarli Simone de Beauvoir i Jean Genet, zdecydowanie nie lubiliśmy tamtego kwietnia – skądinąd w Île-de-France ciągle jeszcze padał śnieg. Ani maja, chociaż wybuch reaktora w elektrowni jądrowej w Związku Radzieckim niespecjalnie nas przejął. Rosjanom nie udało się zatuszować tej katastrofy, którą – pomimo sympatii, jaką żywiliśmy do Gorbaczowa – trzeba było złożyć na karb ich niekompetencji i obojętności na losy ludzi, tak samo jak w przypadku gułagu – ale nas to nie obeszło. Pewnego dusznego czerwcowego popołudnia, wychodząc z matur pisemnych, licealiści dowiedzieli się, że Coluche zabił się na motocyklu na spokojnej ulicy.

Wojny na świecie biegły swoim torem. Zainteresowanie nimi było odwrotnie proporcjonalne do czasu ich trwania i odległości, która nas od nich dzieliła, przede wszystkim zaś zależało od tego, czy brały w nich udział kraje Zachodu. Nikt nie pamiętał, od jak dawna Irańczycy i Irakijczycy wzajemnie się zabijają, a Rosjanie próbują zapanować nad Afganistanem. Jeszcze mniej wiedziano o przyczynach tych wojen. Byliśmy niemal pewni, że sami uczestnicy starć też ich nie znali. Bez przekonania podpisywało się petycje w sprawie zakończenia konfliktów, których powodów się nie pamiętało. Myliły nam się wrogie frakcje w Libanie, szyici z sunnitami, a na dodatek byli tam jeszcze jacyś chrześcijanie. Nie mogliśmy pojąć, że ludzie mordują się nawzajem w imię religii. Dowodziło to, że tamte narody pozostają na niższym stadium rozwoju. My skończyliśmy z ideą wojny. Nie widywało się już chłopców w mundurach. Odbywanie służby wojskowej stało się przykrym obowiązkiem, przed którym wszyscy chcieli uciec. Antymilitaryzm stracił rację bytu, Boris Vian z przejęciem śpiewający *Dezertera* dotyczył minionego czasu. Najchętniej wszędzie widziałoby się oenzetowskie błękitne hełmy, żeby na świecie zapanował wieczny pokój. Byliśmy cywilizowani, coraz bardziej dbaliśmy o higienę i pielęgnację ciała, używaliśmy specjalnych produktów, żeby odpędzić od siebie nieprzyjemne zapachy i usunąć je ze swojego mieszkania. Żartowało się: „Bóg umarł, Marks też, a i ja nie czuję się najlepiej”. Było nam do śmiechu.

Na świecie dochodziło do odosobnionych aktów terroryzmu, których sprawcy, jak Illich Ramírez Sánchez, pseudonim „Carlos”[82], rozpływali się w powietrzu, ale niespecjalnie nas to poruszało. Być może nie pamiętałoby się więc także pierwszego zamachu we wrześniu, zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego, gdyby w odstępie kilku dni nie wybuchły następne bomby, wszystkie w miejscach publicznych, nie pozostawiając nam czasu, byśmy otrząsnęli się z osłupienia, a telewizji, by do końca zrelacjonowała poprzedni atak. Później, gdy będziemy się zastanawiać, w którym momencie pomyśleliśmy, że niewidoczny wróg wypowiedział nam wojnę, pojawi się obraz rue de Rennes tamtego bardzo upalnego środowego popołudnia i natychmiastowe telefony do rodziny i przyjaciół, aby się upewnić, że nie byli na miejscu w chwili, gdy bomba wyrzucona z mercedesa przed sklepem Tatiego zabiła przechodniów. Ludzie nadal jeździli metrem i szybką kolejką podmiejską, ale w pociągach atmosfera robiła się coraz gęstsza. Siadając, zerkano na „podejrzane” torby u stóp pasażerów, zwłaszcza tych, którzy mogli być utożsamiani z grupą domyślnie wskazywaną jako odpowiedzialna za zamachy, to znaczy Arabów[83]. Nagle w obliczu uzmysłowienia sobie nieuchronności śmierci bardzo mocno czuło się swoje ciało i chwilę obecną.

Spodziewaliśmy się kolejnych masakr, pewni, że rząd nie zdoła im zapobiec. Nie wydarzyły się. Z biegiem dni przestaliśmy się ich obawiać i zaglądać pod siedzenia. Zamachy ustały nagle, nie wiadomo dlaczego, tak samo jak nie wiadomo było, dlaczego się rozpoczęły. Odczuliśmy tak ogromną ulgę, że zbytnio się nad tym nie zastanawialiśmy. Ataki z okresu, który później nazwano krwawym tygodniem, nie okazały się wydarzeniem przełomowym, nie zmieniły egzystencji znaczącej większości ludzi, po prostu podyktowały pewien sposób zachowania się w przestrzeni publicznej, zabarwiony niepokojem i fatalizmem, który jednak zniknął, gdy tylko oddaliło się poczucie zagrożenia. Nie znano nazwisk zabitych i rannych, stanowili anonimową grupę „ofiar wrześniowych zamachów”, w ramach której utworzono podkategorię „ofiar z rue de Rennes”, ponieważ były najliczniejsze, ale też dlatego, że jeszcze straszniejsze jest ponieść śmierć na ulicy, którą przechodziło się tylko przypadkiem. (Oczywiście lepiej znano nazwiska dyrektora zakładów Renault, Georges’a Besse’a, i generała Audrana, zamordowanych przez grupkę określającą się mianem Akcji Bezpośredniej, pogrobowców Czerwonych Brygad i bandy Baadera).

Gdy dwa miesiące później studenci i licealiści wyszli na ulice, by protestować przeciwko ustawie Devaqueta[84], pomyślano, że oto nadchodzi wielkie wydarzenie, bo już kiedyś tak było, już to przeżyliśmy. Nie śmiano mieć nadziei, ale odczuwano zachwyt. Maj sześćdziesiątego ósmego zimą – nagle poczuliśmy się młodo. Oni jednak odesłali nas do lamusa, na transparentach pisali „Sześćdziesiąty ósmy to przeszłość, osiemdziesiąty szósty jest lepszy". Nie mieliśmy im tego za złe, byli mili, nie wyrywali płyt chodnikowych, w telewizji wyrażali się rozsądnie, a na manifach śpiewali kuplety na melodię dziecięcych piosenek – trzeba było być Pauwelsem[85] i pracować w „Le Figaro", żeby ich uznać za dotkniętych „mentalnym AIDS". Po raz pierwszy widziało się imponującą realność i siłę młodszego pokolenia, dziewczyny na pierwszej linii razem z chłopakami, Beurowie, wszyscy w dżinsach. Ich liczebność sprawiała, że stawali się dorośli – czy to znaczyło, że my jesteśmy już starzy? Dwudziestodwuletni chłopak, na zdjęciach wyglądający jak dziecko, zginął podczas szarży policji przy rue Monsieur-le-Prince. Ponury marsz tysięcy przeszedł z jego imieniem i nazwiskiem – Malik Oussekine – na transparentach. Rząd wycofał ustawę, manifestanci wrócili na uczelnie i do liceów. Byli pragmatyczni. Nie chcieli zmieniać społeczeństwa, chodziło im tylko o to, żeby nie wkładać im kija w szprychy, nie uniemożliwiać zrobienia kariery w dorosłym życiu.

A my, chociaż wiedzieliśmy, że „pewny zawód" i pieniądze niekoniecznie gwarantują szczęście, mimo wszystko życzyliśmy im właśnie szczęścia.

Miasta rozpościerały się coraz dalej, anektując tereny wiejskie, pokrywając je nowymi różowymi osiedlami domów bez kurników i ogródków, po których mogłyby biegać nieuwiązane psy. Autostrady przecinały krajobraz, tworząc wokół Paryża plątaninę podobną do kreślonych w powietrzu ósemek. Ludzie spędzali coraz więcej czasu w wypełnionych muzyką, bezgłośnych i wygodnych samochodach z dużymi oknami. Stały się ich mobilnym mieszkaniem, coraz bardziej przestrzenią osobistą i bliską, do której nie wpuszczano nieznajomych – autostop zaniknął. W samochodzie śpiewano, kłócono się, wspominano, zwierzano się sobie, nie patrząc na współpasażera. Był miejscem zarazem otwartym i zamkniętym. Istnienie innych ludzi w mijanych samochodach ograniczało się do dostrzeżonego

w przelocie profilu, do bytów pozbawionych ciała. W razie wypadku przerażenie budziła brutalna realność bezwładnie rozrzuconych manekinów.

Gdy się długo jechało samotnie z tą samą prędkością, automatyzm od dawna wyuczonych gestów sprawiał, że znikało poczucie ciała, człowiek miał wrażenie, jakby samochód prowadził się sam. Doliny i równiny prześlizgiwały się obszernym, krągłym ruchem. Było się już tylko spojrzeniem w przezroczystej kabinie, sięgającym aż po kres ruchomego widnokręgu, ogromną i kruchą świadomością wypełniającą przestrzeń wewnątrz i cały świat. Mówiło się czasem, że wystarczyłoby pęknięcie opony, jakaś przeszkoda na drodze, jak w *Okruchach życia*, aby zniknąć na zawsze.

Media, narzucając coraz bardziej gorączkowy bieg czasu, zmuszały nas, abyśmy zaczęli już myśleć o kolejnych wyborach prezydenckich, odliczali miesiące, tygodnie, które nas od nich dzielą. Tymczasem ludzie woleli oglądać menażerię z *Arcygłupiego show* na TF1 – programu krytykowanego przez najlepiej wykształconych, fanów *Tępiszonów* z Canal+, „ordynarnych, ale nigdy nie wulgarnych", jak głosiło modne wówczas rozróżnienie – albo marzyć o następnych wakacjach, słuchając Desireless śpiewającej *Voyage, voyage*. Miało się dosyć tego, że z powodu AIDS trzeba się znów obawiać seksu, bo okazało się, że to choroba nie tylko homoseksualistów i narkomanów. Okres spokoju, który panował, odkąd można się było przestać martwić o zajście w ciążę, a jeszcze nie trzeba się było bać zakażenia, wydawał się zdecydowanie za krótki.

W każdym razie w porównaniu z nastrojami z osiemdziesiątego pierwszego teraz nie mieliśmy już ani oczekiwań, ani nadziei, a jedynie woleliśmy Mitterranda od Chiraca. Był wzbudzającym poczucie bezpieczeństwa Wujaszkiem, człowiekiem centrum, otoczonym eleganckimi ministrami, których prawica już się nie obawiała. Francuska Partia Komunistyczna zamierała. Gdy spojrzało się na działania Gorbaczowa, na jego pierestrojkę i głasnost, oni wyglądali, jakby pozostali w epoce Breżniewa. Le Pen stał się postacią „niezbędną". Dziennikarze krążyli wokół niego z fascynacją i przerażeniem. Dla połowy ludzi był tym, „który mówi głośno to, co Francuzi myślą po cichu", to znaczy, że za dużo u nas imigrantów.

Reelekcja Mitterranda przywróciła nam spokój. Lepiej było żyć pod rządami lewicy, niczego się nie spodziewając, niż bezustannie się denerwować pod przywództwem prawicy. W nieodwołalnym biegu dni te wybory prezydenckie nie okażą się bulwersującym punktem zwrotnym, ale tylko tłem tamtej wiosny, w czasie której dowiedzieliśmy się o odejściu Pierre'a Desproges'a[86], który umarł na raka, i śmialiśmy się do rozpuku, oglądając perypetie rodzin Groseille'ów i Duquesnoy'ów w filmie *Życie to długa, spokojna rzeka*, nakręconym jakby specjalnie po to, żeby zachęcić do głosowania na Mitterranda. Niezbyt wyraźnie zapamiętamy poboczne informacje, które nadeszły w samą porę – uwolnienie zakładników w Libanie (to była niekończąca się historia), masakra Kanaków w grocie na wyspie Ouvéa – podobnie jak debatę telewizyjną, podczas której Chirac wezwał Mitterranda, żeby patrzył mu prosto w oczy, i oświadczył, że prawdą jest to, co mogłoby uchodzić za kłamstwo[87]. Byliśmy zaniepokojeni, ale potem odetchnęliśmy z ulgą, że ten drugi nie zamrugał, jak to miał w zwyczaju.

Naprawdę nie działo się nic, wprowadzono tylko dodatek do najniższego wynagrodzenia, była też obietnica pomalowania klatek schodowych na osiedlach – udogodnienia życiowe dla populacji zbyt licznej, aby określić ją mianem wykluczonych. Dobroczynność się instytucjonalizowała. Żebracy znikali z wielkich miast i pojawiali się przed prowincjonalnymi supermarketami, a latem na plażach. Wymyślali nowe techniki – klęczeć z ramionami rozłożonymi na kształt krzyża, cichym głosem prosić o wsparcie – które zużywały się szybciej niż plastikowe reklamówki, będące emblematem biedy. Bezdomni stali się częścią krajobrazu miasta, tak jak reklamy. Ludzie się zniechęcali – zbyt wielu ubogich, irytowali się swoją niemocą – jak wspomóc wszystkich?, doznawali ulgi, przyspieszając, gdy przechodzili obok ciał leżących w korytarzach metra, chociaż te nieruchome kształty utrudniały im zachowanie zdecydowanego kroku. W państwowym radiu konsorcja przemysłowe rzucały wzięte z księżyca hasła: „Witajcie w świecie Rhône-Poulenc, świecie wyzwań", a człowiek zastanawiał się, do kogo właściwie je kierują.

Patrzyło się gdzie indziej. Świat obiegała zdumiewająca informacja, że imam Chomeini skazał na śmierć Salmana Rushdiego, pisarza urodzonego w Indiach, za to tylko, że w swojej książce obraził Mahometa. (Papież też skazywał na śmierć, zabraniając używania prezerwatyw, ale to były śmierci

anonimowe i odłożone w czasie). Nagle trzy dziewczyny, które uparły się, żeby przychodzić do gimnazjum w chustach, stały się zwiastunem muzułmańskiego fundamentalizmu, obskuranckiego i nienawidzącego kobiet, co dało wreszcie okazję, by pomyśleć i zasugerować, że Arabowie nie są imigrantami takimi jak inni. Ludzie odkrywali, że są zbyt dobrzy, Rocard ulżył już niezliczonym sumieniom, oświadczając, że „Francja nie może przyjąć całej nędzy świata".

Nowe przychodziło ze Wschodu. Nie mogliśmy się nacieszyć magicznymi słowami „pierestrojka" i „głasnost". Zmieniało się nasze wyobrażenie o ZSRR, zapominano o gułagu i czołgach w Pradze, sporządzano katalog podobieństw łączących ich z nami i w ogóle z Zachodem – wolność prasy, Freud, rock, dżinsy, fryzury i piękne garnitury „nowych Rosjan". Czekało się, miało nadzieję na ni mniej, ni więcej, tylko rodzaj fuzji komunizmu z demokracją, wolnego rynku z leninowską gospodarką planową, na rewolucję październikową, która potoczyłaby się we właściwym kierunku. Entuzjazm budzili chińscy studenci w małych okrągłych drucianych okularach zebrani na placu Tian'anmen. Wierzono w pomyślne zakończenie aż do chwili, gdy pojawiły się czołgi, znowu one, zbliża się do nich młody człowiek, samotny i mikroskopijny – obraz, który będzie się oglądało dziesiątki razy, jak ostatnią podniosłą scenę jakiegoś filmu – a wszystko to w tę samą niedzielę, gdy na korcie Rolanda Garrosa finał wygrał Michael Chang, i w końcu zleją się w jedno, student z Tian'anmen i tenisista, skądinąd tak irytujący z powodu znaków krzyża, które bezustannie kreślił.

Wieczorem 14 lipca osiemdziesiątego dziewiątego, gdy pod koniec szarego od upału dnia oglądało się, leżąc na kanapie, kosmopolityczną defiladę wyreżyserowaną przez Jean-Paula Goude'a i komentowaną z offu przez Frédérica Mitterranda, miało się wrażenie, że wszystkie wybuchające na całym świecie bunty i rewolucje, od tego w stoczni w Gdańsku po ten na placu Tian'amnen, to nasze dzieło. Ogarnialiśmy spojrzeniem ludy planety, walki dawne, obecne i przyszłe, wszystkie i zawsze zainspirowane przez rewolucję francuską. W chwili gdy Jessye Norman w niebiesko-biało-czerwonej sukni powiewającej w podmuchach sztucznego wiatru intonowała *Marsyliankę*, przejmowało nas zamierzchłe i szkolne uczucie, daliśmy się ponieść Historii i chwale.

Niemcy z NRD przekraczali granice, urządzali procesje ze świecami wokół kościołów w intencji obalenia Honeckera. Padał mur berliński. To była mknąca w zawrotnym tempie epoka tyranów, których rozstrzeliwano po godzinnym procesie, era zbiorowych grobów, z których wyciągano ziemiste trupy. To, co się wydarzało, przekraczało granice wyobraźni – a więc jednak uważaliśmy komunizm za nieśmiertelny! – a nasze emocje nie nadążały za biegiem wydarzeń. Czuliśmy, że żyjemy gdzieś obok tych wielkich wydarzeń, zazdroszcząc ludziom ze Wschodu, że przeżywają podobne chwile. Potem widziało się, jak wpadają do sklepów w Berlinie Zachodnim, i litowało się nad ich byle jakimi ubraniami i torbami bananów. Ich brak doświadczenia w zakupach wzruszał, lecz spektakl tego kolektywnego głodu dóbr materialnych, zaspokajanego bez powściągliwości i nieelegancko, był dla nas przykry. Nie okazali się godni czystej i abstrakcyjnej wolności, którą dla nich wymyśliliśmy. Litość, jaką zwykliśmy odczuwać wobec ludów żyjących „w jarzmie komunizmu”, ustępowała surowej ocenie tego, jaki użytek czynili z wolności. Bardziej się ich lubiło przedtem, gdy stali w kolejkach po kiełbasę i książki, pozbawieni wszystkiego, bo pozwalało to nam doceniać szczęście i poczucie wyższości wynikające z przynależenia do „wolnego świata”.

Z mglistej i niezróżnicowanej przestrzeni „za żelazną kurtyną” zaczęły się wyłaniać poszczególne narody. Jednoczyły się Niemcy, o których Mauriac powiedział: „Kocham je tak bardzo, że jestem szczęśliwy, iż są aż dwa państwa niemieckie”. Krążyły już bajki o śmierci polityki. Ogłaszano nadejście „nowego światowego ładu”. Koniec historii był bliski, na całej ziemi miała zapanować demokracja. Nigdy jeszcze wiara w nastanie nowego nie była tak przemożna. W środku kanikuły wakacyjnym bezwładem wstrząsnął olbrzymi nagłówek na pierwszych stronach gazet: „Saddam Husajn najeżdża na Kuwejt”, który przypominał inny, często później reprodukowany, opublikowany tego samego dnia pięćdziesiąt jeden lat wcześniej: „Niemcy napadli na Polskę”. Zaledwie w kilka dni alarm bojowy postawił zachodnie mocarstwa u boku Stanów Zjednoczonych, Francja chełpliwie słała lotniskowiec Clemenceau i rozważała pobór do wojska jak w czasie wojny algierskiej. III wojna światowa wisiała na włosku, jeśli Saddam nie wycofa się z Kuwejtu.

Istniała potrzeba wojny, jakby ludziom od długiego czasu brakowało wydarzeń, jakby byli zazdrośni o te, które niedawno oglądali w telewizji. Pragnienie powrotu starej tragedii. Z łaski najbardziej nijakiego spośród

amerykańskich prezydentów mieliśmy pokonać „nowego Hitlera". Pacyfistów odesłano do Monachium. Ludzie, zachwyceni uproszczonym przekazem medialnym, byli przekonani o technologicznej delikatności bomb, uwierzyli w „inteligentną broń", „chirurgiczne uderzenia", „czystą", „cywilizowaną" wojnę, jak pisał „Libération". Powiało wojowniczym i prawym zapałem. „Skuć mordę Saddamowi!" – to była sprawiedliwa, „legalna" wojna i chociaż nikt tego głośno nie powiedział, chodziło o to, żeby skończyć wreszcie z tym skomplikowanym światem arabskim, którego dzieci – chłopaki z przedmieść, dziewczyny w chustach – denerwowały nas od czasu do czasu, ale teraz na szczęście siedziały cicho.

My, którzy zerwaliśmy z Mitterrandem, gdy usłyszeliśmy, jak bezbarwnym głosem oznajmia z ekranu: „Przemówi broń", którzy nie znosiliśmy entuzjastycznej propagandy sławiącej „Pustynną burzę", dla poprawy nastroju mieliśmy tylko cowieczorne kukiełki w satyrycznym programie *Guignole informacji* i sprzeciwiający się wojnie w Zatoce tygodnik „Gruba Berta". W mglistym i zimnym styczniu ulice były wymarłe, kina i teatry puste.

Saddam obiecywał tajemniczą „matkę bitew". Nie następowała. Cele wojny stawały się coraz bardziej mgliste. Bomby przynosiły w Bagdadzie tysiące niewidzialnych śmierci. Walki zakończono haniebnie pewnej lutowej niedzieli. Cofający się iraccy żołnierze zostali rozgromieni na pustyni. Okazało się, że narobiono wiele hałasu po to, żeby nic się nie zmieniło. „Diabeł" Husajn pozostał u władzy. Na Irak nałożono embargo. Czuliśmy się poniżeni, że daliśmy się nabrać, upokorzeni, ponieważ w trakcie tych dni oddaliśmy nasze myśli i serca propagandowej fikcji ukutej przez CNN. Nie mieliśmy już ochoty słuchać o „nowym światowym ładzie".

Związek Radziecki, o którym tymczasem zapomniano, rozbudził ospałe lato niewydarzonym zamachem stanu dokonanym przez starych stalinowskich generałów. Gorbaczow wypadł z obiegu, zapowiedziano chaos, a potem uporządkowano go w kilka godzin dzięki jakiemuś wrednemu typowi z małymi oczkami, który w cudowny sposób pojawił się na czołgu, witany jak bohater wolności. Sprawy toczyły się gładko. ZSRR znikał, stawał się Federacją Rosyjską, jej prezydentem był Borys Jelcyn,

Leningrad nazywał się po dawnemu Sankt Petersburgiem, co ułatwiało orientację czytelnikom Dostojewskiego.

Kobiety bardziej niż kiedykolwiek podlegały nadzorowi, ich zachowania, upodobania i pragnienia stanowiły przedmiot zażartych dyskusji, niespokojnej i triumfującej uwagi. Twierdzono, że „dostały wszystko", „są wszędzie", a w szkole „osiągają lepsze wyniki niż chłopcy". Jak zawsze oznak ich emancypacji dopatrywano się w ich ciele, w zuchwałych ubiorach i zachowaniu seksualnym. To, że mówią „podrywać chłopców", opowiadają o swoich fantazjach i na łamach „Elle" zastanawiają się, czy są „dobre w łóżku", było dowodem ich wolności i równouprawnienia. Bezustanne wykorzystywanie w reklamach ich piersi i ud miało być doceniane jako hołd składany ich pięknu. Feminizm był starą, mściwą i pozbawioną poczucia humoru ideologią, której młode kobiety już nie potrzebowały, patrzyły na nią pobłażliwie, nie wątpiąc o swojej sile i równości. (Ale ciągle czytały więcej powieści niż mężczyźni, jakby potrzebowały nadać swojemu życiu wyimaginowaną formę). *Dzięki wam, mężczyźni, że kochacie kobiety* – taki tytuł zamieści pewna kobieca gazeta. Ich walkę pokrywał cień zapomnienia, jedyna pamięć, której oficjalnie nie podsycano.

Wraz z pigułką stały się paniami życia, lecz tego się nie rozgłaszało.

Nas, które przeszłyśmy aborcje w kuchniach, rozwiodłyśmy się i łudziłyśmy, że nasze wysiłki zmierzające do wyzwolenia samych siebie posłużą też innym, ogarniało wielkie znużenie. Nie wiedziałyśmy już, czy rewolucja kobiet naprawdę się odbyła. Po pięćdziesiątce wciąż jeszcze krwawiłyśmy. Ta krew nie miała już tej samej barwy ani zapachu co przedtem, była jakby iluzoryczna, uspokajała nas jednak regularność odmierzania czasu, którą można było utrzymać aż do śmierci. Nosiłyśmy dżinsy, legginsy i T-shirty jak piętnastoletnie dziewczyny, jak one mówiłyśmy „mój chłopak" na naszego stałego kochanka. Gdy w Radiu Nostalgia słyszałyśmy *Only You* czy *Capri, c'est fini*, ogarniało nas młodociane rozmarzenie, teraźniejszość rozszerzała się wstecz aż na lata, gdy byłyśmy po dwudziestce. W porównaniu z naszymi matkami, zamkniętymi w sobie i pocącymi się w swojej menopauzie, my miałyśmy wrażenie, że wygrywamy z czasem.

(Młode kobiety marzyły o tym, żeby się związać z mężczyzną, czego nie chciały już te po pięćdziesiątce, które kiedyś były w stałym związku).

Dzieci, zwłaszcza chłopcy, niechętnie opuszczały gniazdo rodzinne, pełną lodówkę, czyste ubrania, znane od dzieciństwa domowe odgłosy. Niewinnie kochały się w pokoju sąsiadującym z naszym. Mościły w przedłużonej młodości, świat na nie nie czekał. A my karmiłyśmy je, w dalszym ciągu troszczyłyśmy się o nie, miałyśmy wrażenie, że żyjemy ciągle w tym samym nieprzerwanym czasie.

Oto kobieta sfotografowana od głowy po biodra w ogrodzie pełnym krzewów. Jej długie rudoblond włosy leżą na kołnierzu grubego, czarnego, obszernego płaszcza, który wygląda na drogi. Na lewe ramię zarzuciła koniec landrynkowo różowego szalika, dziwnie wąskiego w zestawieniu z płaszczem. Na rękach trzyma czarno-białego kota pospolitej rasy, uśmiecha się, spoglądając w obiektyw, i przechyla głowę w pozie pełnej uwodzicielskiej słodyczy. Wargi ma bardzo różowe, bez wątpienia uwydatnione błyszczkiem dobranym pod kolor szalika. Jaśniejszy pas włosów wzdłuż przedziałka sygnalizuje odrosty. Kształtny, młody owal jej twarzy i wysokie kości policzkowe kontrastują z workami pod oczami i delikatną siatką zmarszczek na czole. Obszerny płaszcz nie pozwala określić figury, lecz dłonie wystające z rękawów i trzymające kota są chude, z widocznymi ścięgnami. To zdjęcie zrobiono zimą: blade światło słoneczne na skórze twarzy i dłoni, kępy suchej trawy, bezlistne gałęzie na tle niewyraźnej roślinności, w oddali linia bloków. Na odwrocie: „Cergy, 3 lutego ’92”.

Emanuje z niej wrażenie powściąganego rozluźnienia, aura kobiety „spełnionej”, jak kolorowe magazyny określają panie między czterdziestym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia. Zdjęcie zrobiono w ogrodzie koło domu, w którym mieszka sama z półtoraroczną kotką. Dziesięć lat temu mieszkali tu jej mąż, dwóch dorastających synów i od czasu do czasu także jej matka. Kobieta była osią koła, które bez niej nie mogło się obracać – od podjęcia decyzji o zrobieniu prania po rezerwację hotelu na wakacje. Jej mąż jest teraz daleko, ożenił się powtórnie i ma dziecko, matka zmarła, synowie mieszkają gdzie indziej. Spokojnie akceptuje swoją samotność jako nieunikniony etap życia. Gdy robi zakupy w Auchan, nie musi już brać

wózka, wystarcza jej koszyk. Funkcję żywicielki odzyskuje tylko w weekendy, gdy synowie wracają do domu. Poza obowiązkami zawodowymi, prowadzeniem lekcji i poprawą prac pisemnych, swój czas poświęca na zaspokajanie osobistych upodobań i pragnień, lekturę, filmy, telefonowanie, korespondencję i przygody miłosne. Nie musi już przejawiać bezustannej materialnej i moralnej troski o innych, co charakteryzowało jej życie małżeńskie i rodzinne. Zastąpiło ją mniej absorbujące zainteresowanie działalnością humanitarną. Ten zanik poczucia obowiązku i otwarcie na nowe możliwości sprawiają, że czuje się w zgodzie z trendami epoki, wyrażanymi w „Elle" czy „Marie Claire", magazynach czytanych przez ponadtrzydziestoletnie kobiety z klasy średniej i wyższej.

Zdarza się jej obserwować siebie nagą w łazienkowym lustrze, szczupły tors i drobne piersi, wcięta talia, brzuch lekko zaokrąglony, ciężkie uda z wypukłością nad kolanami, płeć dobrze widoczna teraz, gdy włosy łonowe są rzadsze, szpara mała w porównaniu z tymi, które pokazują w filmach pornograficznych. Dwa podłużne niebieskie rowki blisko pachwin, ślady rozstępów po ciążach. Dziwi się: to jest to samo ciało, odkąd mniej więcej w wieku szesnastu lat przestała rosnąć.

W tej chwili, gdy zalotnie spogląda w obiektyw – bez wątpienia zdjęcie robi mężczyzna – myśli o sobie jako o kobiecie, która trzy lata wcześniej przeżyła namiętny związek z pewnym Rosjaninem. Stan pożądania i bólu, w jakim się wtedy pogrążyła, zniknął. Kobieta czuje ciągle jego zarys, lecz twarz tego mężczyzny staje się coraz bardziej odległa i zniekształcona. Chciałaby sobie przypomnieć, jak o nim myślała, gdy opuścił Francję, przywołać ciąg obrazów, który wypełniał ją całkowicie i sprawiał, że jego obecność była w niej zamknięta niczym w tabernakulum.

Przypomina sobie za to oczy, dłonie i sylwetkę swojej matki, ale nie głos, a jeśli już, to abstrakcyjnie, bez fizycznego brzmienia. Prawdziwy głos przepadł, nie ma jego żadnego materialnego śladu. Ale bezwiednie stosuje używane przez matkę wyrażenia, których – jak jej się wydaje – sama wcześniej nie wypowiadała, „pogoda jest ospała", „gadałam do niego jak do słupa", „trzeba czekać na swoją kolej jak przy spowiedzi" i tak dalej. To tak, jakby matka mówiła jej ustami, a razem z matką cała jej rodzina.

Innym razem pojawiają się zdania wypowiedziane przez matkę w czasie, gdy była już chora na alzheimera. Ich nieadekwatność ujawniała uszkodzenia, jakie zaszły w jej mózgu: „Przynieś mi ścierki, żebym się podtarła”. W jednym błysku doświadcza ciała i obecności matki. W odróżnieniu od poprzednich zdań, używanych wielokrotnie i przez rozmaite osoby, te ostatnie są niepowtarzalne, na zawsze pozostają wyróżnikiem jedynej istoty na świecie, jej matki.

O mężu nie myśli prawie nigdy, chociaż nosi w sobie odciśnięty ślad ich wspólnego życia i upodobań, które jej przekazał, Bach i muzyka sakralna, sok pomarańczowy z rana i tak dalej. Gdy napływają obrazy tego życia – jak ten z Annecy, kiedy gorączkowo szukała po sklepach w starych dzielnicach czegoś na *réveillon*, tradycyjną kolację wigilijną serwowaną o północy, bo miała dwadzieścia pięć lat i były to ich pierwsze święta Bożego Narodzenia z dzieckiem – zastanawia się: „Czy chciałabym jeszcze tam być?”. Ma ochotę odpowiedzieć przecząco, ale wie, że pytanie nie ma sensu, że absurdalne jest każde pytanie odnoszące się do spraw minionych.

Kiedy czeka w kolejce do kasy w hipermarkecie, zdarza jej się myśleć o wszystkich tych razach, gdy stała w ogonku z wózkiem mniej lub bardziej wypełnionym produktami. Widzi niewyraźne sylwetki kobiet, samych lub z dziećmi, różniących się od siebie tylko uczesaniem – niski kok, włosy krótkie, półdługie, na pazia – i ubraniami – tamten płaszcz maksi z lat siedemdziesiątych, ten czarny trzy czwarte z osiemdziesiątych – jak obrazy jej samej, oderwane, wyjmowane jeden z drugiego niczym matrioszki. Wyobraża sobie siebie samą tutaj za dziesięć czy piętnaście lat, z wózkiem pełnym słodyczy i zabawek dla wnucząt, które na razie jeszcze się nie urodziły. Ta kobieta wydaje się jej równie nieprawdopodobna, jak dwudziestopięcioletniej dziewczynie wydawała się czterdziestolatka – nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek się nią stanie, a teraz już nią nie jest.

W czasie bezsennych nocy próbuje przypomnieć sobie ze szczegółami pokoje, w których spała, najpierw ten, który do trzynastego roku życia dzieliła z rodzicami, potem pokój w akademiku, ten w mieszkaniu w Annecy naprzeciwko cmentarza. Za punkt wyjścia bierze drzwi i metodycznie przesuwa się wzdłuż ścian. Wyłaniające się przedmioty

zawsze są związane z jakimś gestem, z osobliwym faktem – w pokoju na koloniach, gdzie była wychowawczynią, jest to lustro nad umywalką. Wychowawcy napisali na nim czerwoną pastą do zębów Email Diamant: „Niech żyją kurwy”. W pokoju w Rzymie niebieska lampa, która „kopała” za każdym razem, gdy się ją włączało. W tych pomieszczeniach nigdy nie widzi siebie wyraźnie jak na fotografii, lecz jako rozmazany obraz, niczym film na zakodowanym kanale – sylwetka, uczesanie, poza: wygląda przez okno, myje głowę, siedzi przy biurku, leży na łóżku. Czasem udaje się jej poczuć jak w swoim dawnym ciele, ale nie tak, jak to się dzieje we śnie, jest to raczej wrażenie podobne do tego, jakby przyoblekła się w „ciało niebieskie”, które zgodnie z doktryną katolicką zmartwychwstało i nie odczuwa ani bólu, ani przyjemności, ani zimna, ciepła czy potrzeby oddawania moczu. Nie wie, czego szuka w tych inwentarzach, być może tego, by zebrawszy wystarczająco dużo wspomnień o przedmiotach, stać się z powrotem sobą z danej chwili.

Chciałaby te liczne obrazy siebie, rozdzielone, niezsynchronizowane, połączyć nicią opowieści o swojej egzystencji od narodzin w czasie II wojny światowej aż do dzisiaj. O istnieniu poszczególnym, lecz jednocześnie wtopionym w historię pokolenia. Ale ilekroć zaczyna, zawsze potyka się o to samo: jak przedstawić zarazem upływ czasu historycznego, przemianę rzeczy, idei, obyczajów i intymne dzieje tej kobiety, połączyć fresk przedstawiający czterdzieści pięć lat życia z poszukiwaniem swojego *ja* poza Historią, *ja* z zawieszonych chwil, o których w wieku dwudziestu lat pisała wiersze zatytułowane *Samotność* i tak dalej. Jej zasadniczą troską jest wybór między „ja” a „ona”. W „ja” jest za dużo ciągłości, coś, co ściska i dusi, w „ona” zbyt wiele zewnętrzności, oddalenia. Obraz tej nieistniejącej jeszcze książki, jaki w sobie stwarza, wrażenie, które powinna po sobie zostawić, mają być takie, jakie zachowała po przeczytaniu w wieku dwunastu lat *Przeminęło z wiatrem*, później *W poszukiwaniu straconego czasu*, a ostatnio powieści *Życie i los* Wasilija Grossmana – smugi światła i cienia na twarzach. Nie odkryła jeszcze sposobu, aby tego dokonać. Spodziewa się objawienia albo przynajmniej danego przez przypadek znaku, jakim dla Marcela Prousta była umoczona w herbacie magdalenka.

Przyszłością jednak – bardziej niż książka – jest dla niej nowy mężczyzna, który sprawi, że zacznie marzyć, kupować ubrania, czekać, pisać i odsłuchiwać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

Ekscytacja problemami świata odeszła w cień. To, co nieoczekiwane, stało się męczące. Unosiło nas coś nieokreślonego. Przestrzeń doświadczenia traciła znane kontury. W toku nakładających się na siebie lat zacierały się te, które służyły za punkty odniesienia – sześćdziesiąty ósmy i osiemdziesiąty pierwszy. Nową cezurę stanowił upadek muru, chociaż nie odczuwaliśmy potrzeby, żeby opatrzyć go datą. Nie wyznaczał końca Historii, ale jedynie koniec Historii, jaką można opowiedzieć.

Kraje w środku i na wschodzie Europy – dotąd nieobecne w naszym geograficznym imaginarium – mnożyły się, bezustannie się dzieląc na nowe „grupy etniczne", ten termin, odróżniający ich od nas i od poważnych społeczeństw, sugerował zacofanie, którego dowodem był powrót religii i nietolerancji.

Jugosławia tonęła we krwi, po ulicach świstały kule niewidzialnych snajperów. Jednak mimo że pociski artyleryjskie rozrywały kolejnych przechodniów, obracały w proch tysiącletnie mosty, a starzy „nowi filozofowie" próbowali nas zawstydzić, ostrzegając, że „Sarajewo leży zaledwie o dwie godziny od Paryża", byliśmy zmęczeni, całe zasoby ekscytacji zużyliśmy podczas wojny w Zatoce, gdzie zostaliśmy oszukani. Sumienie się nie włączyło. Mieliśmy za złe Chorwatom, Kosowianom i innym, że wyrzynają się wzajemnie jak dzikusy, zamiast brać przykład z nas. Nie czuliśmy, że należymy do tej samej Europy.

Algieria była krwawą łaźnią. Pod maskami na twarzach członków Zbrojnej Grupy Islamskiej widziało się bojowników Frontu Wyzwolenia Narodowego. Algierczycy też nie zrobili dobrego użytku ze swojej wolności, ale stało się to dawno, zresztą było tak, jakbyśmy od momentu uzyskania przez nich niepodległości postanowili raz na zawsze przestać o nich myśleć. Jeszcze mniej mieliśmy ochotę interesować się tym, co działo się w Rwandzie, dlatego że nie potrafiliśmy rozróżnić, którzy byli dobrzy, a którzy źli: Hutu czy Tutsi? Myślenie o Afryce zawsze pogrążało człowieka w depresji. Milcząco zakładano, że ten kontynent istnieje w epoce wcześniejszej od naszej, panują na nim barbarzyńskie zwyczaje, tamtejsi potentaci żyją w zamkach we Francji, a bolączki tej ziemi nigdy się nie skończą. To była bardzo zniechęcająca część świata.

Głosowanie za lub przeciw Maastricht[88] było gestem abstrakcyjnym. Omal zapomniało się wziąć w nim udział, pomimo zachęt ze strony grupy nacisku, których członków zwano „osobistościami". Skoro już o tym mowa, nie rozumieliśmy, dlaczego w tej sprawie mieliby się orientować

lepiej niż my. Stało się zwyczajem, że znani ludzie dyktują, co powinno się robić i myśleć. Prawica miała oczywiście zwyciężyć lewicę w marcowych wyborach parlamentarnych i znowu „kohabitować” z Mitterrandem. Był starym wyczerpanym człowiekiem o zapadniętych, zbyt błyszczących oczach i matowym głosie, siedzącym trupem głowy państwa. Jego wyznania o toczącym go raku i nieślubnej córce, której istnienie trzymał dotąd w tajemnicy, oznaczały odsunięcie się od polityki i sprawiały, że pomimo wszystkich jego kompromisów i wybiegów miało się przed oczami tylko straszliwy obraz „czasu, który mu jeszcze pozostał”. Znajdywał w sobie siłę, żeby nazywać dziennikarzy „psami”, gdy jego były premier Pierre Bérégovoy strzelił sobie w głowę nad brzegiem Loary, ale dobrze wiedziano, że ten mały Rusek zabił się nie z powodu mieszkania, lecz ponieważ sprzedał swoje pochodzenie i ideały za złoto – i służalczo znosił wszelkie upokorzenia, byleby pozostać na szczycie[89].

Zwyciężała anomia. Odrealnienie języka postępowało, jego abstrakcyjność stawała się oznaką intelektualnego prestiżu. Wszędzie słychać było o „konkurencyjności”, „prekariacie”, „kwalifikacjach” i „dyspozycyjności”. Żyliśmy w wysterylizowanych dyskursach. Nie słuchało się ich uważnie – pilot do telewizora skrócił czas trwania nudy.

Społeczeństwo było przedstawiane jako zatomizowane, rozbite na „podmioty”, w pierwszym rzędzie seksualne: swingersów, transseksualistów, kazirodców, pedofilów, gołe piersi na plażach. Jesteś za czy przeciw – konfrontowano ludzi z faktami i zachowaniami, których osobiście nie doświadczyli, a to rodziło w nich przeświadczenie, że są wszechobecne albo nawet stanowią normę. Zwierzenia opuszczały anonimową przestrzeń rubryki z listami od czytelników i nocnej audycji wyznań *Halo, Macha*, żeby objawić się w postaci ciał i twarzy na wielkich ekranach. Nie mogliśmy oderwać od nich wzroku, zarazem osłupiali, że tak wielu ludzi ośmiela się opowiedzieć swoje intymne historie tysiącom widzów, i szczęśliwi, że możemy się tyle dowiedzieć o życiu innych. Rzeczywistość społeczna była szmerem zagłuszonym euforią reklam, sondaży i kursów giełdowych, „gospodarka rusza z kopyta”.

Przybywali z Trzeciego Świata i dawnego bloku wschodniego, upychano ich w hotelu Arcade koło lotniska w Roissy i jeśli się tylko dało, wyrzucano z kraju zgodnie z ustawą Pasqua[90] – ci, których obejmowała wspólna

złowieszcza nazwa „nielegalnych”. Zapomniano już o hasłach: „Wara od mojego kumpla”, „Imigracja bogactwem Francji”. Trzeba było „zwalczać dziką imigrację”, „utrzymać narodową spójność”. Zdanie Michela Rocarda, który odważył się powiedzieć, że Francja nie może przyjąć całej nędzy świata, krążyło jak olśniewająca oczywistość, której niewypowiadalny sens rozumieli niemal wszyscy. I bez tego było za dużo uchodźców.

Pośród idei, które odrzucono, była i ta, że staliśmy się społeczeństwem imigrantów. Całymi latami ludzie sądzili, że rodziny z Czarnej Afryki i z Maghrebu, stłoczone na obrzeżach miast, mieszkają tam tylko tymczasowo i że pewnego dnia razem ze swoim miotem wrócą, skąd przyszły, pozostawiając po sobie smugę egzotyzmu i żalu, jak utracone kolonie. Teraz już wiedzieli, że zostaną. „Trzecie pokolenie” było jak nowa fala imigracji, tym razem wewnętrznej, która rosła, otaczała miasta, wypełniała licea na przedmieściach, urzędy pracy, kolejkę podmiejską na północy Paryża, a 31 grudnia także Pola Elizejskie. Groźna grupa, której istnienie zawsze ignorowano i którą bezustannie kontrolowano, nawet jeśli chodziło o jej wyobraźnię – teraz, co nas irytowało, szukającą inspiracji gdzie indziej, w Algierii i Palestynie. Oficjalnie nazywano ich „młodymi o imigranckich korzeniach”, w języku codziennym – Arabami i czarnymi, a w nieco uszlachetnionej wersji Beurami i Blackami. To, że ci informatycy, sekretarki czy ochroniarze uważali się za Francuzów, wydawało nam się w głębi duszy dziwaczne, było uzurpacją powodu do chwały, do której nie mieli jeszcze prawa.

Centra handlowe rozbudowywały się i mnożyły, nawet na wsi co kawałek było widać z autostrady betonowe klocki upstrzone szyldami. To były miejsca uprawiania konsumpcji niejako „na surowo”, bez żadnych upiększeń. Akt kupna odbywał się tu w prymitywnych warunkach, w gołych barakach pobudowanych na modłę sowiecką, a każdy oferował monstrualne ilości towarów tego samego gatunku, butów, ubrań, narzędzi, i w nagrodę dla dzieci – McDonald. Obok hipermarket rozpościerał swoje dwa tysiące metrów kwadratowych pełnych jedzenia i produktów odmienianych w każdym asortymencie przez dziesięć marek. Robienie zakupów wymagało więcej czasu i uwagi, zwłaszcza w przypadku tych, którzy mieli do wydania tylko najniższą krajową. Obfitość zachodniego bogactwa była na wyciągnięcie ręki w rzędach półek, wzrok nie obejmował

wszystkiego, nawet gdy spoglądało się na sklep z początku głównej alei, ale i tak rzadko podnoszono głowę.

Było to królestwo szybkich i niezrównanych emocji, ciekawości, zaskoczenia, niezdecydowania, obrzydzenia, zawiści – błyskawicznych zmagań popędu z rozumem. W tygodniu centra handlowe stanowiły cel popołudniowych przechadzek, dawały okazję do wyjścia z domu parom na emeryturze, które powoli napełniały swoje wózki. W soboty napływały całe rodziny i od niechcenia napawały się bliskością przedmiotów pożądania.

Kupowanie – w zależności od dnia – z przyjemnością lub w zdenerwowaniu, lekko lub z przygnębieniem, nabywanie wszystkich tych rzeczy, o których mówiono, że „nie można się bez nich obejść", sprawiało, że życie stało się coraz bardziej ekscytujące. Gdy słuchaliśmy ostatniej piosenki Souchona o sentymentalnym tłumie, czuliśmy się tak, jakbyśmy przeskoczywszy sto lat w przód, patrzyli na siebie oczami przyszłych ludzi, i mieliśmy melancholijne wrażenie, że nie jesteśmy w stanie oprzeć się temu, co nas unosi.

A przecież opieraliśmy się czasem przed kupnem nowego urządzenia: „Jakoś mi tego dotąd nie brakowało", którego instrukcję obsługi trzeba by było przeczytać, przezwyciężając nudę, a potem nauczyć się nim posługiwać, aż wreszcie godziliśmy się na ten wysiłek pod presją innych, wychwalających jego zalety („Zobaczysz, to odmienia życie") – taka była cena, jaką należało zapłacić za krok na drodze do wolności i szczęścia. Pierwsze użycie onieśmielało, potem napływały nieznane wrażenia, ale zaledwie zrodzone znikały i zapominało się o nich, wpadając w przyzwyczajenie: niepokój, gdy słyszy się na automatycznej sekretarce głosy, które można przechowywać jak przedmioty i odsłuchiwać dziesięć razy, zachwyt na widok pojawiającego się na białej kartce faksu dopiero co napisanego wyznania miłości, ta osobliwa obecność osób nieobecnych, tak silna, że wywoływała poczucie winy, gdy nie podnosiło się słuchawki i pozwalało mówić automatycznej sekretarce, a samemu nieruchomiało z urojonej obawy, by nas nie usłyszano, w razie gdybyśmy wydali z siebie jakiś odgłos.

Chociaż zapowiadano, że wszyscy „nawrócą się na informatykę", nie chciało się wcale mieć komputera. Pierwszy przedmiot, wobec którego człowiek czuł się gorszy. Pozostawiało się ujarzmienie go innym i podziwiało się ich.

Ze wszystkich znanych strachów najsilniejsza była obawa przed AIDS. Wychudzone i odmienione twarze słynnych umierających, od Hervégo Guiberta po Freddiego Mercury'ego – na ostatnim klipie znacznie przystojniejszego niż przedtem, z tymi swoimi króliczymi zębami – dowodziły nadprzyrodzonego charakteru tej „plagi", pierwszy znak klątwy rzuconej na koniec tysiąclecia, sąd ostateczny. Odsuwano się od zakażonych – trzy miliony na całym świecie – a państwo produkowało umoralniające spoty reklamowe, w których próbowało nas przekonać, żebyśmy nie traktowali ich jak zadżumionych. Wstyd związany z AIDS zastępował inną hańbę, zapomnianą, tę, która dotykała niezamężną ciężarną dziewczynę. Sugestia, że ktoś jest zarażony, bywała równoznaczna z wyrokiem skazującym, „Czy Isabelle Adjani ma AIDS?". Już samo pójście na badania stawało się czymś podejrzanym, wyznaniem niedającej się głośno wypowiedzieć winy. Robiło się to więc po kryjomu, w szpitalu, ukrywając tożsamość pod nadanym przez pielęgniarkę numerem, nie patrząc na sąsiadów w poczekalni. Tylko zarażeni podczas transfuzji dziesięć lat wcześniej mieli prawo do współczucia. Ludzie odreagowywali strach przed krwią innych, klaszcząc, gdy zmuszono do stawienia się w sądzie ministrów i lekarzy oskarżonych o „trucicielstwo"[91]. Jednak mimo wszystko dostosowaliśmy się. Narodził się nowy zwyczaj: nosiło się w torebce prezerwatywę. Nie wyjmowało się jej, pomysł, żeby jej użyć, wydawał się nagle idiotyczny, obraźliwy wobec partnera – a zaraz potem się żałowało, poddawało testowi i czekało na wynik, mając pewność, że wkrótce się umrze. Gdy było już jasne, że tak się nie stanie, istnienie, chodzenie po ulicy nabierały nagle niewyobrażalnego piękna i smaku. Trzeba było jednak wybierać między wiernością a prezerwatywą. Dokładnie wówczas, gdy koniecznie chciało się szczytować na wszystkie możliwe sposoby, znowu nie można było skorzystać z prawa do wolności seksualnej.

Nastolatki słuchały Doca i Difoola w Fun Radio i prowadziły życie seksualne, zachowując dla siebie swoje sekrety.

We Francji było tylu bezrobotnych, ilu seropozytywnych na całej ziemi. Na karteczkach składanych u stóp świętych w kościołach proszono: „Spraw, żeby mój ojciec znalazł pracę". Wszyscy domagali się likwidacji bezrobocia, tej drugiej „plagi", ale nikt nie wierzył, że okaże się to możliwe – była to pozbawiona racjonalnych przesłanek nadzieja, ideał,

który nie urzeczywistni się na tym świecie. Pełno było za to „mocnych” sygnałów (pokoju, rozwoju ekonomicznego, spadku liczby ubiegających się o pracę) zwykle okraszanych zainscenizowanym uściskiem dłoni – jak ten Jasira Arafata z Ehudem Barakiem[92]. Ludzie nie zaprzątali sobie głowy, czy są to sygnały prawdziwe, czy nie. Jeśli codziennie musieli się rozpychać łokciami, żeby dostać się do pękającej w szwach kolejki podmiejskiej, potem przecisnąć do siedzeń bliżej przejścia, a wreszcie jechać na stojąco przez trzy kolejne stacje, nic nie było cenniejsze niż chwila wieczornego szczęścia, gdy wreszcie się usiadło i zamknęło oczy albo zajęło rozwiązywaniem krzyżówek.

Ku wielkiej uldze obywateli znaleziono wreszcie bezużyteczne zajęcie dla bezdomnych – mieli sprzedawać „Le Réverbère” i „La Rue”, dzienniki o zawartości równie nieświeżej jak ubrania ich sprzedawców, wyrzucało się je, nawet ich nie otworzywszy. Tak oto stworzono jednak pozorną aktywność, która pozwalała odróżnić dobrych bezdomnych, pragnących pracować, od pozostałych, leżących na ławkach w metrze albo na dworze z psem u boku i trzeźwiejących po niekończącym się pijaństwie. Latem bezdomni migrowali na południe. Merowie zakazywali im kłaść się na deptakach przeznaczonych dla pieszych i handlu. Niektórzy umierali od chłodu zimą, a latem z powodu upału.

Nadchodziły wybory prezydenckie, ale nikt się nie spodziewał, by spowodowały jakikolwiek wstrząs w życiu zbiorowym czy w życiu jako takim. Nie pokładano już nadziei w Mitterrandzie. Moglibyśmy ewentualnie zagłosować na Jacques’a Delorsa, gdyby się nie wycofał, najpierw nas zwodząc. To już nie było wydarzenie, lecz komiczny przerywnik, przedstawienie, którego głównymi bohaterami najczęściej pokazywanymi w telewizji byli trzej dosyć przeciętni faceci, dwóch smutasów – pyszałek Balladur i ponurak Jospin, oraz jeden nadpobudliwy pomyleniec, Chirac. Było tak, jakby wraz z Mitterrandem odeszła również uroczysta atmosfera i powaga wyborów. Później mniej się będzie pamiętało kandydatów i to, co mówili, a bardziej ich marionetki występujące co wieczór na Canal+: Jospin jako niegroźny Yo-Yo, jeżdżący małym samochodzikiem po krętych drogach czarodziejskiej krainy, Chirac jako ojciec Piotr w zgrzebnym habicie, Sarkozy – szelmowski zdrajca uniżenie

zgięty wpół przed wydymającym podwójny podbródek Balladurem i Robert Hue z przewieszoną przez pierś torbą listonoszką z lat siedemdziesiątych, uważany przez młodych za błazna. A w uszach zostanie podkład muzyczny, w rytm którego wygłupiały się kukiełki z innego skeczu Guignolów, *The Rhythm of the Night*. Nie mieliśmy swojego faworyta, ale kiedy z promiennych minach dziennikarzy odgadliśmy, że zwyciężył Chirac, gdy zobaczyliśmy dobrze ubranych młodych ludzi i damy z bogatych dzielnic krzyczących z radości, zrozumieliśmy, że zabawa się skończyła. Było ciepło jak w środku lata, rodziny przesiadywały w kawiarnianych ogródkach, kolejny dzień miał być wolny od pracy, zdawało się, że nie odbyły się żadne wybory.

Słuchając Chiraca, trzeba się było wysilać, by zrozumieć, że jest prezydentem, odzwyczaić od Mitterranda. Czas, który upłynął niepostrzeżenie, epoka, dla której stanowił tło, zlewały się w całość. Czternaście lat, nie chciało się być aż tyle starszym. Młodzi nie mierzyli czasu i nie podchodzili do tego emocjonalnie. Mitterrand był ich de Gaulle’em, wyrośli z nim, porządził sobie czternaście lat i starczy.

Przeszłość nie interesowała nikogo w jedno z niedzielnych popołudni w środku lat dziewięćdziesiątych, przy stole, wokół którego udało się zebrać niemal już trzydziestoletnie dzieci, ich przyjaciół i przyjaciółki, innych niż w roku poprzednim, przelotnych członków rodzinnego kręgu, w którym pojawiali się na chwilę, by wkrótce z niego zniknąć. Na stole królowała pieczeń jagnięca czy jakakolwiek inna wykwintna potrawa, ponieważ wiadomo było, że nie jadali ich nigdzie poza naszym domem, czy to z braku czasu, pieniędzy, czy wreszcie dlatego, że nie potrafili ich sobie przyrządzić. Popijało się saint-julien albo chassagne-montrachet, żeby kształtować podniebienia tych konsumentów coca-coli i piwa. Najistotniejszym tematem rozmowy, zdominowanej przez męskie głosy, były komputery, porównanie wydajności peceta i maca, „pamięć” i „programy”. Cierpliwie czekaliśmy, aż skończą się im wreszcie tematy poruszane w tym odstraszającym języku wtajemniczonych, którego nie mieliśmy ochoty rozumieć, i powrócą do rozmowy o sprawach wspólnych. Przywoływali ostatnią okładkę „Charlie Hebdo”, najnowszy odcinek programu *Zatrzymane w kadrze*, serial *Z archiwum X*, rozprawiali o amerykańskich i japońskich filmach, mówili, że musimy koniecznie

obejrzeć *Człowiek pogryzł psa* i *Wściekłe psy* i entuzjastycznie opisywali nam pierwszą scenę, dobrotliwie żartowali z naszych gustów muzycznych i proponowali, że prześlą nam ostatnią płytę Arthura H. Bieżące sprawy komentowali szyderczo jak Guignole z Canal+, które – obok lektury „Libération” – były ich podstawowym źródłem informacji. Nie chcieli się litować nad indywidualnymi nieszczęściami, rzucali bezapelacyjne: „Każdy dźwiga swoje gówno”. Wobec świata mieli ironiczny dystans. Szybkość ich ripost i językowa sprawność olśniewały nas i raniły, obawialiśmy się, że wydajemy się im powolni i ociężali. W kontakcie z nimi odświeżaliśmy znajomość słownictwa aktualnie stosowanego przez młodych. Nie robili problemów, żeby wytłumaczyć nam ich znaczenie, a my włączaliśmy je do swojego języka, „spoko”, „nara”, „zajebisty”, aby wyrażać świat tak samo jak oni.

Patrząc, jak jedzą i dokładają sobie wszystkich potraw, czuło się satysfakcję dorywczej żywicielki. Później, przy szampanie, przypominali sobie programy telewizyjne, produkty i reklamy, modę z czasów swojego dzieciństwa i młodości. Wyliczali kominiarki, naprasowanki na kolana, „Coca-cola to jest to!”, kostki do WC, babeczki Trzy Kotki, kreskówki Hanny-Barbery, klauna Kiri, naklejki z Flipem i Flapem i tak dalej. Prześcigali się na cytaty, dając się ponieść rywalizacji w przypominaniu przedmiotów ze wspólnej przeszłości – dzięki tym niezliczonym wspomnieniom spraw błahych wyglądali znowu jak mali chłopcy.

Światło popołudnia gasło. Kolejne fale podniecenia napływały coraz rzadziej. Rozsądnie odrzucono propozycję zagrania w scrabble, wieczne źródło niesnasek. W zapachu kawy i papierosów – w myśl niepisanej zasady z trawką się nie obnoszono – odnajdywaliśmy słodycz rytuału, który kiedyś tak bardzo nam ciążył i z którym chcieliśmy zerwać, a przecież to dzięki niemu, pomimo rozwodu, śmierci dziadków i ogólnego rozluźnienia kontaktów, w tę wiosenną niedzielę dziewięćdziesiątego piątego za pomocą białego obrusa, odświętnego nakrycia i mięsnej pieczeni kontynuowało się jego ciągłość. A patrząc na dorosłe dzieci i słuchając ich, myślało się o tym, co nas łączy, bo przecież nie krew ani geny, ale jedynie teraźniejszość tysięcy spędzonych razem dni, słów, gestów i posiłków, podróży samochodem, nieskończoność wspólnych doświadczeń, które – zdawałoby się – nie pozostawiły w nas świadomego śladu.

Wychodzili, całując nas cztery razy w policzki, a wieczorem przypominało się sobie przyjemność, z jaką jedli u nas ze swoimi

przyjaciółmi – miało się poczucie szczęścia, że ciągle jeszcze umie się zaspokoić to najstarsze i najbardziej podstawowe ze wszystkich pragnień – ich potrzebę jedzenia. Pełni nieuzasadnionego niepokoju o nich, wzmocnionego przekonaniem, że w ich wieku byliśmy silniejsi, doświadczaliśmy ich kruchości w starciu z nieprzewidywalną przyszłością.

W czasie ostatnich upalnych dni lipca przyszła wiadomość o bombie, która eksplodowała na stacji kolejki podmiejskiej Saint-Michel. A więc wraz z Chirakiem powracały zamachy. I znów odruchowo dzwoniło się do bliskich w przekonaniu – aż do chwili, gdy usłyszało się ich głos w słuchawce – że ze wszystkich możliwych miejsc, w których mogli się znajdować, przypadek umieścił ich akurat w wagonie linii B. Były ofiary śmiertelne i byli ranni, urwane nogi. Nadchodził jednak okres wielkich sierpniowych wakacji, ludzie nie mieli ochoty się bać. Chodziło się po korytarzach metra, słuchając głosu nakazującego zgłaszanie informacji o wszelkich bagażach pozostawionych bez opieki – swój los zawierzaliśmy skuteczności systemu bezpieczeństwa.

Kilka tygodni później, gdy Saint-Michel wyparowało już z głowy, rozpoczęły się zamachy przeprowadzane za pomocą bomb skleconych z szybkowarów, gwoździ i butli gazowych. Jak w filmie śledziliśmy obławę na młodego mężczyznę z przedmieścia Lyonu, „tajemniczego Kelkala[93]”, i jego śmierć pod kulami policji, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Po raz pierwszy czas letni przedłużono aż do końca października. To była jesień upałów i światła. Kto oprócz krewnych ofiar lub tych, co uszli z życiem, pamiętał jeszcze o zabitych na stacji Saint-Michel? Ich nazwisk nigdzie nie zapisano – niewątpliwie po to, żeby nie przerażać użytkowników kolejki, i tak zestresowanych opóźnieniami „z powodu problemów technicznych”, „poważnych wypadków z udziałem podróżnych” – o ich śmierci zapomniano jeszcze szybciej niż o ofiarach z rue de Rennes, choć ci ostatni zginęli zaledwie dziewięć lat wcześniej, a nawet o tych z rue des Rosiers, jeszcze odleglejszych w czasie[94]. Fakty zacierały się, zanim stały się opowieścią.

Rosła obojętność.

W telewizji funkcjonowały dwa odrębne światy: towarów i spotów reklamowych oraz przemówień politycznych – istniały obok siebie, ale się

nie spotykały. W jednym panowały łatwość i zachęta do przyjemności, w drugim poświęcenie i przymus, coraz bardziej złowróżbne terminy „globalizacja handlu”, „niezbędna modernizacja”. Trochę to trwało, zanim przełożyliśmy sobie na realia życia codziennego plan Alaina Juppégo[95] i zrozumieliśmy, że nas oskubują, przede wszystkim jednak nie mogliśmy znieść tej wyniosłej i paternalistycznej maniery wyrzekania, że nie jesteśmy „pragmatyczni”. Państwo najmniej troszczyło się o emerytury i ubezpieczenia społeczne, to one pierwsze padały ofiarą wszystkich zmian.

Kolejarze i pocztowcy, nauczyciele, wszystkie służby publiczne przystąpiły do strajku. Nieprzebyte korki otaczały Paryż i wielkie miasta, ludzie kupowali rowery, żeby się jakoś przemieszczać. W grudniowe wieczory spiesznym krokiem maszerowały po ulicach kolumny pieszych. To był zimowy strajk dorosłych, ponury i spokojny, bez przemocy i egzaltacji. Na nowo odnajdywaliśmy szczególny bieg czasu towarzyszący wielkim strajkom, nieustanne opóźnienia, odradzający się zmysł radzenia sobie na własną rękę i prowizorycznych rozwiązań. W ciałach i gestach tkwiła mitologia, uparte przemieszczanie się pieszo w pozbawionym metra i autobusów Paryżu było wpisane w naszą pamięć. Głos Pierre’a Bourdieu na Dworcu Lyońskim łączył rok sześćdziesiąty ósmy z dziewięćdziesiątym piątym. Odzyskiwało się wiarę. Spokojnie ożywiały nas nowe słowa: „inny świat”, zbudować „Europę socjalną”. Ludzie powtarzali, że już od lat tak ze sobą nie rozmawiali, zachwycali się tym. Strajk był bardziej słowem niż działaniem. Juppé wycofał swój plan. Nadchodziło Boże Narodzenie. Trzeba było wrócić do siebie i do prezentów, do cierpliwości. Grudniowe dni dobiegły końca, nie utworzyły opowieści. Pozostał po nich tylko obraz tłumów sunących naprzód przez noc. Nie wiedziano, czy to ostatni wielki strajk tego wieku, czy początek przebudzenia. Dla nas coś się rozpoczynało, przypominano sobie wiersz Éluarda: „Było ich tylko kilku / na całej ziemi / każdy myślał, że jest sam / i nagle stali się tłumem”[96].

Pomiędzy tym, czego jeszcze nie ma, a tym, co już jest, świadomość przez krótki moment pozostaje pusta. Nie rozumiejąc, co się stało, wpatrywaliśmy się w ogromny tytuł na pierwszej stronie „Le Monde”: „FRANÇOIS MITTERRAND NIE ŻYJE”. Jak w grudniu tłum znów zgromadził się nocą na placu Bastylii. Ciągle chcieliśmy być razem, bo czuliśmy się osamotnieni. Przypominaliśmy sobie, że gdy wieczorem 10 maja osiemdziesiątego pierwszego, w merostwie Château-Chinon

Mitterrand dowiedział się, że został prezydentem Republiki, wyszeptał: „Ale numer!”.

Byliśmy rozemocjonowani. Fale strachu, oburzenia i radości zalewały nas w kolejnych pozbawionych niespodzianek daniach. Nie jedliśmy już mięsa z powodu „choroby wściekłych krów”, która w nadchodzącej dekadzie miała zabić tysiące ludzi. Gorszył nas obraz siekiery rozłupującej drzwi kościoła, w którym schronili się nielegalni imigranci[97]. Nagłe poczucie niesprawiedliwości, erupcja emocji lub wyrzutów sumienia wyrzucały ludzi z domów na ulice. Sto tysięcy manifestantów maszerowało radośnie w sprzeciwie wobec projektu ustawy Debrégo ułatwiającej ekstradycję obcokrajowców. Przyczepiało się do plecaka przypinkę z czarną walizką i napisem: „Na kogo teraz kolej?”, a po powrocie do domu chowało się ją na pamiątkę do szuflady. Podpisywało się petycje, zapominając, w jakiej są sprawie, a nawet, że już raz się je podpisało: „Zaraz, zaraz, a kto to jest ten Abu-Jamal[98]?”, „Trudno powiedzieć”. Następnego dnia nie pamiętało się wczorajszych emocji. Ludzie byli na przemian pobudzeni i apatyczni, raz w nastroju do protestu, kiedy indziej ustępliwi. Słowo „walka” zdewaluowało się jako spadek po marksizmie, teraz ośmieszonym, „obrona praw” odnosiła się w pierwszym rzędzie do praw konsumentów.

Cnoty takie jak patriotyzm czy honor popadały w zapomnienie, już się ich nie praktykowało, wydawało się absurdalne, że można je kultywować, były zarezerwowane dla niższych etapów rozwoju i dla ciemiężonych ludów. Wstyd, przywoływany przy każdej okazji, nie był już tym, czym kiedyś, teraz oznaczał po prostu przejściowe poniżenie, chwilowe zranienie *ego* – a „szacunek” to była przede wszystkim konieczność uznania tego *ego* przez innych. Nie słyszało się już, żeby ktoś mówił o „dobroci” czy o „dobrych ludziach”. Dumę z tego, co się zrobiło, zastępowała duma płynąca z tego, kim się jest, kobietą, gejem, mieszkańcem prowincji, Żydem, Arabem i tak dalej.

Zachęcano natomiast do odczuwania niesprecyzowanego zagrożenia. Jego ucieleśnieniem była zamazana sylwetka „Rumuna”, „dzikusa” z przedmieść, złodzieja wyrywającego kobietom torebki, gwałciciela, pedofila i śniadego terrorysty, a jeśli chodzi o przestrzeń – korytarze metra, Gare du Nord i departament Seine-Saint-Denis. Poczucie braku

bezpieczeństwa umacniały programy na TF1 i M6, ogłoszenia płynące z głośników: „Uwaga na kieszonkowców”, „Proszę informować o każdym bagażu pozostawionym bez opieki”.

Nie istniała precyzyjna nazwa dla wyrażenia stanu, gdy człowiek zarazem trwa w marazmie i ulega przemianie. W atmosferze niemożności uchwycenia tego, co się wydarza, z ust do ust zaczęło przechodzić słowo „wartości” – choć nie precyzowano jakie. Pojmowało się je jako ogólne potępienie młodych, systemu edukacji, pornografii, marihuany, nieznajomości ortografii i projektu legalizacji związków nieformalnych. Inne usta otwarcie drwiły z tego „nowego moralnego ładu”, „politycznej poprawności”, „schematycznego myślenia”, głosiły transgresję i oklaskiwały cynizm Houellebecqa. W studiach telewizyjnych sprzeczne dyskursy zderzały się ze sobą bez żadnych konsekwencji.

Przez wszystkie przypadki odmieniano też wyjaśnianie własnego *ja*, a rozmaitych interpretacji niestrudzenie dostarczały Mireille Dumas, Delarue[99], magazyny kobiece i miesięcznik „Psychologies”. Była to wiedza, która niewiele wnosiła, lecz upoważniała każdego do wystawiania rachunku rodzicom i przynosiła pocieszenie, gdyż pozwalała wtopić swoje życie w biografie innych.

Dzięki fanaberii Chiraca, któremu przyszło do głowy, by rozwiązać Zgromadzenie Narodowe, lewica wygrała wybory parlamentarne i Jospin został premierem. Był to rewanż za rozczarowujący wieczór z maja dziewięćdziesiątego piątego, przywrócenie mniejszego zła i przepisów dających posmak wolności, równości i szlachetności. Pasowały do naszego pragnienia, abyśmy wszyscy mieli prawo do tego, co w życiu dobre, do zdrowia dzięki powszechnemu ubezpieczeniu zdrowotnemu, do czasu dla siebie dzięki trzydziestopięciogodzinnemu tygodniowi pracy, choć wszystko inne pozostawało bez zmian. No i jeszcze jedno! W rok 2000 nie wejdziemy rządzeni przez prawicę.

Rytm handlu coraz bardziej przyspieszał i narzucał swoje zabójcze tempo. Wkładanie do wózka towarów oznaczonych kodem kreskowym odbywało się z prędkością wspomaganą jeszcze przez przesuwającą się przy kasie taśmę i dyskretne piknięcie w mgnieniu oka maskujące koszt transakcji.

Artykuły potrzebne na rozpoczęcie roku szkolnego pojawiały się na półkach, jeszcze zanim dzieci wyjechały na wakacje, ozdoby na choinkę zaraz po Wszystkich Świętych, a kostiumy kąpielowe już w lutym. Czas dyktowany przez rzeczy wsysał nas i bezustannie zmuszał do życia z dwumiesięcznym wyprzedzeniem. Ludzie spieszyli w niedziele na „wyjątkowe otwarcie" lub pędzili do sklepów czynnych do jedenastej wieczorem, pierwszy dzień wyprzedaży stanowił wydarzenie relacjonowane przez media. „Robić interesy", „korzystać z promocji" stało się bezdyskusyjną zasadą, absolutną koniecznością. Centrum handlowe z hipermarketem i galeriami pełnymi butików było głównym miejscem egzystencji, bezustannej kontemplacji przedmiotów, spokojnej przyjemności, nad której bezpieczeństwem czuwali muskularni ochroniarze. Dziadkowie prowadzili tam wnuczęta, żeby zobaczyły kozy i kury wyeksponowane w sztucznym świetle na bezwonnej ściółce. Następnego dnia na ich miejscu pojawiały się już specjały z Bretanii albo seryjnie produkowane naszyjniki i figurki określane mianem sztuki afrykańskiej – to wszystko, co pozostało z historii kolonialnej. Nastolatkom – zwłaszcza tym, które nie mogły liczyć na to, że w jakikolwiek inny sposób się wyróżnią – osobistą wartość nadawały marki odzieżowe, „L'Oréal – ponieważ jesteś tego warta". A my, surowe krytyczki społeczeństwa konsumpcyjnego, ulegałyśmy pokusie kupienia pary botków, które – jak kiedyś okulary przeciwsłoneczne, potem spódniczka mini czy spodnie dzwony – stwarzały przelotne złudzenie, że człowiek staje się dzięki nim nową istotą. Właśnie tego poczucia przedłużenia bytu – bardziej niż satysfakcji z posiadania – poszukiwali ludzie na półkach Zary czy H&M, a kupno rzeczy dostarczało im go natychmiast i bez wysiłku.

I nie starzeliśmy się. Żadna z rzeczy dookoła nas nie trwała wystarczająco długo, żeby się zestarzeć, były coraz szybciej zastępowane kolejnymi. Pamięć nie nadążała za tym, by kojarzyć je z chwilami istnienia.

Ze wszystkich nowych przedmiotów najcudowniejszy i najbardziej niepokojący był „telefon komórkowy". Nikt z nas nie wyobrażał sobie, że któregoś dnia będzie się przechadzać z aparatem w kieszeni i z dowolnego miejsca dzwonić, gdziekolwiek zechce. Uważano za dziwaczne, że ludzie samotnie idący ulicą mówią głośno do słuchawki przy uchu. Za pierwszym razem, gdy dzwonek zaterkotał w torebce, a było się, dajmy na to,

w wagonie kolejki podmiejskiej albo przy kasie w supermarkecie, wzdrygało się i gorączkowo szukało przycisku OK z czymś w rodzaju wstydu, poczucia niezręczności, gdyż nasze ciało znalazło się nagle w centrum uwagi innych słyszących: „Halo, tak” i słowa, które nie były przeznaczone dla nich. Tak samo, gdy rozlegał się obok nas głos nieznajomego odpowiadającego na połączenie, irytowało nas, że stajemy się więźniami czyjejś egzystencji, która lekceważy naszą, narzucając nam błahość swojej codzienności, banalność trosk i pragnień przedtem zamkniętych w kabinie telefonicznej lub mieszkaniu.

Prawdziwej odwagi technologicznej wymagało „posługiwanie się” komputerem. Ta umiejętność stanowiła wyższy stopień wtajemniczenia w nowoczesność, była innym, nowym rodzajem inteligencji. Owa onieśmielająca rzecz żądała błyskawicznego refleksu, nieznanej dotąd precyzji ruchów dłoni i bezustannie proponowała w niezrozumiałej angielszczyźnie „opcje”, które należało wybrać – był to przedmiot nieprzejednany i złowieszczy, ukrywał przed nami w swych trzewiach dopiero co napisany list, skazywał nas na bezustanne klęski, upokarzał. Buntowano się przeciwko niemu: „No i co on mi tu znowu wyświetla!”. Potem popłoch odchodził w zapomnienie. Żeby mieć internet i adres elektroniczny, kupowaliśmy modem, oczarowani, że możemy „nawigować” po całym świecie za pośrednictwem wyszukiwarki AltaVista.

W nowych przedmiotach tkwiła jakaś przemoc, były brutalne wobec ciała i ducha, lecz kiedy nabrało się wprawy w ich użytkowaniu, opresja znikała. Stawały się lekkie. (Jak zawsze dzieci i nastolatki używały ich łatwo i bez najmniejszego problemu).

Wydawało nam się, że maszyna do pisania, jej stukot i wszystkie związane z nią akcesoria, różnego rodzaju korektory i kalki, należą do odległej, niewyobrażalnej epoki, a przecież kiedy człowiek przypominał sobie, jak zaledwie kilka lat wcześniej telefonował do X z aparatu wiszącego obok kawiarnianej toalety czy wystukiwał list do P. na maszynie do pisania firmy Olivetti, musiał przyznać, że nieobecność komórki i maila nie miała wówczas żadnego wpływu na to, czy byliśmy szczęśliwi, czy cierpieliśmy.

Na tle bladobłękitnego nieba i piaszczystej, niemal pustej plaży, wybronowanej jak pole, odcina się mała, skupiona grupa złożona z dwóch kobiet i dwóch mężczyzn. Ponieważ słońce świeci z lewej, każda z czterech zbliżonych do siebie twarzy jest częściowo zacieniona, a częściowo jasna. Obydwaj mężczyźni, stojący w środku, są do siebie podobni, mają około trzydziestu lat, są takiego samego wzrostu i budowy ciała, jeden ma zaawansowaną łysinę, drugi dopiero jej zaczątki, mają też taki sam kilkudniowy zarost. Ten po prawej obejmuje ramieniem młodą, niewysoką dziewczynę z czarnymi włosami okalającymi oczy i pełne policzki. Druga kobieta, na lewym skraju grupy, jest w trudnym do określenia dojrzałym wieku – zmarszczki na rozświetlonym czole, różowe plamy rumieńców na policzkach, miękki kontur twarzy, włosy do ramion, beżowy sweter z luźno zawiązaną apaszką, perłowe kolczyki, przewieszona przez pierś torebka. Przypomina zamożną mieszczkę spędzającą weekend na normandzkiej plaży.

Ma miły i zdystansowany uśmiech osoby dorosłej przyzwyczajonej do tego, że się ją fotografuje samą z młodymi (sposób, w jaki pokazuje, że jest świadoma różnicy wieku).

Wszyscy czworo stoją przodem do obiektywu, ciała i twarze nieruchome w postawie przyjętej od początków fotografii, żeby zaświadczyć, że są tu razem, w tym samym miejscu, tego samego dnia, i że nie myślą o niczym innym poza tym, że jest im dobrze. Na odwrocie: „Trouville, marzec 1999”.

To ona jest kobietą z różem na policzkach, dwaj trzydziestolatkowie to jej synowie, młoda kobieta jest dziewczyną starszego, a zdjęcie robi im ta, która chodzi z młodszym. Zarabiając od lat godziwą pensję nauczycielki z wieloletnim stażem, starsza kobieta funduje wszystkim ten weekend nad morzem. W dalszym ciągu pragnie być dawczynią materialnego szczęścia dla swoich synów, zrekompensować ich ewentualny ból, za który czuje się odpowiedzialna, gdyż powołała ich do istnienia. Pogodziła się z tym, że choć są dobrze wykształceni, żyją z krótkoterminowych kontraktów, w zależności od miesiąca raz lepiej, raz gorzej, słuchając muzyki, oglądając amerykańskie seriale i grając w gry wideo, jakby nieustannie prowadzili żywot studentów albo artystów bez grosza przy duszy w dawnej bohemie. Są w zupełnie innej sytuacji w porównaniu z ustabilizowaną pozycją, jaką miała ona, gdy była w ich wieku. (Kobieta nie wie, czy ich życiowa beztroska jest rzeczywista, czy udawana).

Doszli do Czarnych Skał i zejścia na plażę nazwanego na pamiątkę Marguerite Duras, a teraz wracają. Kiedy tak idzie powoli za nimi, raz dopasowując krok do ich rytmu, to znów zwalniając i spoglądając na nich od tyłu, odczuwa zapewne rodzaj niedowierzania, słysząc ich niskie głosy. Jak to możliwe, że ci mężczyźni są jej dziećmi? (To, że nosiła ich w brzuchu, nie wydaje się jej wystarczającym powodem). Czyż w jakiś niezrozumiały sposób nie próbowała odtworzyć istnienia obojga własnych rodziców, postawić przed sobą tego, co było też za nią, cieszyć się takim samym zakotwiczeniem w świecie? Toteż na tej plaży przypomina sobie może okrzyk swojej matki, która za każdym razem, gdy widziała ją idącą pomiędzy nastoletnimi synami, wołała z pełnym podziwu osłupieniem: „Jakie wielkie chłopiska!”, jakby niepodobieństwem było, że jej córka może być matką tych dwóch zuchów, już wtedy wyższych od niej o głowę, i jakby było w tym coś niestosownego, że w ciele tej, która nigdy nie przestała być dla niej małą dziewczynką, zamiast dwóch córek urośli dwaj synowie.

Pewne jest, że ilekroć od czasu do czasu się z nimi spotyka, wchodząc w pełnioną epizodycznie funkcję matki, odczuwa niedostatek więzów macierzyńskich, stąd konieczność posiadania kochanka, dzielenia z kimś intymności, a zapewnia to tylko akt seksualny, przynoszący jej pocieszenie po przejściowych konfliktach z synami. Młody mężczyzna, do którego przyjeżdża w weekendy, często ją nudzi i drażni, zwłaszcza gdy w niedzielę rano ogląda program o piłce nożnej, lecz rezygnacja ze związku z nim oznaczałaby, że kobieta nie komunikowałaby już nikomu błahych czynów i zdarzeń każdego dnia, że przestałaby opisywać codzienność. A także że przestałaby wyczekiwać, musiałaby przeglądać wyjęte z komody koronkowe stringi i pończochy w przekonaniu, że na nic się jej już nie przydadzą, słuchać *Sea, Sex and Sun* i czuć się wykluczoną ze świata gestów, pragnienia i zmęczenia, być pozbawioną przyszłości. W chwili, kiedy to sobie uświadamia, owo poczucie braku gwałtownie przywiązuje ją do tego chłopca jako do „ostatniej miłości”.

Gdy się nad tym zastanawia, wie, że jeśli o nią chodzi, zasadniczym elementem ich relacji nie jest seks: ten młody mężczyzna służy jej do tego, aby powtórnie przeżyła to, czego mogłaby już nigdy nie przeżyć. Gdy zabiera ją do Jumbo, żeby coś zjedli, gdy wita ją muzyką Doorsów i gdy kochają się na materacu na podłodze, ona ma wrażenie, że odgrywa sceny

ze swojego studenckiego życia, że odtwarza chwile, które już się odbyły. Teraz nie przeżywa jednak tego wszystkiego całkiem na serio, a jednocześnie odtworzenie minionych przeżyć urealnia jej młodość, jej pierwsze doświadczenia, „pierwsze razy", które wtedy nie zdążyły nabrać sensu, bo zaskoczyły ją nagłym wtargnięciem w jej życie. Teraz także nie mają go więcej, lecz powtórzenie wypełnia pustkę i nadaje pozór spełnienia. W dzienniku pisze: „Wyrwał mnie z mojego pokolenia. Ale do jego generacji też nie należę. Nie jestem w żadnym czasie. On jest aniołem, który sprawia, że można ponownie przeżyć przeszłość, unieśmiertelnia".

Często w niedzielne popołudnie, przytulona do niego w półśnie po seksie, wpada w szczególny stan. Nie wie już, skąd, z jakich miast płyną do niej odgłosy samochodów, kroków i słowa na zewnątrz. W niejasny sposób jest równocześnie w swoim kąciku w bursie dla dziewcząt, w pokoju hotelowym – w Hiszpanii latem osiemdziesiątego, zimą w Lille z P. – w łóżku, skulona obok swojej śpiącej matki. Czuje, jakby znajdowała się w kilku momentach życia naraz, jakby jedne chwile unosiły się nad drugimi. Czas, którego natury nie pojmuje, ogarnia jej świadomość, lecz także ciało, czas, w którym teraźniejszość i przeszłość nakładają się na siebie, nie mieszając ze sobą, a jej samej wydaje się, że przybiera na przemian wszystkie wcielenia tych *ja*, którymi była. Już kiedyś przelotnie doświadczyła tego wrażenia – być może wywołują je narkotyki, lecz ona nigdy ich nie brała, ponad wszystko stawiając rozkosz jasnej świadomości – teraz jednak przeżywa ten stan jakby w powiększeniu, w zwolnionym tempie. Nadała mu nazwę „poczucia palimpsestu", chociaż jeśli wierzyć definicji – „rękopis, z którego wydrapano litery, aby pisać po nim na nowo" – słowo „palimpsest" nie całkiem tu pasuje. Widzi jednak w tym stanie nie tylko potencjalne narzędzie do zgłębiania siebie samej, lecz także do naukowego poznania jako takiego, tyle że nie ma pojęcia, co miałoby być jego przedmiotem. Gdy myśli o swoim projekcie – opisać losy kobiety żyjącej od 1940 roku do chwili obecnej – projekcie, który napełnia ją zgryzotą, wręcz poczuciem winy, bo dotąd go nie zrealizowała, chciałaby, bez wątpienia zainspirowana Proustem, żeby to odczucie stanowiło punkt wyjścia, bo pragnie oprzeć swoją opowieść na tym, czego rzeczywiście doświadcza.

Jak w serii obrazów w obrazach – niczym na *Urodzinach*, płótnie Dorothei Tanning – owo poczucie palimpsestu, stopniowo oddalające ją coraz bardziej od słów i całego języka, a przybliżające ku pierwszym latom

życia bez wspomnień, ku różowemu ciepłu kołyski, unicestwia jej historię, unieważnia czyny i zdarzenia, wszystko, czego się nauczyła, czego pragnęła, co myślała i co doprowadziło ją tutaj, do tego łóżka i młodego mężczyzny. Ona zaś – przeciwnie, chciałaby zachować w swojej książce wszystko to, co zdarzało się kolejno wokół niej, uratować okoliczności swojego życia. Czyż samo to odczucie nie należy do historii, do przemian zachodzących w życiu kobiet i mężczyzn, które sprawiły, że można go doświadczać w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, leżąc w łóżku z dwudziestodziewięcioletnim mężczyzną i nie czując z tego powodu żadnej winy ani też zresztą dumy? Nie jest pewna, czy to „poczucie palimpsestu" wyjaśnia coś więcej niż inne wrażenie, którego równie często doznaje – że jej egzystencja, że jej kolejne *ja* znalazły ucieleśnienie w postaciach z książek i filmów, że jest kobietą z niedawno obejrzanych *Sue* Amosa Kolleka, *Claire Dolan* Lodge'a Kerrigana albo że wciela się w Jane Eyre, Molly Bloom czy w Dalidę.

W przyszłym roku przechodzi na emeryturę. Już teraz wyrzuca konspekty zajęć, notatki o książkach i dziełach naukowych, które służyły jej do opracowania lekcji, pozbywa się tego, co było opakowaniem jej życia, jakby robiąc na biurku miejsce na swój pisarski projekt – teraz, gdy nie ma już żadnego pretekstu, żeby go odkładać. Kiedy sprząta, znajduje kartkę ze zdaniem, którym Stendhal rozpoczyna *Życie Henryka Brulard*: „Jestem w przededniu pięćdziesiątki, byłby czas znać samego siebie"[100]. Gdy je przepisała, miała trzydzieści siedem lat – teraz nie tylko doszlusowała do ówczesnego wieku Stendhala, ale już go dawno przekroczyła.

Zbliżał się rok 2000. Nie mogliśmy uwierzyć, że dane nam tego doświadczyć. Żałowało się ludzi, którzy umarli przed tą datą. Nie sposób było sobie wyobrazić, żeby ten rok mógł przejść normalnie, zapowiadano „pluskwę milenijną", jakąś planetarną awarię, coś jakby pojawianie się czarnej dziury, która poprzedza koniec świata i zapowiada powrót do stanu dzikości. XX wiek zamykał się za nami, podsumowywany w najrozmaitszych bilansach, wszystko zostało skatalogowane, sklasyfikowane, ocenione – odkrycia, dzieła literackie, artystyczne, wojny, ideologie, jakby w nowe stulecie trzeba było wejść z wyczyszczoną pamięcią. Coś w rodzaju czasu uroczystego i oskarżycielskiego –

odpowiadaliśmy za wszystko – wisiało nad nami i ogołacało nas ze wspomnień, z tego, co nigdy nie było dla nas tą całością, „wiekiem”, tylko prześlizgiwaniem się lat, które odróżniały się od pozostałych mniej lub bardziej w zależności od tego, jakie zmiany zachodziły w naszym życiu. W nowym stuleciu ludzie, których znaliśmy z dzieciństwa, rodzice i dziadkowie, wszyscy, którzy odeszli, staną się definitywnie martwi.

Lata dziewięćdziesiąte, przez które właśnie przebrnęliśmy, nie miały szczególnego znaczenia, były latami rozczarowań. Widząc, co się dzieje w Iraku – który Amerykanie chcieli zagłodzić i zrównać z ziemią, a dzieci umierały tam z braku lekarstw – w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu, w Czeczenii, Kosowie, Algierii i tak dalej, nie chciało się pamiętać o uścisku dłoni Arafata z Clintonem w Camp David, zapowiedziach „nowego światowego ładu” ani Jelcynie na czołgu. W sumie nie miało to wszystko większego znaczenia, może poza mglistymi i odległymi wieczorami z grudnia 1995 roku – jak było już wiadomo, niewątpliwie ostatnim wielkim strajkiem tego wieku. Ze spraw pobocznych – piękna nieszczęśliwa księżna Diana, która zginęła w samochodzie na moście de l’Alma, niebieska sukienka Moniki Lewinsky poplamiona spermą Billa Clintona. A nad tym wszystkim mundial. Miało się ochotę na nowo przeżyć te tygodnie oczekiwania, gromadzenia się przed telewizorami w opustoszałych miastach, po których krążyli tylko dostawcy pizzy, raz jeszcze od meczu do meczu dotrwać do tej niedzieli, gdy wrzeszcząc w uniesieniu, byliśmy gotowi umrzeć razem, ekstatycznie napawając się wygraną Niebieskich – tyle że chodziło o dokładne przeciwieństwo śmierci. Chciało się do tego wrócić, by ponownie odnaleźć poczucie oddania się jednemu pragnieniu, jednemu obrazowi, jednej opowieści – olśniewające dni, których żałosnymi pozostałościami były reklamy Évian i Leader Price z twarzą Zidane’a na ścianach korytarzy metra.

Przed nami nie było nic.

Nadchodziło ostatnie lato – teraz wszystko było ostatnie. Ludzie zgromadzili się raz jeszcze. Pędzili w samochodach ku klifom nad kanałem La Manche, żeby zobaczyć, jak w samo południe księżyc przesłania słońce, tłumy tłoczyły się w paryskich parkach. Robiło się chłodniej, zapadał zmierzch. Chciało się, żeby słońce jak najprędzej wyjrzało z powrotem, a jednocześnie pragnęło się pozostać w tej osobliwej nocy, miało się

wrażenie, że w przyspieszonym tempie przeżywa się wymieranie ludzkości. Miliony lat świetlnych przebiegały przed naszymi oczami zasłoniętymi ciemnymi szkłami okularów. Ślepe twarze wzniesione ku niebu zdawały się oczekiwać nadejścia jakiegoś boga albo białego jeźdźca Apokalipsy. Ludzie klaskali, kiedy słońce pojawiło się na nowo. Następne zaćmienie ma nastąpić w 2081 roku, więc my go już nie zobaczymy.

Wkroczyliśmy w rok 2000. Pomijając fajerwerki i zwykłą miejską euforię, nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Byliśmy zawiedzeni, „pluskwa milenijna" okazała się bujdą. Prawdziwe wydarzenie przyszło sześć dni wcześniej, coś, co nazywano zrazu „wielką burzą", wyłoniło się jakby znikąd i przemieszczając się z północy na południe i z zachodu na wschód, w ciągu kilku nocnych godzin powaliło tysiące pylonów, położyło całe lasy, zerwało dachy, zabiło jednak tylko dziesięć osób, które znalazły się w niewłaściwym czasie i miejscu[101]. Rano słońce spokojnie wstało nad krajobrazem zniszczeń, nad właściwym ruinom pięknem. Tak zaczynało się trzecie tysiąclecie. (Nasuwała się myśl o tajemniczej zemście przyrody).

Nie zmieniło się nic poza dziwacznością cyfry 2 zamiast dotychczasowej 1, co doprowadzało do pomyłek przy wpisywaniu daty na dole blankietu czekowego. Po zimie ciepłej i deszczowej jak poprzednie kolejne „dyrektywy europejskie" Brukseli i „boom na start-upy" zamiast spodziewanego entuzjazmu wywołały coś w rodzaju melancholii. Socjaliści rządzili bezbarwnie. Manifestacje stawały się rachityczne. Nie chodziliśmy już na te w obronie nielegalnych imigrantów.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu nowego wieku w Gonesse rozbił się concorde, samolot dla bogaczy, którym nigdy nie leciał nikt z naszych znajomych, więc wypadek szybko zatarł się w naszej pamięci, dołączając do epoki de Gaulle'a. Putin, niewysoki lodowaty człowieczek o nieprzeniknionej ambicji i chociaż raz łatwym do wymówienia nazwisku, zastąpił pijaka Jelcyna i obiecywał, że „dopadnie Czeczenów nawet w kiblu". Rosja nie wzbudzała już ani nadziei, ani strachu, niczego poza bezustannym zmartwieniem. Zniknęła z naszej wyobraźni, którą wbrew nam wypełniali teraz Amerykanie, niczym gigantyczne drzewo rozpościerające swoje konary nad całą powierzchnią ziemi. Coraz bardziej działali nam na nerwy swoim moralizatorstwem, akcjonariuszami, funduszami emerytalnymi, zanieczyszczeniem planety i obrzydzeniem do

naszych serów. Aby nazwać fundamentalne ubóstwo ich wyższości, bazującej wyłącznie na broni i gospodarce, używano zazwyczaj jednego słowa: „arogancja”. Zdobywcy bez jakichkolwiek ideałów poza ropą naftową i dolarami. Ich wartości i zasady – liczyć tylko na siebie – dawały nadzieję wyłącznie im samym, a my marzyliśmy o „innym świecie”.

Na początku nie mogliśmy w to uwierzyć – tak jak George W. Bush uchwycony na nagraniu w chwili, gdy przekazano mu szeptem tę informację, oniemiały, zaskoczony jak dziecko. My także nie byliśmy w stanie tego poczuć ani ogarnąć rozumem, po prostu musieliśmy to zobaczyć i patrzeć wciąż, a potem jeszcze wiele razy, jak bliźniacze wieże na Manhattanie walą się na ekranie telewizora jedna za drugą tamtego wrześniowego popołudnia – który w Nowym Jorku był porankiem, ale dla nas na zawsze pozostanie popołudniem – jakby od uporczywego wpatrywania się w te obrazy wydarzenie miało się wreszcie stać rzeczywiste. Nie mogliśmy wyjść z osłupienia, dzwoniliśmy do wszystkich bez ustanku.

Napływały przemowy i analizy. Wyrazistość faktu zaczynała się rozmywać. Nie zgadzaliśmy się z proklamacją „Le Monde”: „Wszyscy jesteśmy Amerykanami”. W jednej chwili cała wizja świata legła w gruzach, w niecałe dwie godziny kilku fanatyków z zacofanych krajów, uzbrojonych w nożyki do tapet, zmiotło z powierzchni ziemi symbole amerykańskiej potęgi. Zadziwiała niezwykłość tego wyczynu. Wyrzucało się samemu sobie wiarę w niezwyciężoność Stanów Zjednoczonych, nie można było sobie darować, że uległo się temu złudzeniu. Do głowy przychodził inny 11 września i zamordowanie Allende. To było jak rewanż. Później nadejdzie czas, aby pomyśleć o współczuciu i konsekwencjach. Teraz liczyło się to, skąd, jak, od kogo czy z jakich źródeł dowiedziało się o atakach na Twin Towers. Ci bardzo nieliczni, do których ta informacja nie dotarła w dniu zamachu, mieli poczucie, że spóźnili się na spotkanie z resztą świata.

Każdy przypominał sobie, co robił w chwili, gdy pierwszy samolot wbił się w wieżę World Trade Center, gdy ludzie parami rzucali się z okien wieżowców, trzymając się za ręce. Pomiędzy nami a nimi nie istniał żaden związek, chyba tylko taki, że było się żywym w tym samym czasie, co trzy

tysiące istot, które za moment miały umrzeć, choć jeszcze kwadrans wcześniej nie miały o tym pojęcia. Przypominaliśmy sobie: byłam u dentysty, w samochodzie, czytałam – w tym zadziwieniu równoczesnością uświadamiano sobie zarówno to, że każdy człowiek na ziemi jest osobnym bytem, jak i to, że istnieje między nami więź wynikająca ze wspólnej kruchości życia. I kiedy w Muzeum d'Orsay kontemplowaliśmy obraz van Gogha, nasza niewiedza o tym, co działo się w tej chwili na Manhattanie, była równa nieświadomości momentu, gdy my sami będziemy umierać. A przecież pośród upływających jeden za drugim nieznaczących dni ta godzina, która zawierała zarazem upadek wież WTC i wizytę u dentysty lub kontrolę techniczną pojazdu, została niewątpliwie zachowana w pamięci.

11 września usuwało w cień wszystkie daty, które towarzyszyły nam do tej pory. Wcześniej mówiło się, że coś zdarzyło się „po Auschwitz", teraz zastąpiło je określenie „po 11 września" – był to dzień jedyny w swoim rodzaju. Od niego coś się zaczynało, nie wiadomo było tylko co. Czas również się globalizował.

Później, gdy będziemy myśleć o faktach, które po zastanowieniu umiejscowimy w 2001 roku – burza w Paryżu w weekend 15 sierpnia, rzeź w czasie napadu na bank Caisse d'Epargne w Cergy-Pontoise, reality show *Loft story*, publikacja *Życia seksualnego Catherine M.* – zdumieje nas, że miały miejsce przed 11 września i że nic nie odróżnia ich od wydarzeń z października czy listopada. Powróciły na swoje miejsce w nurcie przeszłych zdarzeń i uniezależniły się tego fundamentalnego wydarzenia, którego – musieliśmy to teraz przyznać – tak naprawdę nie przeżyliśmy do końca.

Zanim ktokolwiek miał czas o tym pomyśleć, wkroczyliśmy w obszar strachu, świat przeniknęła ciemna siła gotowa do najokrutniejszych czynów w każdym punkcie globu, koperty z białym proszkiem zabijały adresatów. Nagłówki „Le Monde" krzyczały: „Nadchodzi wojna!". Prezydent Stanów Zjednoczonych George W. Bush, groteskowy syn poprzednika, wybrany w żenujący sposób po niekończącym się przeliczaniu głosów, proklamował wojnę dwóch cywilizacji – Dobra zmagającego się ze Złem. Terroryzm miał teraz imię: Al-Kaida, wyznanie: islam, miejsce zamieszkania: Afganistan. Nie można już było spać, trzeba było pozostać czujnym aż do

końca czasów. Konieczność dzielenia strachu Amerykanów studziła gotowość do solidarności i współczucia. Drwiono z nieudolności ich prób schwytania bin Ladena i mułły Omara, który umknął na motocyklu.

Zmieniało się wyobrażenie o świecie muzułmańskim. Ta mglista masa mężczyzn w długich szatach i kobiet z twarzami zasłoniętymi jak święte dziewice, poganiaczy wielbłądów i egzotycznych tancerek, minaretów i muezinów traciła status odległej, malowniczej wizji i stawała się obrazem współczesnej siły. Ludzie z trudem umieli połączyć w myślach ideę nowoczesności z pielgrzymowaniem do Mekki, dziewczynę w czadorze z pisaniem doktoratu na Uniwersytecie Teherańskim. Już nie można było zapomnieć o muzułmanach. Miliard dwieście milionów.

(Miliard trzysta milionów Chińczyków wierzących tylko w ekonomię, w pocie czoła wytwarzających tanie towary na rynek zachodni było tylko odległym milczeniem).

Powracała religia, ale nie ta nasza, w którą już nie wierzyliśmy, której nie chcieliśmy przekazywać dzieciom, lecz ta, która – jeśliby zrobić ranking – w gruncie rzeczy pozostawała jedyną prawowitą i najlepszą. Jej przykazania, różaniec, kolędy i ryba w piątek stanowiły część muzeum dzieciństwa: „Jestem chrześcijaninem i jestem z tego dumny".

Nie uległo zmianie rozróżnienie na „rodowitych Francuzów" (określenie, że się jest „z francuskiego pnia", oznaczało wszystko: drzewo i ziemię) i tych, którzy są „z pochodzenia imigrantami". Gdy prezydent Republiki mówił o „ludzie francuskim", rozumiało się samo przez się, że w szlachetnym sensie tych słów i bez żadnego ksenofobicznego podtekstu odnosił się do całości, w której skład wchodzili Victor Hugo, zdobycie Bastylii, chłopi, nauczyciele i księża, Bernard Pivot, ojciec Piotr, generał de Gaulle, Asterix, Matka Denis[102] i Coluche, wszystkie Marie i wszyscy Patrickowie. Nie włączał w tę wspólnotę żadnej Fatimy, Alego i Boubacara, tych, którzy w supermarketach robili zakupy w dziale *halal* i przestrzegali ramadanu. W jeszcze mniejszym stopniu zaliczał do niej „młodych z blokowisk", których twarze skryte pod kapturami i nonszalanckie zachowanie wydawały się widomymi znakami cwaniactwa i lenistwa, niewątpliwym wstępem do jakiegoś występku. W nieokreślony sposób byli obywatelami wewnętrznej kolonii, nad którą nie miało się już władzy.

Język bezustannie nas od nich dzielił, zamykał ich we „wspólnotach” i w „dzielnicach”, w „terytoriach bezprawia” wydanych na łaskę handlarzy narkotykami i sprawców zbiorowych gwałtów, zmieniał ich w dzikusów. „Francuzi są zaniepokojeni”, twierdzili dziennikarze. Według sondaży – które kształtowały emocje – brak poczucia bezpieczeństwa był najważniejszą troską ludzi. Miał pozbawioną rysów twarz podejrzanej śniadej populacji i członków band, które błyskawicznie obrabiały z telefonów komórkowych uczciwych ludzi.

Przejście na euro przyniosło chwilową rozrywkę. Ciekawość, w jakim kraju zostały wyemitowane poszczególne monety, zniknęła jednak w ciągu tygodnia. To był pieniądz zimny, małe czyste banknoty bez idei narodowych i metafor, euro to euro, nic innego – pieniądz niemal nierealny, nieważki i zwodniczy, który zmieniał ceny i wywoływał wrażenie, że w sklepach wszystko potaniało, ale też, gdy się spojrzało na pasek wypłaty, że zarabia się nagle znacznie mniej. Trudno było wyobrazić sobie Hiszpanię bez peset, chociaż zostały w niej tapas i sangria, albo Włochy bez stu tysięcy lirów za noc w hotelu. Brakowało nam czasu, by odczuwać smutek po utracie rzeczy. Zmarł Pierre Bourdieu, krytyczny intelektualista znany niewielu, a my nie wiedzieliśmy nawet, że był chory. Nie pozostawił nam chwili, żeby się zadumać, przewidzieć jego nieobecność. Szczególnego rodzaju żal tlił się cicho w umysłach tych, którzy wyzwolili się dzięki lekturze jego dzieł. Baliśmy się, że jego słowa wyblakną w nas jak słowa Sartre’a, dzisiaj już jakże odległe. Że pozwolimy się pokonać światu opinii publicznej.

Tym bardziej przygnębiające okazały się majowe wybory prezydenckie. Powtórka z poprzednich, w dziewięćdziesiątym piątym, z tymi samymi Chirakiem i Jospinem (który podążał w ślady Blaira, brzydziło go używanie słowa „socjalista”, ale miał szanse na elekcję). Ze zdziwieniem przypominano sobie napięcie i szorstkość pierwszych miesięcy osiemdziesiątego pierwszego. Pamiętaliśmy o tym, a więc jednak nie utraciliśmy poczucia, że zmierzamy w jakimś kierunku. Nawet dziewięćdziesiąty piąty wydawał się lepszy. Nie wiedzieliśmy, co sprawiło, że wrzucenie głosu do urny zdaje się nam równie śmieszne jak wrzucenie kuponu konkursowego do skrzynki w centrum handlowym. Może to była wina mediów, ich natrętnych sondaży: „Kto wzbudza pana (pani)

zaufanie?”, i paternalistycznych opinii, może manipulujących nami polityków, którzy obiecywali, że obniżą bezrobocie i załatają dziurę w świadczeniach społecznych, a może po prostu było się poirytowanym wiecznie zepsutymi ruchomymi schodami na dworcu, kolejką do kasy w Carrefourze i na poczcie, rumuńskimi żebraczkami, wszystkimi tymi rzeczami, których nagromadzenie powodowało, że nawet Guignole w Canal+ przestali być śmieszni. Ponieważ nikt nas już nie reprezentował, w pierwszej turze można było wybierać wedle własnego kaprysu. Głosowanie stało się sprawą osobistą, emocjonalną. Czekano na ostatni impuls – czy oddać głos na Arlette Laguiller, Christiane Taubirę, a może na Zielonych? Tylko przyzwyczajenie, to, że pamiętało się o odwiecznym „prawie do wyboru” swoich przedstawicieli, sprawiało, że decydowano się mimo wszystko pójść do lokalu wyborczego w kwietniową niedzielę w samym środku wiosennych wakacji.

I gdyby nie oczekiwanie na wieczorną rozrywkę, zapamiętalibyśmy z tamtej niedzieli tylko to, że było piękne słońce i przyjemna pogoda, wspomnienia wszystkich innych zajęć poprzedzających godzinę ogłoszenia wyników zatarły się w pamięci. Tymczasem stało się! Ten bawiący tłumy demagog z nienawistnym grymasem na twarzy, człowiek, który od dwudziestu lat opowiadał antysemickie i rasistowskie potworności, znienacka objawił się w gronie kandydatów i zepchnął Jospina na trzecie miejsce. Nie ma już lewicy. Zniknęła polityczna lekkość życia. Gdzie tkwił błąd? Co takiego zrobiliśmy źle? Może trzeba było w pierwszej turze głosować na Jospina, a nie na Laguiller? Sumienie kręciło się w kółko, schwytane w pułapkę pomiędzy niewinnym indywidualnym gestem wrzucenia głosu do urny a zbiorczym rezultatem. Uległo się przelotnemu kaprysowi i zostało za to ukaranym. Miało się poczucie winy, toteż dyskurs wstydu objął cały kraj, zastępując hasła o braku bezpieczeństwa, aktualne jeszcze do wczoraj. Gorączkowo szukano sprawców: dzienniki telewizyjne w kółko pokazywały żałosną twarz dziadka Voise’a[103] napadniętego przez łobuzów, którzy na dodatek spalili mu dom, a potem tych, co nie poszli do urn, i tych, co głosowali na ekologa, trockistę, komunistę. Media „oddawały głos” milczącym, którzy wybrali Le Pena. Tym wyprowadzanym z cienia robotnikom i kasjerkom zadawano pytania ostrożnie, tylko po to, żeby uzyskać doraźne odpowiedzi, bez wyciągania wniosków na przyszłość.

Zanim zdołaliśmy to sobie uświadomić, daliśmy się ponieść entuzjazmowi powszechnej mobilizacji dla ratowania demokracji, posłuchaliśmy wezwania, by głosować na Chiraca, a nie na Le Pena (wezwaniom towarzyszyły rady, jak zachować pozory szacunku do samego siebie, wrzucając głos do urny: zatkać nos i głosować w rękawiczkach: „Lepszy głos, który śmierdzi, niż taki, co zabija"). Choć powarkiwaliśmy, potulnie daliśmy się wmanewrować w obywatelską jednomyślność, w atmosferę i slogany jak na pierwszomajowym pochodzie: „Zahaltować Führera Le Pena", „Nie lękajcie się – przystąpcie do ruchu oporu", „Mam jaja / *I've got the balls* / *Tengo las bolas*", „17,3% w skali Hitlera"[104]. Wracający z wakacji młodzi uważali, że to, co się dzieje, przypomina mundial. Gdy pod szarym niebem, na czarnym od głów placu Republiki tkwiliśmy ściśnięci w monstrualnym tłumie, który nie chciał się rozejść, nie przestawały nas trawić wątpliwości. Czuliśmy się jak statyści w filmie o latach trzydziestych. W powietrzu wisiał jednomyślny fałsz. Zamiast zostać w domu, z bólem zdecydowaliśmy się oddać głos na Chiraca. Po wyjściu z lokalu wyborczego miało się wrażenie, że popełniło się czyn całkowicie szalony. Widząc wieczorem w telewizji morze twarzy skierowanych w stronę Chiraca, krzyczących: „Chichi, kochamy cię", podczas gdy ponad głowami zgromadzonych kołysała się mała, drobna dłoń logo SOS Racisme, myślało się: „Pieprzone durnie".

Później z wyborów prezydenckich pozostanie w pamięci tylko data pierwszej tury, 21 kwietnia, jak gdyby wymuszona druga tura z osiemdziesięcioma procentami głosów się nie liczyła. Czy głosowanie było jeszcze możliwe?

Przyglądaliśmy się, jak prawica na nowo zajmuje wszystkie miejsca. Te same przemówienia zachęcające do przystosowania się do warunków rynku i globalizacji, te same zachęty, żeby pracować coraz więcej i dłużej, rozkwitły z powrotem na ustach premiera, którego nazwisko, Raffarin, okrągłe plecy i zmęczona uprzejmość przywodziły na myśl notariusza z lat pięćdziesiątych, pod którego ciężkim krokiem skrzypi parkiet w kancelarii. Niespecjalnie oburzano się, gdy – jak w XIX wieku – mówił o Francji „wysokich" i „niskich sfer". Przestawaliśmy się tym interesować. Nawet Niebiescy dali się pokonać na mistrzostwach świata w Korei Południowej. Zajęliśmy się sobą.

Sierpniowe słońce grzało skórę. Z zamkniętymi powiekami na piasku plaży – ta sama kobieta, ten sam mężczyzna. Zanurzało się w swoim własnym ciele, tym samym, co w dzieciństwie, na kamienistym wybrzeżu Normandii, podczas wakacji na Costa Brava. Kolejny raz powstawało się z czasu w całunie światła.

Otwierało się oczy i widziało całkowicie ubraną kobietę wchodzącą do morza, w żakiecie, długiej spódnicy i muzułmańskiej chuście zakrywającej włosy. Mężczyzna z nagim torsem, w szortach trzymał ją za rękę. To była biblijna wizja, której piękno napełniało nas przeraźliwym smutkiem.

Miejsca, w których oferowano towary, stawały się coraz większe, piękniejsze, bardziej kolorowe, dokładnie wymyte. Kontrastowały ze zniszczonymi stacjami metra, z urzędem pocztowym i liceami publicznymi, każdego poranka odradzały się we wspaniałości i w obfitości pierwszego dnia Edenu.

Gdyby codziennie jeść jeden słoiczek, rok nie wystarczyłby, aby spróbować wszystkich rodzajów jogurtów i deserów. Były odmienne depilatory do pach męskich i żeńskich, specjalne wkładki do stringów, wilgotne chusteczki higieniczne, „kreatywne przepisy” i „pieczone przekąski” dla kotów, z podziałem na koty dorosłe, młode, starsze i koty niewychodzące na dwór. Nie było części ludzkiego ciała ani jego funkcji, która umknęłaby zapobiegliwości wytwórców. Produkty żywnościowe były albo „lekkie”, albo „wzbogacone” niewidocznymi substancjami, witaminami, kwasami omega-3, błonnikiem. W procesie bezustannej segmentacji rzeczywistości i mnożenia przedmiotów wszystko, co istnieje, powietrze, ciepło i zimno, trawa i mrówki, pot i nocne chrapanie, mogło stać się inspiracją do stworzenia nieskończonej gamy towarów. Handlowa wyobraźnia nie znała granic. Zagarniała na swoje potrzeby język ekologii i psychologii, stroiła się w szaty humanizmu i sprawiedliwości społecznej, zachęcała nas do „wspólnej walki z drożyzną”, zalecała: „Zrób sobie przyjemność”, „Złap okazję”. Nakazywała obchody tradycyjnych świąt, Bożego Narodzenia i walentynek, towarzyszyła ramadanowi. Była moralnością, filozofią, jedyną słuszną formą naszych egzystencji. „Życie. Prawdziwe. Auchan”.

Była to dyktatura łagodna i uszczęśliwiająca, przeciwko której nikt się nie buntował, można się było tylko chronić przed jej nadużyciami, edukować konsumenta – oto nowa podstawowa definicja jednostki. Dla

wszystkich, również dla nielegalnych imigrantów stłoczonych w łodzi przy hiszpańskim wybrzeżu, wolność przybierała postać centrum handlowego, hipermarketu wypełnionego po brzegi obfitością dóbr materialnych. Było rzeczą normalną, że produkty przybywają z całego świata i krążą swobodnie, natomiast ludzi cofa się spod granic. Aby je przekroczyć, niektórzy chowali się w ciężarówkach, robili z siebie towar – nieruchomieli i umierali uduszeni, bo jakiś kierowca zapomniał o nich na nasłonecznionym parkingu w Dover.

Troska o klienta w centrach masowej dystrybucji szła tak daleko, że specjalnie dla biednych oferowano produkty pakowane hurtowo i niskiej jakości, bez marek – peklowaną wołowinę w puszce, pasztet – które bogatym przypominały niedostatek towarów i prymitywne warunki sprzedaży w dawnych krajach Wschodu.

Dokonało się to, co zapowiadano w latach siedemdziesiątych, co przewidzieli Debord, Dumont – a była przecież także powieść Le Clézia[105]. Jak można było do tego dopuścić? Jednak nie wszystkie przepowiednie się spełniły. Nie byliśmy pokryci bąblami, skóra nie odpadała z nas jak z ofiar w Hiroszimie, gdy wychodziliśmy na ulice, nie potrzebowaliśmy masek gazowych. Przeciwnie, byliśmy ładniejsi, zdrowsi, umieranie z powodu chorób stawało się coraz mniej zrozumiałe. Mogliśmy pozwolić biegnąć pierwszej dekadzie XXI wieku, niespecjalnie się przejmując.

Przypominaliśmy sobie wyrzuty robione przez rodziców: „Masz tak wiele i nie jesteś szczęśliwy?”. Teraz było już dla nas jasne, że wszystko, co posiadamy, nie wystarcza do osiągnięcia szczęścia. Nie był to jednak powód, żeby wyrzekać się rzeczy. To, że niektórzy są „wykluczeni”, wydawało się ceną, jaką należało zapłacić, niezbędnym kosztem egzystencji, które trzeba było poświęcić, aby większość mogła w dalszym ciągu korzystać z dostatku.

Pewna reklama głosiła: „Pieniądze, seks, narkotyki – wybierajcie pieniądze”.

Przerzucaliśmy się na płyty DVD, cyfrowe aparaty fotograficzne, odtwarzacze MP3, szerokopasmowy internet, telewizory z płaskim ekranem,

nie przestawaliśmy zmieniać sprzętu na nowocześniejszy. Odmowa podążania za postępem oznaczała starość. W miarę jak wiek stawał się coraz bardziej widoczny na skórze, jak niepostrzeżenie naznaczał ciało, świat zarzucał nas nowymi rzeczami. Nasze zużywanie się i bieg spraw szły w przeciwnych kierunkach.

Problemy spowodowane pojawieniem się nowych technologii znikały jedne po drugich, gdy zaczynało się bezwiednie posługiwać tym, co przyniosła technika. Ludzie, którzy nie wiedzieli, jak działa komputer albo discman, mieli zniknąć, tak samo jak ci, co nie umieli używać telefonu czy pralki.

W domach spokojnej starości przed wyblakłymi oczami starych kobiet przesuwał się nieustający ciąg reklam zachwalających produkty, których niezbędności nigdy nie podejrzewały i których nie miały szansy kiedykolwiek użyć.

Nastał czas rzeczy, który nas przytłaczał. Długo utrzymywana równowaga pomiędzy oczekiwaniem na nie a ich pojawieniem się, między poczuciem braku a spełnieniem została przerwana. Teraz nowość nie wywoływała już ani gwałtownej krytyki, ani entuzjazmu, nie pobudzała wyobraźni. Była normalną zasadą życia. Może jesteśmy skazani na to, że niebawem zaniknie sama idea nowości, jak stało się już prawie z pojęciem postępu? W zasięgu wzroku pozostawała nieograniczona możliwość wszystkiego. Serca, wątroby, nerki, oczy, skórę zmarłych przeszczepiano żywym, komórki jajowe przenoszono z jednej macicy do drugiej, sześćdziesięcioletnie kobiety rodziły dzieci. Lifting zatrzymywał twarze w czasie. Mylène Demongeot była wciąż tą samą uroczą lalką, którą widziało się w filmie Marca Allégreta *Bądź piękna i milcz*, niezmiennie atrakcyjną tak jak w 1958 roku.

Człowiek dostawał zawrotu głowy na myśl o klonowaniu, o dzieciach noszonych w sztucznej macicy, o implantach w mózgu, akcesoriach i ubraniach połączonych z komputerem, tak zwanych *wearables* (angielski wywoływał dodatkowy efekt obcości i dominacji), o całkowicie niezróżnicowanej seksualności, zapominało się, że przez pewien czas te rzeczy i zachowania będą współistniały ze starymi.

Jednak łatwość, z jaką wszystko okazywało się dostępne, ciągle jeszcze przelotnie wprawiała w osłupienie, powodowała, że o przedmiocie dopiero wprowadzonym na rynek mówiło się: „To genialne!”.

Przeczuwano, że w czasie trwania jednego życia pojawią się rzeczy niewyobrażalne, do których ludzie przyzwyczają się jednak tak samo, jak całkiem niedawno przywykli do telefonu komórkowego, komputera, iPoda i GPS-u. Niepokojem napełniała nieumiejętność wyobrażenia sobie, jak będzie wyglądało życie za dziesięć lat, a jeszcze mniej my sami, dostosowani do teraz jeszcze nieznanych technologii. (Czy pewnego dnia będzie można odczytać zapisaną w mózgu człowieka całą jego historię, to, co zrobił, co powiedział, zobaczył i usłyszał?)

Żyło się w obfitości wszystkiego, informacji i „opinii ekspertów". Wiedziało się, co myśleć o dowolnym wydarzeniu, od razu kiedy zaszło, o sposobach zachowania się, o ciele, orgazmie, eutanazji. O wszystkim się rozprawiało i wszystko rozszyfrowywało. Mnożyły się sposoby wysławiania swojego życia i emocji: „uzależnienie", „adaptacja", „przepracowanie żałoby". Depresja, alkoholizm, oziębłość, anoreksja, nieszczęśliwe dzieciństwo, nic już nie było przeżywane na darmo. Przekazywanie doświadczeń i fantazji tworzyło wzorce wyrażania siebie. Powiększał się obszar wiedzy. Rosła szybkość działania umysłu, dzieci w coraz młodszym wieku były zdolne do nauki, a powolność procesu szkolnej edukacji nudziła młodych, którzy błyskawicznie pisali esemesy na swoich smartfonach.

W plątaninie koncepcji coraz trudniej było znaleźć jakieś zdanie dla siebie, takie, które pomaga żyć, gdy się je wypowiada w myślach.

W internecie wystarczyło wpisać słowo klucz, by zalała nas lawina stron zawierających chaotyczne fragmenty zdań i okruchy tekstów, które prowadziły nas w głąb, niczym we wciągającej grze w niekończące się poszukiwanie celu, ale ten ciągle okazywał się nieuchwytny, ukryty gdzieś dalej, tymczasem po drodze znajdywało to, czego się wcale nie szukało. Miało się wrażenie, że można zdobyć całą wiedzę świata, wniknąć w różnorodność punktów widzenia rozproszonych na blogach, wyrażanych językiem nowym i brutalnym. Dowiedzieć się, jakie są objawy raka gardła, znaleźć przepis na musakę, ile lat ma Catherine Deneuve, jaka jest pogoda w Osace, wszystko o uprawie hortensji i konopi indyjskich, o wpływie Japończyków na kulturę Chin, pograć w pokera, nagrać film i płytę, kupić cokolwiek się zechce, od białych myszek po rewolwer, viagrę i sztuczne

penisy, każdą rzecz sprzedać i odsprzedać. Dyskutować z nieznajomymi, obrażać ich, podrywać, wymyślać siebie. Inni byli odcieleśnieni, pozbawieni głosu, zapachu i gestów, nie dotykali nas. Liczyło się to, co można razem z nimi zrobić, prawo wymiany, przyjemność. Spełniało się wielkie pragnienie mocy i bezkarności. Obracaliśmy się w rzeczywistości bez przedmiotów i podmiotów. Internet dokonywał zaskakującej przemiany świata w dyskurs.

Miarą czasu było niespodziewane i szybkie kliknięcie myszką na ekranie.

W mniej niż dwie minuty odnajdywało się koleżanki z liceum Camille-Jullian w Bordeaux, klasa druga C2 z lat 1980–1981, piosenkę Marie-Josée Neuville czy artykuł z 1988 roku opublikowany w „L'Humanité". Poszukiwanie straconego czasu odbywało się teraz w internecie. W jednej chwili docierały do nas archiwa i wszystkie przeszłe zdarzenia, choć nie wyobrażaliśmy sobie nawet, że któregoś dnia moglibyśmy je odnaleźć. Pamięć stała się niewyczerpalna, ale zniknęła głębia czasu, którą pozwalały odczuć zapach i zżółknięcie papieru, zagięte rogi, akapit podkreślony nieznaną dłonią. Trwało się w nieskończonej teraźniejszości.

W ferworze robienia zdjęć i nagrywania filmów, gotowych do oglądania od zaraz, nieustannie miało się ochotę kliknąć „zapisz". Powstawały setki obrazów rozproszonych po komputerach przyjaciół, bo tak się nimi teraz wymieniano, i zachowanych na własnym komputerze w rzadko otwieranych folderach. Liczyło się zrobienie zdjęcia, egzystencja uchwycona i podwojona, zarejestrowana na żywo, kwiaty wiśni, pokój w hotelu w Strasburgu, noworodek. Miejsca, spotkania, sceny, przedmioty – totalne utrwalenie życia. Za pomocą fotografii cyfrowej wyczerpywaliśmy rzeczywistość.

Na wyświetlanych na ekranie zdjęciach i filmach uporządkowanych wedle daty, ponad różnorodnością scen, krajobrazów i ludzi rozpościerało się światło jedynego czasu. Zapisywała się inna forma przeszłości o słabym stężeniu prawdziwych wspomnień. Było zbyt wiele obrazów, żeby móc się przy każdym zatrzymać i odtworzyć okoliczności, w jakich powstały. Żyliśmy w nich egzystencją lekką i przemienioną. Zwielokrotnienie naszych śladów unicestwiało wrażenie mijającego czasu.

Dziwnie było pomyśleć, że dzięki DVD i innym nośnikom następne pokolenia dowiedzą się wszystkiego o najbardziej intymnych aspektach

naszego codziennego życia, poznają nasze gesty, meble i bieliznę, sposób, w jaki jemy, mówimy i uprawiamy seks. Na zawsze miały zniknąć mroki poprzednich wieków, które ustępowały powoli najpierw za sprawą aparatu na trójnogu w pracowni fotograficznej, a później kamery cyfrowej w sypialni. Byliśmy zmartwychwstali już zawczasu.

Miało się też w sobie wielką niewyraźną pamięć świata. Prawie wszystkie zdarzenia pozostawiały nam po sobie tylko słowa, szczegóły, imiona, to, co sprawiało, że za Georges'em Perecem powtarzało się „pamiętam, że": porwanie barona Empaina, czekoladowe drażetki Picorettes, skarpetki Bérégovoya[106], ustawa Devaqueta, wojna o Falklandy, benco[107] na śniadanie. Ale to nie były prawdziwe wspomnienia, zaczynano nazywać je inaczej: znakami epoki.

Proces zapamiętywania i zapominania wzięły na siebie media. Upamiętniały wszystko, co się dało, apel ojca Piotra, śmierć Mitterranda i Marguerite Duras, początek i koniec różnych wojen, pierwszy krok człowieka na Księżycu, Czarnobyl, 11 września. Każdy dzień był jakąś rocznicą: podpisania ustawy, rozpoczęcia procesu, dokonania zbrodni. Media kroiły czas na lata bigbitu, *baba cool*[108], AIDS, dzieliły ludzi na pokolenia de Gaulle'a, Mitterranda, sześćdziesiątego ósmego, baby boomu, rewolucji cyfrowej. Należało się do wszystkich i do żadnego. Naszych osobistych lat tam nie było.

Mutowaliśmy. Nie znaliśmy naszego nowego kształtu.

Kiedy podnosiło się nocą głowę, księżyc tak samo jak zawsze oświetlał ziemię, czuło się w sobie jej rozległość, rojenie się miliardów zamieszkujących ją ludzi. Świadomość rozciągała się na całą powierzchnię planety, ku innym galaktykom. Nie dało się już sobie wyobrazić nieskończoności i dlatego nie można było pojąć, że pewnego dnia miało się umrzeć.

Jeśli próbowało się skatalogować sprawy, które wydarzyły się wokół nas po 11 września, widziało się przemykające szybko fakty, cykl naprzemiennych oczekiwań i obaw, długie okresy przerywane eksplozjami, które wprawiały

w osłupienie albo okazywały się bardzo dotkliwe – jak głosiła nowa maksyma: „Nic już nie będzie takie jak przedtem”. A potem znikały, zapomniane, nierozwiązane, upamiętniane rok, czasem miesiąc później już jako odległa historia. Był 21 kwietnia, wojna w Iraku – na szczęście bez nas, agonia Jana Pawła II, następny papież, którego imienia, a tym bardziej numeru, nie można było sobie przypomnieć, zamachy na stacji Atocha[109], wielka wieczorna feta po głosowaniu na „nie” w referendum dotyczącym Konstytucji dla Europy, czerwone od płomieni noce na przedmieściach Paryża, wcieleniowe dziennikarstwo Florence Aubenas[110], zamachy w Londynie, wojna w Libanie między Izraelem a Hezbollahem, tsunami na Ocenie Indyjskim, Saddam Husajn wyciągnięty z dziury w ziemi i powieszony nie wiadomo kiedy, niezrozumiałe epidemie, SARS, ptasia grypa, chikungunya[111]. W czasie niezwykle upalnego lata, zwanego wielką kanikułą, ciała zabitych w Iraku amerykańskich żołnierzy, wysyłane do kraju w plastikowych workach, mieszały się w chłodniach marketu w Rungis z ciałami zmarłych z przegrzania staruszków.

Wszystko wydawało się przytłaczające. Stany Zjednoczone były panami czasu i przestrzeni, które zajmowały wedle swoich potrzeb i interesów. Bogaci wszędzie stawali się jeszcze bogatsi, a biedni biedniejsi. Ludzie spali w namiotach wzdłuż obwodnicy. Młodzi drwili: „Witajcie w świecie pełnym gówna”, i przelotnie się buntowali. Tylko emeryci byli zadowoleni i szukali sposobów na zorganizowanie sobie jakichś zajęć i wydanie pieniędzy, podróżowali do Tajlandii, robili zakupy na eBayu i umawiali się na randki przez Meetic. Skąd mogła przyjść rewolta?

Ze wszystkich codziennych informacji najbardziej interesująca, najważniejsza była dla nas prognoza pogody. Na stacjach kolejki podmiejskiej wyświetlano zapowiedzi: „słońce czy deszcz”, niczym przepowiednię z dawnego almanachu, pozwalającą każdego dnia radować się albo martwić tym nieoczekiwanym, a jednocześnie niezmiennym następstwem zjawisk przyrody, choć wpływ, jaki wywierał na nią człowiek, napełniał nas oburzeniem.

Z ekranu padały brutalne słowa, które większość telewidzów witała milczącym poparciem. Nie oburzali się bynajmniej, słysząc, jak minister

spraw wewnętrznych pragnie „kärcherem wyczyścić” „hołotę” z przedmieść. Niczym sztandarem potrząsano starymi wartościami: porządek, praca, tożsamość narodowa, i rzucano groźby pod adresem przeciwników, których „uczciwi ludzie” mogli sobie dowolnie wybrać: bezrobotnych, młodych z przedmieść, nielegalnych imigrantów, złodziei, gwałcicieli i tak dalej. Już od dawna tak niewiele słów nie wywołało tak potężnego odzewu – słów, którym ludzie zawierzali, jakby mieli dosyć wszystkich analiz i informacji, jakby brzydziły ich statystyki bezrobocia, siedem milionów biednych i bezdomnych, jakby stawiali na proste rozwiązania: „77% badanych uważa, że wymiar sprawiedliwości jest zbyt łagodny dla winnych wykroczeń”. W telewizji starzy „nowi filozofowie” powtarzali w kółko swe przebrzmiałe tezy, ojciec Piotr od dawna nie żył, Guignole z Canal+ już nikogo nie śmieszyli, a „Charlie Hebdo” na nowo przeżuwał minione oburzenia. Prognozowano, że nic nie przeszkodzi elekcji Sarkozy’ego, nic nie zatrzyma ludzi pragnących zrealizować marzenia. Znowu pojawiła się potrzeba służenia i posłuszeństwa wodzowi.

Czas handlowy coraz bardziej naruszał porządek kalendarza. „Już Boże Narodzenie”, wzdychali ludzie, patrząc na falę ozdób i słodyczy zalewającą supermarkety tuż po Wszystkich Świętych, całymi tygodniami przygnębieni niemożnością uniknięcia presji tego najważniejszego święta zmuszającego do przemyślenia i porównania własnego bytu, własnej samotności i mocy nabywczej – jakby wieczór Bożego Narodzenia stanowił punkt docelowy całego życia. Była to wizja, która budziła pragnienie, by zasnąć pod koniec listopada i obudzić się dopiero na początku następnego roku. Wkraczało się w najgorszy okres pożądania rzeczy i odrazy do nich, w apogeum konsumenckiego szału – któremu się mimo wszystko ulegało, stojąc w gorącu w kolejce do kas i z nienawiścią spełniając obowiązek wydawania pieniędzy, niczym ofiarę składaną nie wiedzieć jakiemu bogu w zamian za nieokreślone zbawienie. I wreszcie się kapitulowało, zgadzało na to, żeby „coś jednak zrobić w święta”, obmyślało dekorację choinki i menu na świąteczny obiad.

W środku tej pierwszej dekady XXI wieku, którą nazywano również latami zerowymi, przy stole, wokół którego zgromadziliśmy nieomal czterdziestoletnie dzieci – choć w swoich dżinsach i converse’ach ciągle

wyglądały na nastolatki – ich kolegów i dziewczyny (te same od kilku lat) oraz wnuki, dodając im do towarzystwa mężczyznę awansowanego z roli ukrywanego przelotnego kochanka do rangi stałego partnera akceptowanego na rodzinnych uroczystościach – rozmowa sprowadzała się najpierw do wzajemnej wymiany informacji: na temat pracy, tymczasowej lub zagrożonej planem zwolnień spowodowanych wykupem przedsiębiorstwa, środków transportu, rozkładu dnia i urlopów, liczby wypalanych dziennie papierosów i rzucania palenia, czasu wolnego, fotografii i muzyki, ściągania filmów z internetu, niedawnych zakupów, ostatniej wersji Windowsa, najnowszego modelu komórki, sieci 3G, stosunku do konsumpcji i zarządzania czasem – wszystkiego, co pozwalało zaktualizować wiedzę jednych o drugich i ocenić ich styl życia, by w głębi duszy potwierdzić wiarę w doskonałość własnego.

Zgromadzeni dyskutowali o filmach, wymieniali opinie krytyków z „Téléramy", „Libération", „Les Inrocks" i „Technikart"[112], z entuzjazmem mówili o amerykańskich serialach, *Sześć stóp pod ziemią*, *24 godziny*, zachęcali nas do obejrzenia choćby jednego odcinka, przekonani, że nie damy się namówić – chcieli nas pouczać, lecz nie akceptowali, że można byłoby pouczać ich, zdradzali pewność, że nie nadążamy już tak jak oni za współczesnym światem.

Mówili o zbliżających się wyborach prezydenckich. Licytowali w wyśmiewaniu niskiego poziomu kampanii, wyrażali gniew z powodu „dokarmiania" przez media pary głównych adwersarzy: Ségolène Royal i Nicolasa Sarkozy'ego, wykpiwali „słuszny porządek", strategię *win-win* socjalistycznej kandydatki – mało agresywną taktykę dobrze wychowanej panienki wypowiadającej puste zdania, przerażał ich populistyczny talent Sarkozy'ego i jego niepowstrzymane pięcie się w sondażach. Przyznawali, że trudno byłoby im wybrać między innymi kandydatami: Bovém, Voynetem czy Besancenotem, a w ostatecznym rozrachunku wcale nie mieli ochoty głosować, pewni, że te wybory niczego nie zmienią, że co najwyżej można mieć nadzieję, iż z socjalistką nie byłoby gorzej, niż jest. Wreszcie nadeszła pora na wielki temat rozmowy: media, to, jak manipulują opinią publiczną i w jaki sposób się przed tym uchronić. Tylko YouTube, Wikipedia, Rezo.net i Acrimed były godne zaufania. Krytyka mediów stawała się ważniejsza niż sama informacja.

Kpina i radosny fatalizm zapanowywały przy świątecznym stole. Przedmieścia wybuchną na nowo, konflikt izraelsko-palestyński jest nierozstrzygalny. A jeśli chodzi o ocieplenie klimatu, topnienie lodowców i wymieranie pszczół, to świat jest o krok od katastrofy. Ktoś wykrzyknął: „No a ptasia grypa?”, „A Ariel Szaron ciągle w śpiączce?”. Rozpoczynano wyliczanie innych zapomnianych spraw, a to SARS, a to afera Clearstream[113], a to ruchy bezrobotnych – w mniejszym stopniu po to, by wytknąć sobie kolektywną amnezję, a bardziej, żeby pokazać, jak media przejmują panowanie nad naszą wyobraźnią. W osłupienie wprawiało szybkie znikanie najbliższej przeszłości.

Nie było ani pamięci, ani narracji, po prostu wspomnienie lat siedemdziesiątych, do których chcielibyśmy wrócić – zarówno my, którzy je świadomie przeżyliśmy, jak i oni, którzy byli wtedy za młodzi i zachowali z nich tylko wspomnienia przedmiotów, programów, piosenek, naprasowanek na kolana, klauna Kiri, płyt, przenośnych adapterów, Travolty i *Gorączki sobotniej nocy*.

W czasie całej tej ożywionej wymiany zdań nikt nie miał dość cierpliwości, żeby snuć opowieści.

Przysłuchiwało się, dyskretnie interweniowało, pragnąc zachować rolę moderatorki zapobiegającej wykluczeniu współbiesiadników niebędących członkami rodziny, stawało się ponad wzajemną solidarnością par i krewnych, starając się wychwytywać pierwsze przejawy niezgody, tolerowało się kpiny z własnej technologicznej ignorancji. Miało się poczucie, że jest się wyrozumiałą, pozbawioną wieku matriarchinią na czele nastoletniego plemienia, i trudno było sobie uświadomić, że należy się już do kategorii dziadków, jakby ten tytuł pozostał na zawsze przypisany naszym dziadkom, jakby stanowił rodzaj właściwej im esencji, a ich odejście niczego tu nie zmieniło.

Kolejny raz w siedzących obok siebie ciałach, w podawanych sobie tostach i talerzu z foie gras, w przeżuwaniu i żartach, unikaniu powagi konstruowała się niematerialna rzeczywistość świątecznego posiłku. Rzeczywistość, której siłę i zwartość czuło się, gdy się ją na kilka minut opuściło, żeby zapalić papierosa czy doglądnąć piekącego się indyka, i niedługo potem wracało do brzęczącego głosami stołu, już nie na bieżąco z nowym tematem konwersacji. Rozgrywało się tu po raz kolejny coś, co

znało się z okresu dzieciństwa – dawna złota scena, pełna mówiących jednocześnie ludzi i nakładających się na siebie twarzy.

Po kawie z wielkim zapałem instalowali na telewizorze nową konsolę Nintendo albo Wii i rozgrywali wirtualne mecze tenisa albo walki bokserskie. Krzycząc i przeklinając, miotali się przed ekranem, gdy tymczasem malcy niestrudzenie bawili się w chowanego we wszystkich pokojach, porzuciwszy swoje prezenty na parkiecie. Wracano do stołu, by orzeźwić się wodą mineralną albo coca-colą. Zapadające momenty ciszy zapowiadały rychłe rozstanie. Zerkano na zegar ścienny. Opuszczano zawieszony czas świątecznego posiłku. Zbierano towarzyszące wszystkim podróżom z dziećmi zabawki, pluszaki i cały sprzęt do pielęgnacji maluchów. Po wylewnościach i podziękowaniach przypominano jeszcze dzieciom, żeby dały całusa, i rzucano wkoło spojrzenia: „Niczego nie zapomnieliśmy?”, a potem odtwarzały się prywatne małe światy par i każda szła do swojego samochodu. Spadała na nas cisza. Wyjmowało się dodatkowy blat służący do przedłużania stołu, uruchamiało zmywarkę. Podnosiło zapomniane pod krzesłem ubranko dla lalki. Czuło się pełne zmęczenia spełnienie, że raz jeszcze „dobrze podjęło się” wszystkich, harmonijnie przeszło przez kolejne etapy rytuału, którego było się teraz najstarszym filarem.

Na tym zdjęciu, wydobytym z jednej z setek firmowych koszulek zakładu fotograficznego albo z któregoś folderu na komputerze, starsza kobieta o rudoblond włosach, w czarnym sweterku z dekoltem, półleży na wielkim, różnokolorowym fotelu i obiema rękami obejmuje małą dziewczynkę w dżinsach i jasnozielonym, zapinanym z przodu sweterku, która siedzi na jej skrzyżowanych kolanach – widać tylko jedno z nich, obleczone w czarne rajstopy. Ich twarze są blisko, ale na trochę innej wysokości. Pociągła blada twarz kobiety jest uśmiechnięta, na czole widać drobne zmarszczki, jak zwykle po posiłku ma zarumienione policzki. Twarz dziecka jest matowa, wielkie brązowe oczy są poważne, dziewczynka właśnie coś mówi. Łączy je tylko podobieństwo fryzur – włosy tej samej długości i w identycznym nieładzie, z kosmykami opadającymi na szyję. Dłonie kobiety o wyraźnie zaznaczonych, prawie zawęźlonych stawach, na zdjęciu wysunięte na pierwszy plan, wydają się nieproporcjonalnie duże. Jej

uśmiech, sposób, w jaki wpatruje się w obiektyw, gest przytulania dziecka – nie zachłanny, ale raczej jakby je ofiarowywała – przywodzi na myśl obraz pokoleniowej transmisji, ustanowienie filiacji: babka prezentująca swoją wnuczkę. W głębi regały biblioteki i refleksy światła na plastikowych obwolutach książek z prestiżowej serii klasyki „Plejada". Widoczne są dwa nazwiska: Pavese i Jelinek. Tradycyjny wystrój domu intelektualistki, u której inne nośniki kultury, płyty CD i DVD, kasety wideo, są oddzielone od książek, jakby nie należały do tej samej sfery albo nie dzieliły właściwej tamtym godności. Na odwrocie: „Cergy, 25 grudnia 2006".

To ona jest kobietą z fotografii i kiedy spogląda na zdjęcie, to – ponieważ tamta twarz nie różni się znacząco od jej obecnej twarzy i ponieważ to, co w nieunikniony sposób utraci (ale kiedy? jak? – o tym woli nie myśleć), wciąż jeszcze trwa – z dużą dozą pewności może powiedzieć: to jestem ja i nie doświadczyłam kolejnych oznak starości. Znaków, o których zazwyczaj nie myśli, żyjąc w ogólnej negacji nie tyle swojego wieku, sześćdziesięciu sześciu lat, ile tego, co on oznacza dla najmłodszych. Nie czuje, by różniła się od kobiet czterdziestopięcio- i pięćdziesięcioletnich, ale to złudzenie, które tamte bez złych intencji rozwiewają w trakcie rozmowy, dając do zrozumienia, że nie należy do ich pokolenia i że postrzegają ją tak, jak ona sama postrzega kobiety osiemdziesięcioletnie – jako starą. Odwrotnie niż w młodości, gdy miała pewność, że w ciągu jednego roku czy nawet miesiąca dokonuje się w niej przemiana, a świat wokół pozostaje niezmieniony, teraz to ona czuje się nieruchoma w galopującym świecie. W czasie dzielącym poprzednie zdjęcie, zrobione na plaży w Trouville, od obecnego, z Bożego Narodzenia 2006 roku, wydarzyła się pewna liczba faktów. Abstrahując od ich wagi i tego, jak długo trwały towarzyszące im reperkusje, a także od istniejących być może między nimi powiązań przyczynowo-skutkowych, ich listę można przedstawić, jak następuje:

zerwanie z tym, którego nazywała młodym mężczyzną, do czego doprowadziła powoli, ale uparcie i nic nikomu nie mówiąc, a dokonało się ono definitywnie owej soboty we wrześniu dziewięćdziesiątego dziewiątego, gdy widziała, jak przez długie minuty trzepocze się w trawie, zanim skona w konwulsjach, złowiony przez niego lin, zjadła go razem z nim wieczorem, zniesmaczona

jej przejście na emeryturę, które przez tak długi czas stanowiło skrajną datę w jej wyobrażeniach o przyszłości, podobnie jak wcześniej menopauza. Z dnia na dzień przestaną być przydatne konspekty lekcji, które spisała, notatki sporządzone, żeby je przygotować. Wymaże z pamięci uczony język, który przyswoiła, aby objaśniać uczniom teksty literackie, a którego odtąd przestanie używać – gdy nie może sobie przypomnieć nazwy jakiejś figury stylistycznej, mówi: „Przecież ją znałam”, tak jak jej matka, gdy bezskutecznie szukała w pamięci zapomnianej nazwy jakiegoś kwiatka

zazdrość o nową dojrzałą partnerkę młodego mężczyzny. To uczucie nęka ją, jakby potrzebowała wypełnić czymś czas, którego po przejściu na emeryturę ma w nadmiarze – albo jakby chciała stać się na nowo „młoda” dzięki miłosnej udręce, której nigdy w niej nie wzbudzał, kiedy byli razem, pielęgnuje tę zazdrość tygodniami, aż wreszcie zapragnie tylko jednego – uwolnić się od niej

rak, który – jak sądziła – budzi się w piersiach wszystkich kobiet w jej wieku i który zdawał się jej czymś prawie normalnym, bo przecież rzeczy, których się najbardziej boimy, w końcu się zdarzają. W trakcie leczenia otrzymała wiadomość, że w brzuchu partnerki jej starszego syna rozwija się dziecko – dziewczynka, jak wykazało później USG. Było to w okresie, gdy z powodu chemioterapii straciła wszystkie włosy. To zastępstwo, które tak szybko pojawiło się za nią w świecie, dogłębnie nią wstrząsnęło

w okresie pomiędzy oczekiwanymi narodzinami tego dziecka a jej możliwą śmiercią poznanie pewnego młodszego mężczyzny. Pociąga ją to, że jest łagodny i przejawia upodobanie do wszystkiego, co pozwala marzyć, do książek, muzyki, kina – to graniczący z cudem przypadek, który daje jej okazję, by zatriumfować nad śmiercią poprzez miłość i erotyzm. Potem toczy się historia ich rozłąk i powrotów, gdy spotykają się w różnych miejscach, ten sposób przeżywania trudności w związku okazuje się jedynym schematem odpowiednim dla ich bycia i zarazem niebycia razem

śmierć w wieku szesnastu lat czarno-białej kotki pospolitej rasy, która po latach bycia baryłeczką stała się z powrotem równie drobna, jak na zdjęciu z zimy dziewięćdziesiątego drugiego. Zakopała jej ciało w ogrodzie w środku lata, kiedy sąsiedzi, wrzeszcząc, skakali do basenu. Wydawało jej się, że tym gestem, który wykonywała po raz pierwszy, grzebie zarazem wszystkich swoich zmarłych, rodziców, ostatnią ciotkę ze strony matki, starszego mężczyznę, który po rozwodzie był jej pierwszym kochankiem,

potem pozostał jej przyjacielem i zmarł na zawał dwa lata wcześniej – a jednocześnie antycypuje własne złożenie do ziemi

Wydaje się jej, że te zdarzenia – szczęśliwe czy nie, gdy porównuje je z innymi, bardziej odległymi sprawami swojego życia – w niczym nie zmieniły jej sposobu myślenia, upodobań i zainteresowań, które uformowały się, gdy miała około pięćdziesięciu lat, przybierając kształt niewzruszonego wewnętrznego bloku. Seria różnic dzielących jej kolejne wcielenia zatrzymuje się tutaj. Najbardziej zmieniła się jej percepcja czasu, własnego w nim usytuowania. Ze zdziwieniem uświadamia sobie, że kiedy kazano jej pisać dyktando z fragmentu utworu Colette, ta ostatnia jeszcze żyła, i że jej babka, która miała dwanaście lat, gdy umarł Victor Hugo, mogła skorzystać z dnia wolnego przyznanego z okazji jego pogrzebu, ale to jednocześnie oznacza, że już wtedy pracowała w polu. I mimo że zwiększa się dystans czasowy oddzielający ją od śmierci rodziców (dwadzieścia i czterdzieści lat), to choć nic w jej sposobie życia i myślenia nie upodabnia jej do nich – a wręcz przeciwnie, gdyby dowiedzieli się, kim jest i co teraz myśli, „przewróciliby się w grobach” – ona ma wrażenie, że się do nich coraz bardziej przybliża. W miarę jak pozostały jej czas obiektywnie się kurczy, rozciąga się na okres poprzedzający jej narodziny i ten, który nastąpi po jej śmierci, gdy wyobraża sobie, że powiedzą o niej, iż żyła w czasie wojny algierskiej, podobnie jak o jej pradziadkach mówiono, że „widzieli wojnę roku 1870”.

Utraciła poczucie przyszłości, ten rodzaj nieograniczonego tła, na które rzucała swoje gesty, działania, oczekiwanie na rzeczy nieznane i dobre, które przepełniało ją, kiedy jesienią szła na uczelnię bulwarem wzdłuż Marny, gdy kończyła lekturę *Mandarynów* Simone de Beauvoir, gdy kilka lat później po zakończeniu lekcji wskakiwała do swojego austina mini i wracając do domu, zabierała ze szkoły dzieci, albo kiedy jeszcze później, już po rozwodzie i śmierci matki, leciała po raz pierwszy do Stanów, nucąc *Amerykę* Joe Dassina. Trwało to do owego momentu przed trzema laty, gdy wraz z życzeniem, aby powrócić do Rzymu, wrzuciła monetę do fontanny di Trevi.

Teraz zastąpiło je, a ją pustoszy, poczucie niezwłoczności. Boi się, że w miarę jak się będzie starzeć, jej pamięć stanie się mglista i niema jak w pierwszych latach życia, gdy była małą dziewczynką – której zresztą nie

będzie już pamiętała. Nawet w tej chwili, usiłując sobie przypomnieć kolegów z pokoju nauczycielskiego w pewnym liceum w górach, gdzie uczyła przez dwa lata, widzi sylwetki, twarze, czasem nawet z niezwykłą ostrością, ale za nic w świecie nie potrafi dokleić do nich imion. Męczy się, próbując je odnaleźć, jak gdyby chciała dopasować do siebie dwie rozdzielone połówki. Być może pewnego dnia rzeczy i ich nazwy stracą łączność i nie będzie już mogła opisywać rzeczywistości, pozostanie tylko niedający się wyrazić słowami otaczający ją świat. Dlatego już teraz, pisząc, musi nadać kształt swojej przyszłej nieobecności, rozpocząć pisanie tej książki istniejącej na razie tylko w zarysie i w tysiącach notatek, książki, której zamysł towarzyszy jej już od ponad dwudziestu lat, a więc która musi teraz objąć swoim zapisem czas dłuższy, niż przewidywała.

Jeśli chodzi o formę, która mogłaby pomieścić jej życie, zrezygnowała z pomysłu, by zaczerpnąć ją z wrażenia, jakie odczuwa w słoneczny dzień na plaży, zamknąwszy oczy, lub w pokoju hotelowym, kiedy wydaje się jej, że się ulega zwielokrotnieniu i istnieje w kilku momentach i miejscach swojego życia, że ogarnia ją czas palimpsestu. Aż dotąd to odczucie nie doprowadziło jej do niczego konkretnego – ani w pracy nad książką, ani w zrozumieniu czegokolwiek. Jak minuty po orgazmie, dawało tylko chęć pisania, nic więcej. I zacierając w pewien sposób słowa, obrazy, przedmioty i ludzi, zapowiadało już jeśli nie śmierć, to przynajmniej stan, w jakim ona znajdzie się pewnego dnia: ten właściwy starcom dotkniętym „zwyrodnieniem plamki żółtej spowodowanym podeszłym wiekiem” – stan mglistej kontemplacji drzew, własnych synów i wnuków, wyzuty z wszelkiej świadomości kultury i historii, swojej i świata – a może chorobę Alzheimera, gdy nie wiadomo już, jaki dzisiaj dzień, miesiąc ani pora roku.

Dla niej – przeciwnie – liczy się to, by mogła uchwycić swój pobyt na ziemi w określonej epoce, czas, który przez nią przeszedł, świat, który zarejestrowała, po prostu żyjąc. Intuicję, jaką formę przybierze jej książka, zaczerpnęła z innego odczucia, które ogarnia ją, gdy wychodząc od jakiegoś wspomnienia unieruchomionego w statycznym obrazie – ona tuż po wojnie, na łóżku szpitalnym w sali z innymi dziećmi, którym usunięto migdałki, albo w autobusie przejeżdżającym przez Paryż w lipcu sześćdziesiątego ósmego – ma wrażenie, że ten statyczny obraz zlewa się z nierozróżnialną całością, z której dzięki wysiłkowi krytycznej

świadomości udaje się jej wydobyć jeden za drugim elementy składowe, zwyczaje, gesty, słowa i tak dalej. Mikroskopijna chwila przeszłości rośnie i ogarnia horyzont – zarazem ruchomy i zatrzymany w jednolitej tonacji właściwej dla danego roku lub kilku lat. Odnajduje wówczas z głęboką, niemal euforyczną satysfakcją – której nie dostarcza jej sam obraz osobistego wspomnienia – rodzaj rozległego odczucia zbiorowości, w którym jej świadomość, całe jej jestestwo są zanurzone. Tak samo w samochodzie na autostradzie, gdy jedzie sama – czuje się zagarnięta przez nieokreśloną całość teraźniejszego świata, od najbliższego do najodleglejszego krańca.

Forma książki wyłoni się więc jedynie wtedy, gdy kobieta zanurzy się w obrazach ze swojej pamięci, by uchwycić specyficzne znaki epoki, ustalić czas, w którym się sytuują, i połączy je metodą przybliżeń z innymi, spróbuje usłyszeć raz jeszcze słowa ludzi, komentarze o zdarzeniach i przedmiotach, masę kłębiących się dyskursów, cały ten zgiełk produkujący bez wytchnienia kolejne definicje tego, czym jesteśmy i czym powinniśmy być, co powinniśmy myśleć, w co wierzyć, czego się obawiać i na co mieć nadzieję. Tym, co świat wdrukował w nią i w jej współczesnych, posłuży się, aby odtworzyć czas wspólny, ten, który przesunął się od odległych chwil do dnia dzisiejszego, ażeby – odnalazłszy w indywidualnych wspomnieniach pamięć zbiorowej pamięci – opisać przeżyty wymiar Historii.

To nie będzie praca przypominania sobie – taka, jak się ją na ogół rozumie, zmierzająca do opowiedzenia pewnego życia, objaśnienia własnej historii. Będzie się wpatrywała w siebie po to jedynie, aby w sobie odnaleźć świat, pamięć i wyobrażenie minionych dni, uchwycić zmieniające się idee, opinie i odcienie wrażliwości, przekształcanie się podmiotu i innych osób, które poznała, a które są być może niczym w porównaniu z tymi, które poznają jej wnuczka i wszyscy żyjący w 2070 roku. Tropić odczucia już istniejące, jeszcze nienazwane, jak to, które sprawiło, że postanowiła pisać.

Będzie to opowieść spisana w czasie przeszłym niedokonanym, posuwająca się od najodleglejszej przeszłości aż po czas teraźniejszy, a gdy się do niego zbliży, pochłonie go chwila po chwili, aż do ostatniego obrazu, jaki opowiadającej będzie dane zobaczyć. Strugę tę chce jednak w regularnych

odstępach zatrzymywać, by opisać zdjęcia i fragmenty filmów, które uchwycą kolejne cielesne formy i społeczne pozycje jej bytu. Staną się więc one zarazem stopklatkami pamięci, jak i raportami z ewolucji jej życia, z tego, co uczyniło ją odrębną, różną od innych – nie dzięki specyfice zewnętrznych (trajektoria społeczna, zawód) czy wewnętrznych (myśli i aspiracje, pragnienie pisania) elementów jej życia, lecz dzięki ich niepowtarzalnej kombinacji, właściwej każdemu losowi. Tej „bez przerwy innej" ze zdjęć będzie w zwierciadlanym odbiciu odpowiadać „ona" ze spisywanych wspomnień.

W tym, czemu chce nadać formę bezosobowej autobiografii, nie będzie żadnego „ja" – tylko „się" i „my" – jakby teraz była jej kolej snucia opowieści o minionych dniach.

Dawniej, gdy w swoim studenckim pokoiku marzyła o pisaniu, miała nadzieję, że niczym jasnowidząca odkryje nieznany język, który sprawi, że dotrze do tajemnych prawd. Wyobrażała sobie również skończoną książkę jako ujawnienie innym swojego głębokiego jestestwa, największe dokonanie, powód do sławy – co by oddała, aby stać się „pisarką", podobnie jak będąc dzieckiem, pragnęła zasnąć i obudzić się jako Scarlett O'Hara. Później, gdy prowadziła lekcje w niesfornych klasach liczących po czterdzieścioro uczniów, gdy pchała w supermarkecie wózek z zakupami, gdy siedziała na ławce w parku obok dziecięcego wózka, te marzenia ją opuściły. Nie istniał niewypowiedziany świat magicznie wyłaniający się z natchnionych słów, a skoro tak, będzie pisała tylko wewnątrz swojego języka, tego języka należącego do wszystkich, jedynego narzędzia, za pomocą którego może oddziaływać na to, co budzi jej sprzeciw. Ponieważ przyszła książka będzie narzędziem walki. Nie porzuciła tej ambicji, ale teraz bardziej niż cokolwiek innego chce pochwycić światło opromieniające nieobecne już twarze, obrusy zastawione niejadanymi już potrawami, to światło, które było w opowieściach o niedzielach dzieciństwa i nie przestało osadzać się na rzeczach i zdarzeniach, gdy tylko się je przeżyło, światło minione. Uratować:

małe wesołe miasteczko w Bazoches-sur-Hoëne z elektrycznymi samochodzikami

pokój w hotelu przy rue Beauvoisine w Rouen, niedaleko księgarni Lepouzé, gdzie Cayatte nagrał scenę *Umrzeć z miłości*

stoisko z winami w Carrefourze przy rue du Parmelan w Annecy

„Oparłam się o piękno świata / A w dłoniach trzymałam zapach pór roku”[114]

karuzelę w parku uzdrowiskowym w Saint-Honoré-les-Bains

młodziutką kobietę w czerwonym płaszczu, zimą w La Roche-Posay, prowadzącą pod rękę zataczającego się mężczyznę, po którego przyszła do bistra Le Duguesclin

film *Na trasie do Bordeaux*

na wpół przedartą reklamę portalu randkowego 3615 Ulla z minitela znalezioną u stóp wzniesienia we Fleury-sur-Andelle

bar z szafą grającą, z której leciało *Apache*, w Tally Ho Corner w Finchley

dom w głębi ogrodu pod numerem 35 przy avenue Edmond Rostand w Villiers-le-Bel

spojrzenie czarno-białej kotki w chwili, gdy usypiała po zastrzyku

mężczyznę w piżamie i skarpetkach, który każdego popołudnia w holu domu starców w Pontoise płakał i prosił odwiedzających, żeby zadzwonili do jego syna, i wyciągał do nich kawałek brudnego papieru z numerem telefonu

podobną do cierpiącej Madonny kobietę ze zdjęcia Hocine’a Zaourara zrobionego po masakrze w Algierii

olśniewające słońce na murach cmentarza San Michele widziane z cienia Fondamenta Nuove

Uratować coś z czasu, w którym się już nigdy nie będzie.

# Przypisy

[1] Céleste Albaret (1891–1984) – służąca Marcela Prousta, pracowała u niego od roku 1914 do śmierci pisarza osiem lat później. Była również jego sekretarką i asystentką. Swoje wspomnienia zamieściła w książce *Pan Proust* (1973). [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy. Nie mają one ambicji encyklopedycznych ani nie służą wyjaśnieniu wszystkich pojawiających się w tekście nazwisk, wydarzeń, nawiązań i cytatów. Zostały wprowadzone tam, gdzie z kontekstu nie wynika, o jakiej postaci lub zdarzeniu może być mowa, lub gdy potrzebne wydaje się objaśnienie tła historycznego].

[2] Bernard Pivot (ur. 1935) – dziennikarz, krytyk literacki i prezenter, członek Akademii Goncourtów. Stał się znaną postacią telewizyjną jako długoletni prowadzący programy literackie *Apostrophes* (w latach 1975–1990), a następnie *Bouillon de culture* (1991–2001).

[3] Zappy Max (właśc. Max Doucet, 1921–2019) – jeden z najpopularniejszych francuskich prezenterów radiowych, pracował między innymi w Radiu Luksemburg i Radiu Monte Carlo.

[4] Jean-Paul Sartre, *Drogi wolności*, t. 1: *Wiek męski*, przeł. Julian Rogoziński.

[5] Ostatni wers satyry Voltaire’a *Le Pauvre Diable*. Odpowiedział on w niej księdzu Nicolasowi Trubletowi na sformułowaną przez niego krytykę Voltaire’owskiej epopei *Henriada*.

[6] Madame de Staël, *O Niemczech*, cytowany fragment w tłumaczeniu Wiery Bieńkowskiej za jej przekładem *Historii literatury francuskiej w zarysie* Gustave’a Lansona.

[7] Marcel Proust, *W cieniu zakwitających dziewcząt*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński. U Prousta ten fragment kończy się słowami „w dżdżystym podmuchu wiatru”.

[8] Słowa piosenki *Le Porte-bonheur* autorstwa Jacques’a Héliana.

[9] Pierwsze słowa piosenki Dalidy (śpiewanej później przez różne wykonawczynie i wykonawców) *Mon histoire c’est l’histoire d’un amour*.

[10] Schmilblick – neologizm stworzony w latach pięćdziesiątych XX wieku przez francuskiego humorystę Pierre’a Daca. Słowo weszło do potocznego użycia jako prowizoryczna nazwa pierwszy raz widzianego przedmiotu o nieznanym przeznaczeniu

(jak zapożyczony z niemieckiego polski „wihajster”). Odgadnięcie, czym jest osobliwy, nieznany przedmiot nazwany schmilblickiem, stało się punktem wyjścia audycji *Tirlipot* i teleturnieju *Schmilblic* (również w zapisie *Schmilblick*) prowadzonych w latach sześćdziesiątych.

[11] Charles Péguy, *Ève – poème*.

[12] Właśc. Germaine Lucie Soleil (1913–1996) – astrolożka i wróżka, słynna tak bardzo, że pytany o przyszłość prezydent Georges Pompidou powiedział: „Nie jestem madame Soleil!”.

[13] Tytuły niektórych popularnych piosenek i nieliczne nazwy znaczące, pomimo że nie mają polskich odpowiedników, zostały przetłumaczone, żeby nie stwarzać dodatkowej bariery językowej i ułatwić czytelnikowi zrozumienie intencji autorki.

[14] Słowa piosenki *C’est loin tout ça* z 1946 roku autorstwa Georges’a Ulmera i Géo Kogera.

[15] Marie Besnard (1896–1980) – oskarżona o otrucie dwunastu osób, w tym własnego męża. Po kilkunastoletnim procesie, który trzymał w napięciu całą Francję, została uniewinniona.

[16] Geneviève Tabouis (1892–1985) – dziennikarka, która w latach trzydziestych ostrzegała przed nadciągającym niebezpieczeństwem nazizmu, dzięki czemu zyskała opinię „współczesnej Kasandry”. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nawiązując do swoich przedwojennych „przepowiedni”, prowadziła w radiu audycję *Ostatnie nowiny z dnia jutrzejszego*.

[17] W latach 1945–1972 czwartek był w szkołach francuskich dniem wolnym od zajęć.

[18] Maria Goretti (1890–1902) – jedna z najpopularniejszych dwudziestowiecznych świętych. Jako jedenastoletnia dziewczynka zginęła, broniąc się przed zgwałceniem przez dwudziestoletniego sąsiada, któremu na łożu śmierci wybaczyła.

[19] Ukazujący się od 1905 roku w „La Semaine de Suzette” („Tygodniu Suzette”) komiks, którego bohaterką jest okrąglutka i naiwna Bécassine, mała prowincjuszka przeżywająca przygody w dużym mieście.

[20] Martine Carol (1920–1967) – gwiazda filmowa i symbol seksu. Ze względu na urodę obsadzana w rolach uwodzicielskich blondynek.

[21] Bourvil (właśc. André Robert Raimbourg, 1917–1970) – znany francuski aktor komediowy i piosenkarz.

[22] Fragment *Horacjuszy* Corneille’a.

[23] W przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

[24] Czasopismo o zdrowiu, higienie i urodzie. Na okładkach często znajdowały się niepokojące ilustracje medyczne i skrótowe hasła dotyczące odkryć w medycynie.

[25] Głośne w swoim czasie morderstwo brytyjskiej nauczycielki Janet Marshall popełnione w 1955 roku przez skazanego wcześniej za gwałt Roberta Avrila. Dwudziestodziewięcioletnia Marshall odbywała wakacyjną wędrówkę rowerową po Francji, jej półnagie ciało znaleziono w lesie w gminie Chaussée-Tirancourt.

[26] Fragment piosenki (słowa – Pierre Detailles, muzyka – Claude Rolland) o spłodzeniu potomka w czasie przechadzki w lesie Chaville.

[27] We Francji klasy numerowane są odwrotnie niż w Polsce. Klasa czwarta, o której tu mowa, odpowiada ósmemu rokowi pobierania nauki. Chodzą do niej dzieci mające trzynaście lat.

[28] Miejsce klęski armii francuskiej, pokonanej w 1954 roku przez oddziały wietnamskich partyzantów. Bitwa przypieczętowała koniec francuskich Indochin (obecnie Wietnam, Laos i Kambodża).

[29] Henri Grouès (1912–2007) – lepiej znany pod wojennym pseudonimem „*abbé Pierre*”, czyli „ojciec Piotr”. Pochodził z bogatej rodziny, ale zrzekł się spadku i wstąpił do zakonu kapucynów. W czasie II wojny światowej uczestnik ruchu oporu. Po wojnie zasłynął jako twórca ruchu Emmaus. Jego apel o zbiórkę środków na mieszkania dla bezdomnych („rewolucja dobra”), wygłoszony w lutym 1954 roku na antenie Radia Luksemburg, przyniósł mu ogromną popularność we Francji.

[30] Pierwsza klasa tak zwanego poziomu średniego szkoły podstawowej. Odpowiada szóstemu rokowi pobierania nauki. Uczęszczają do niej dzieci w wieku jedenastu lat.

[31] W przekładzie Bronisławy Ostrowskiej kontekst pierwszego fragmentu tego wiersza Arthura Rimbauda jest nieco szerszy: „Blady jest pod zielenią promieniami litą”, dopiero w drugim wersie pojawiają się śmiertelne rany zabitego (*Antologia poezji francuskiej* pod red. Jerzego Lisowskiego, t. IV).

[32] Pierre Poujade (1920–2003) – w latach 1953–1958 stał na czele ruchu skupiającego małych przedsiębiorców i rzemieślników. Krytykował niestabilność systemu parlamentarnego IV Republiki. „Poujadyzm” stał się na następne dziesięciolecia synonimem populizmu.

[33] W chwili gdy północna część Francji i wybrzeże atlantyckie aż po granicę hiszpańską znalazły się pod bezpośrednią okupacją niemiecką, a w południowej części kraju utworzono zależne od Niemiec państwo Vichy, 18 czerwca 1940 roku, przemawiając przez radio z Londynu, generał de Gaulle wezwał Francuzów do walki z najeźdźcą.

[34] We francuskim systemie szkolnictwa klasa pierwsza to druga z trzech klas liceum. Po niej licealiści przechodzą do klasy ostatniej (*classe terminale*), zwanej także klasą filozofii.

[35] Po francusku oficjalna nazwa egzaminu dojrzałości to „*le baccalauréat*”, ale potocznie mówi się „*le bac*”.

[36] Fragment wiersza *De toi depuis longtemps* ze zbioru *Poèmes à Lou* Apollinaire’a.

[37] Organizacja Tajnej Armii (Organisation de l’Armée secrète) – francuska organizacja terrorystyczna działająca w latach 1961–1962, stawiająca sobie za cel powstrzymanie procesu dekolonizacji Algierii.

[38] 22 sierpnia 1962 roku w tej miejscowości leżącej w regionie podparyskim doszło do nieudanego zamachu na prezydenta Francji Charles’a de Gaulle’a.

[39] FLN, Front de Libération nationale – organizacja narodowo-wyzwoleńcza działająca w latach 1954–1962, zmierzająca do wyzwolenia Algierii spod zwierzchnictwa francuskiego.

[40] Nie mogąc sobie poradzić z ukrywającymi się pomiędzy rodakami działaczami FLN, szef francuskiej policji Maurice Papon zarządził godzinę policyjną dla Algierczyków. W proteście przeciwko temu ograniczeniu wolności 17 sierpnia 1961 roku odbyły się w Paryżu wielkie manifestacje Algierczyków. Z kilku przedmieść wyruszyły kolumny liczące w sumie kilkadziesiąt tysięcy odświętnie ubranych mężczyzn, kobiet i dzieci. Wielu manifestantów zginęło z rąk policji: powieszonych w Lasku Bulońskim, zatłuczonych pałkami, zastrzelonych, lecz najgłośniejszym epizodem było wrzucenie do Sekwany tych, których otoczono na mostach. Liczbę ofiar śmiertelnych szacuje się na ponad sto, może nawet dwieście. Francuska policja była niezwykle brutalna również przed 17 października i potem, ale w pamięć wryło się przede wszystkim wrzucenie do wody pokojowo manifestujących Arabów.

[41] W lutym 1962 roku w czasie tłumienia przez policję nielegalnej manifestacji lewicy przeciwko działaniom OAS po brutalnej szarży funkcjonariuszy zginęli i zostali ranni protestujący, którzy chcieli się schronić na stacji paryskiego metra Charonne. Według jednej z wersji wydarzeń, przyjętej przez autorkę, mieli zginąć przygnieceni do krat blokujących wejście do metra, czemu zaprzeczają późniejsze ustalenia.

[42] Porozumienie podpisane 18 marca 1962 roku w Évian-les-Bains, ustanawiające niepodległość Algierii.

[43] *Pieds-noirs* – potoczna nazwa francuskich osadników mieszkających czasem od kilku pokoleń w Algierii. *Harkis* – żołnierze pomocniczych oddziałów złożonych z algierskich

Arabów, którzy pod dowództwem francuskim uczestniczyli w tłumieniu powstania przeciwko francuskiej dominacji w Algierii. Po zwycięstwie FLN wielu z nich zapłaciło za to cenę krwi i prześladowań.

[44] Peppone – komunistyczny mer, i don Camillo – proboszcz w tej samej miejscowości, to główni bohaterowie francusko-włoskiej komedii z 1955 roku, która zdaje się pierwowzorem polskiego serialu telewizyjnego *Ranczo*. JEC – Jeunesse étudiante chrétienne, UEC – Union des étudiants communistes, czyli organizacje młodzieżowe – chrześcijańska i komunistyczna. „L'Humanité" – organ prasowy Komunistycznej Partii Francji, „L'Aurore" – gazeta socjalistyczna i republikańska.

[45] Jean Nocher (1908–1967) – dziennikarz o poglądach gaullistowskich, zjadliwie krytyczny wobec przeciwników generała.

[46] 28 września 1958 roku odbyło się we Francji referendum w sprawie nadania prezydentowi szerokich kompetencji wykonawczych. W tej kluczowej dla ustroju państwa kwestii prawie osiemdziesiąt procent głosujących wypowiedziało się „za". Oznaczało to koniec IV Republiki o ustroju parlamentarno-gabinetowym i powstanie V Republiki z silną władzą wykonawczą, na czele której stoi wybierany w wyborach powszechnych prezydent.

[47] Jak głosił podtytuł: „Gazeta głupia i złośliwa". „Hara-Kiri" to francuski miesięcznik satyryczny wychodzący w latach 1960–1989. Prekursor „Le Canard enchaîné". Łączył cyniczny i czarny humor z obscenicznością, czasem skatologią.

[48] Połączenie cytatów z dwóch tragedii Shakespeare'a – *Hamleta* („Czas wypadł z ram") i *Makbeta* („Życie jest jedynie […] opowieścią idioty, pełną wrzasku i wściekłości. A nieznaczącą nic"; oba w przekładzie Stanisława Barańczaka).

[49] Léon Zitrone (1914–1995) – jeden ze słynniejszych prezenterów dziennika i komentator telewizji francuskiej.

[50] Anne-Marie Peyson (1935–2015) – spikerka i dziennikarka telewizyjna.

[51] Jean-Christophe Averty (1928–2017) – animator oraz realizator radiowy i telewizyjny słynący z zaskakujących pomysłów, takich jak maszynka do mięsa, która miała być symbolem (według Averty'ego „kosmicznym") transformacji, dyskutowania, trawienia. Był to pomysł w duchu surrealizmu, a zwłaszcza Salvadora Dalego oraz Kolegium Patafizyki, którego Averty był satrapą.

[52] Cyfra oznaczała liczbę pomieszczeń bez wliczania kuchni i łazienki (analogicznie do polskich M-1, M-2, M-3 itd.).

[53] Zainicjowana w 1956 roku przez Mao Tse-tunga kampania polityczno-kulturalna. Doprowadziła do chwilowej odwilży, którą później brutalnie stłumiono. Jej hasłem było: „Niech rozkwita sto kwiatów, niech rozwija się sto szkół!”. Wśród zwolenników ówczesnej lewicy francuskiej były grupki działaczy zafascynowanych wszechświatową rewolucją proponowaną przez Trockiego, a także admiratorów Mao.

[54] Kluczowe zdania z przemówień generała de Gaulle’a: 4 czerwca 1958 roku w Algierze i 24 lipca 1967 roku w Montrealu.

[55] Guy Mollet (1905–1975) – socjalista, w latach 1956–1957 premier Francji, w 1958 roku wicepremier w rządzie generała de Gaulle’a, potem w opozycji. W 1969 roku zrezygnował z przywództwa partii socjalistycznej na rzecz François Mitterranda.

[56] Michel Droit (1923–2000) – podczas wojny członek ruchu oporu, pisarz, dziennikarz, któremu chętnie udzielał wywiadów Charles de Gaulle.

[57] Słowo to miało być użyte przez de Gaulle’a w następującym kontekście: „*La réforme, oui, la chienlit, non*” – „Reforma – tak, błazenada – nie”. „*La chienlit*” oznacza maskę karnawałową, ale ma również skatologiczne konotacje („*chie-en-lit*” – „sra(ć)-w-łóżku”). To także nieokiełznana zabawa bez poszanowania reguł, coś jak bachanalia. Według słownika *Le Grand Robert* słowo to oznaczało pierwotnie zabrudzony kałem koniec koszuli wystający ze spodni dziecka. Podobno de Gaulle, wymawiając to słowo, miał je przesylabizować („*chie-en-lit*”), co podkreślałoby pejoratywną intencję generała.

[58] Gabrielle Russier (1937–1969) – nauczycielka, rozwiedziona matka dwójki dzieci, skazana na rok więzienia w zawieszeniu za romans ze swoim szesnastoletnim uczniem. Formalną podstawą wyroku były zarzuty uprowadzenia i wykorzystania seksualnego osoby nieletniej.

[59] W tej miejscowości na północy Francji w 1972 roku została zamordowana piętnastoletnia dziewczyna z rodziny górniczej. O zabójstwo oskarżono miejscowego notariusza. Lewicowa prasa rozpętała kampanię ukazującą zbrodnię jako przejaw walki klas. Sprawcy nigdy nie znaleziono.

[60] Chodzi o wiersz Paula Éluarda *Comprenne qui voudra* [Kto zechce, zrozumie] wyrażający sprzeciw wobec znęcania się tuż po wojnie nad kobietami, które utrzymywały relacje miłosne i erotyczne z okupantami. Tłuszcza poddawała te Francuzki samosądom, upokarzała je i goliła im głowy. Éluarda oburza, że żaden z tych samowładnych szeryfów nie karze członków kolaboracyjnego rządu Vichy, a zamiast tego celem patriotycznego wzmożenia czyni bezbronne kobiety. W 1969 roku nieprzejednani zwolennicy rewolucji obyczajowej poddali ostrej krytyce nowo wówczas zaprzysiężonego prezydenta Georges’a Pompidou (autora antologii poezji francuskiej, w której zamieścił ten wiersz Éluarda!).

Jednak cytat wybrany przez niego do skomentowania sprawy Gabrielle Russier świadczył być może o tym, że stał raczej po stronie skazanej na uwięzienie i doprowadzonej ostatecznie do samobójstwa trzydziestodwuletniej kobiety, niż ją potępiał.

[61] Działająca we Francji metropolitalnej organizacja zwana „siatką Jeansona” (od nazwiska inicjatora przedsięwzięcia – Francisa Jeansona). Aktywność członków siatki, na ogół intelektualistów i dziennikarzy wywodzących się ze środowisk lewicowych chrześcijan, trockistów, syndykalistów i dysydentów z partii komunistycznej, polegała na przenoszeniu pakunków zawierających pieniądze i dokumenty (stąd ich nazwa – „tragarze”) dla bojowników Frontu Wyzwolenia Narodowego walczących o niepodległość Algierii. W 1960 roku francuska policja rozbiła „siatkę Jeansona”. Kilkunastu „tragarzy” zostało skazanych za zdradę ojczyzny na kilka lat więzienia.

[62] Djamila Boupacha (ur. 1938) – bojowniczka Frontu Wyzwolenia Narodowego, skazana w 1960 roku za próbę podłożenia bomby w kawiarni w Algierze.

[63] Hiszpańska wyspa na Morzu Śródziemnym w pobliżu Walencji.

[64] „Fluide glacial”, „L’Écho des savanes” – francusko-belgijskie magazyny o komiksach, „Tankonalasanté” – kontestatorskie czasopismo francuskie, „Métal hurlant” – czasopismo z komiksami z gatunku science fiction i horroru, „La Gueule ouverte” – gazeta ekologiczna i pacyfistyczna.

[65] Czasopismo Narodowego Instytutu Konsumpcji prezentujące badania i naukowe opinie na temat różnych produktów znajdujących się na rynku.

[66] Metoda Françoise Mézières – metoda fizjoterapeutyczno-rehabilitacyjna łącząca ćwiczenia, masaż, rozciąganie i techniki oddechowe. Metoda Carla Rogersa – metoda psychoterapii skupiająca się na subiektywnych odczuciach pacjenta. Frédéric Leboyer – położnik, twórca metody odbierania porodu zwanej narodzinami bez przemocy.

[67] Francuska fabryka zegarków. Z powodu trudności ekonomicznych zdecydowano o jej zamknięciu, ale po nagłośnionych protestach w 1973 roku, połączonych z okupacją terenu zakładu, w marcu 1974 roku fabrykę na nowo otwarto. Odtąd kierowali nią pracownicy. Pomimo tej istotnej zmiany systemu własności i zarządzania sytuacja ekonomiczna sprawiła, że Lip został definitywnie zamknięty w 1976 roku.

[68] René Dumont (1904–2001) – agronom, zwolennik rozwoju regionów wiejskich i działacz ekologiczny. W 1974 roku pierwszy „zielony” kandydat w wyborach prezydenckich.

[69] Christian Ranucci (1954–1976) – obwoźny sprzedawca, który w 1974 roku uprowadził i zabił ośmioletnią dziewczynkę, za co w 1976 roku został skazany na śmierć. Był jedną z ostatnich osób straconych we Francji.

[70] W 1976 roku siedmioletni Philippe Bertrand został porwany dla okupu, a potem uduszony. W 1978 roku członkowie Zbrojnych Komórek na rzecz Autonomii Ludowej porwali dla okupu francusko-belgijskiego przemysłowca, barona Édouarda-Jeana Empaina. Do żądania okupu dołączyli odcięty palec porwanego, którego uwolnili dopiero po sześćdziesięciu trzech dniach. Jacques Mesrine był mordercą, dokonywał napadów z bronią i porwań we Francji, w Kanadzie, Belgii, Szwajcarii, Hiszpanii. Został zastrzelony w 1979 roku przez francuską policję.

[71] Coluche (właśc. Michel Gérard Joseph Colucci, 1944–1986) – kultowy komik, aktor filmowy i estradowy oraz śpiewak. Zasłynął prowokacyjnymi powiedzeniami („Polityka to show. Najlepszy kandydat to ten, który najlepiej wypada w telewizji. Ludzie nie głosują na osobę, tylko na to, co widzą w telewizji") i happeningami, jak zdjęcie na okładce miesięcznika „Hara-Kiri", na którym ze spuszczonymi spodniami siedzi na sedesie przepasany szarfą Legii Honorowej, a napis na trójkolorowej fladze francuskiej głosił: „Niebieski – biały – gówno". W październiku 1980 roku zadeklarował chęć kandydowania w wyborach prezydenckich. Jego program wyborczy zawierał między innymi postulaty zniesienia polityki, przeniesienia polityków do gabinetu figur woskowych, likwidacji gramatycznego rodzaju żeńskiego, zlikwidowania słów „kobieta" i „mężczyzna". Popierali go Jean-Paul Belmondo i Gérard Depardieu. W sondażach miał szesnaście procent poparcia. Przed wyborami wycofał swoją kandydaturę. Zginął potrącony przez samochód ciężarowy, kiedy jechał na motocyklu.

[72] Zdanie, które narodziło się prawdopodobnie na barykadach Maja '68 i wkrótce później, gdy de Gaulle chciał zarządzić nowe wybory mające zwiększyć liczbę parlamentarzystów popierających rząd desygnowanego przez niego premiera Georges'a Pompidou. Zyskiwałby on tym samym mocniejszy mandat do zaprowadzenia we Francji porządku po studenckiej rewolcie.

[73] 23 maja 1981 roku wybrany na prezydenta Francji François Mitterrand udał się do Panteonu, gdzie złożył po róży na tablicach upamiętniających Jeana Moulina, bohatera ruchu oporu, Jeana Jaurèsa, przywódcę socjalistów zamordowanego w 1914 roku, i dziewiętnastowiecznego abolicjonistę Victora Schoelchera.

[74] Paul-Loup Sulitzer (ur. 1946) – finansista, „człowiek sukcesu". W swoich książkach opisuje sposoby dochodzenia do majątku. Philippe de Villiers (ur. 1949) – prawicowy polityk, pisarz, przedsiębiorca. Bernard Tapie (ur. 1943–2021) – przedsiębiorca, aktor, barwna postać francuskiego biznesu. Odniósł oszałamiający sukces finansowy, potem zbankrutował, sądził się o odszkodowanie – wszystkie te perypetie sprawiły, że był znaną postacią medialną.

[75] Minitel – francuski poprzednik internetu przypominający nieco telegazetę i dostępny za pośrednictwem linii telefonicznej, uruchomiony w 1982 roku. Powstał jako elektroniczna książka telefoniczna, szybko zaczęto go wykorzystywać do innych celów.

[76] „*Touche pas à mon pote*" – hasło stowarzyszenia SOS Racisme wylansowane w 1985 roku na antyrasistowskim koncercie.

[77] Prawdopodobnie chodzi o ogromną manifestację 24 czerwca (nie marca, jak pisze autorka) 1984 roku, zorganizowaną w Paryżu przeciwko ustawie Savary'ego, na mocy której szkoły prywatne, w większości prowadzone przez organizacje zakonne, miały być włączone do systemu szkolnictwa publicznego. Kilka stron dalej Ernaux nawiązuje do tej czerwcowej manifestacji.

[78] Foucault w rzeczywistości zmarł na AIDS. Jednak jak wspomina w opublikowanym w 2004 roku wywiadzie socjolog Daniel Defert, który przez dwadzieścia lat był partnerem filozofa, w 1984 roku, po pierwsze, niewiele wiedziano o AIDS, ówczesne testy były, jak to określił, „rzemieślnicze", a w przypadku Foucaulta remisję choroby wszyscy wzięli za definitywne wyleczenie. Po drugie, w tamtych latach zdiagnozowanie u kogoś HIV lub AIDS piętnowało chorego w znacznie większym stopniu niż obecnie. Stąd usiłowania, żeby nie mówić wprost o przyczynie śmierci Foucaulta.

[79] Laurent Fabius (ur. 1946) – polityk. W latach 1984–1986 pełnił funkcję premiera.

[80] Rainbow Warrior – flagowy statek organizacji Greenpeace zatopiony w 1985 roku w Auckland, w Nowej Zelandii, przez francuskie siły specjalne, gdyż z jego pokładu aktywiści ekologiczni monitorowali francuskie próby nuklearne na Pacyfiku.

[81] Tych trzech Francuzów porwano w 1985 roku, a uwolniono dopiero trzy lata później. Oprócz nich islamscy ekstremiści uprowadzili wiele innych osób. Sprawa Kauffmanna, znanego dziennikarza, oraz dyplomatów Cartona i Fontaine'a była najbardziej medialnie nagłośniona.

[82] Illich Ramírez Sánchez, ps. „Carlos" i „Szakal" (ur. 1949) – międzynarodowy terrorysta urodzony z Wenezueli. W latach siedemdziesiątych związał się z Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny – terrorystyczną organizacją arabską o charakterze marksistowskim. Był zamachowcem na zlecenie. Jego ofiarami padali politycy, biznesmeni i dziennikarze sprzyjający syjonistom oraz redakcje gazet, które krytycznie wypowiadały się o Froncie. Do jednej z najbardziej spektakularnych akcji doszło w październiku 1974 roku, kiedy bojownicy Frontu wraz z Carlosem wdarli się do ambasady francuskiej w Hadze. Wzięli jedenaścioro zakładników, w tym ambasadora. Carlos zorganizował także porwanie ponad sześćdziesięciorga uczestników spotkania ministrów krajów OPEC w 1975 roku. W ciągu kolejnych dziesięciu lat przeprowadzał ataki w Europie, Afryce

Północnej i na Bliskim Wschodzie. Jego zleceniodawcami byli m.in. Nicolae Ceaușescu, Jurij Andropow i Hafiz al-Asad. W latach osiemdziesiątych był najbardziej poszukiwanym przestępcą na świecie.

[83] W latach 1985–1986 doszło we Francji do kumulacji zamachów z jednej strony przypisywanych europejskim lewicowym terrorystom, z drugiej – rodzącemu się terroryzmowi islamskiemu, ponieważ Francja prowadziła aktywną politykę zagraniczną w krajach islamskich i popierając jedne frakcje, stawała się wrogiem drugich. Ernaux opisuje tu przede wszystkim wydarzenia z września 1986 roku i zamach bombowy na rue de Rennes w Paryżu, w którym siedem osób zmarło, a pięćdziesiąt pięć zostało rannych. Był to szósty atak, jak twierdzono – zorganizowany przez libańskich terrorystów powiązanych z władzami Iranu. Bomby podkładano w miejscach publicznych, by wzbudzić jak największą panikę.

[84] Przedstawiony pod koniec roku 1986 projekt ustawy Alaina Devaqueta, ministra szkolnictwa wyższego i nauki w drugim rządzie Jacques'a Chiraca, przewidywał selekcję studentów podczas rekrutacji (dotąd na studia wystarczyło się po prostu zapisać) i wprowadzenie zasad rywalizacji między uczelniami wyższymi. Po masowych protestach środowiska studenckiego rząd wycofał ten projekt.

[85] Louis Pauwels (1920–1997) – dziennikarz i pisarz interesujący się nauką, filozofią i ezoteryzmem, wizjonerski twórca prawicowego „Figaro Magazine" jako gazety w swym założeniu nie tyle nadążającej za aktualnymi wydarzeniami, ile kształtującej rzeczywistość. Słynne powiedzenie Pauwelsa o „mentalnym AIDS" protestujących w 1986 roku studentów jest może najbardziej jaskrawym przykładem jego poglądów, które stały się jeszcze bardziej konserwatywne po nawróceniu się dziennikarza.

[86] Pierre Desproges (1939–1988) – humorysta. Pracował w radiu i w telewizji. Jego twórczość cechowały czarny humor, antykonformizm i poczucie absurdu.

[87] Z powodu przewagi prawicy w parlamencie socjalistyczny prezydent Mitterrand był zmuszony w 1986 roku mianować na stanowisko premiera prawicowego Jacques'a Chiraca. W 1988 roku w trakcie telewizyjnej debaty prezydenckiej Mitterrand zarzucił Chiracowi – wówczas już swojemu kontrkandydatowi – że ten skłamał, twierdząc, iż ma dowody na udział irańskiego dyplomaty Wahida Gordjiego w zamachu na rue de Rennes. Chirac zaatakował wówczas Mitterranda, wzywając go, aby spojrzał mu prosto w oczy, jeśli kontestuje jego wersję. Patrząc mu w oczy, Mitterrand oświadczył, że podtrzymuje to, co powiedział.

[88] Traktat o Unii Europejskiej podpisany 7 lutego 1992 roku w Maastricht, zawarty między państwami członkowskimi Wspólnot Europejskich ustanawiający Unię Europejską

i określający jej cele. Wszedł w życie 1 listopada 1993 roku po przeprowadzonych referendach w dwunastu krajach członkowskich.

[89] Mowa o przypuszczalnych przyczynach samobójstwa w 1993 roku byłego premiera Pierre'a Bérégovoya. Sądzono, że doprowadziło go do tego wykrycie, iż na zakup paryskiego mieszkania załatwił sobie bezprocentowy kredyt w wysokości miliona franków. Bardziej prawdopodobne jednak, że Bérégovoy popadł w depresję, oskarżając się o to, że nie sprostał powierzonej mu przez Mitterranda misji uzdrowienia gospodarki Francji przed nadchodzącymi wyborami, tak by zwiększyć szanse socjalistów. Pierre Bérégovoy był synem rosyjskiego emigranta, białego oficera i mienszewika.

[90] Właściwie trzy ustawy zwane ustawami Pasqua-Debrégo, ministrów sprawiedliwości w kolejnych rządach (1986–1997), ustalające zasady przyjmowania imigrantów.

[91] W pierwszych latach po pojawieniu się wirusa HIV, gdy naukowcy nie znali jeszcze dobrze dróg jego transmisji, zarażono we Francji około dwóch tysięcy osób, przetaczając krew zakażonych pacjentom wymagającym transfuzji, zwłaszcza chorym na hemofilię. Zarażone w ten sposób osoby pozwały w 1987 roku lekarzy i wysokich urzędników państwowych za opóźnione wprowadzenie w życie przepisów niepozwalających na przetaczanie zakażonej krwi. W czasie nagłośnionych medialnie procesów opinia publiczna jednoznacznie i emocjonalnie wzięła stronę poszkodowanych.

[92] Ci dwaj spotkali się w lipcu 2000 roku w Camp David podczas rozmów między Izraelem a Organizacją Wyzwolenia Palestyny, w których pośredniczył prezydent USA Bill Clinton. Bardzo możliwe jednak, że autorce chodziło o słynny uścisk dłoni Arafata z Icchakiem Rabinem – także z Clintonem w tle – z 13 września 1993 roku. Przypieczętował on podpisanie tak zwanych porozumień z Oslo, które stały się fundamentem procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie i podstawą istnienia Autonomii Palestyńskiej.

[93] Khaled Kelkal (1971–1995) – urodzony w Algierii zamachowiec związany ze Zbrojną Grupą Islamską. Został osaczony i zabity przez policję w czasie akcji relacjonowanej na żywo przez telewizję.

[94] 2 sierpnia 1982 roku grupa odszczepieńców z Organizacji Wyzwolenia Palestyny wtargnęła do restauracji żydowskiej przy rue des Rosiers w Paryżu, gdzie granatami i strzałami z broni palnej zabiła kilka osób i raniła kilkanaście. Zamachowcy wycofali się pieszo, strzelając do tłumu.

[95] Plan premiera Alaina Juppégo dotyczył zrównania warunków ubezpieczenia pracowników sektora publicznego do tych (gorszych), które obowiązywały w sektorze prywatnym, na przykład zamiast możliwości przejścia na emeryturę po przepracowaniu

trzydziestu siedmiu i pół roku musieliby przepracować czterdzieści lat. W grudniu, po wielkich strajkach w sektorach, które miały być najbardziej dotknięte zmianami (koleje państwowe, transport paryski, państwowe przedsiębiorstwo energetyczne), rząd wycofał się z planu Juppégo, mimo że popierała go większość mediów i część związków zawodowych.

[96] Paul Éluard, *La tête contre le mur* [Głową w mur].

[97] 23 sierpnia 1996 roku grupa trzystu nielegalnych imigrantów schroniła się w paryskim kościele Świętego Bernarda. Policja użyła siekier i gazu łzawiącego, żeby dostać się do wnętrza. W odpowiedzi na tę akcję trzydzieści tysięcy Francuzów wzięło udział w manifestacji przeciwko brutalnej eksmisji ze świątyni.

[98] Mumia Abu-Jamal (właśc. Wesley Cook, ur. 1954) – działacz i dziennikarz afroamerykański, skazany na karę śmierci za zabójstwo policjanta.

[99] Mireille Dumas (ur. 1953) – dziennikarka i producentka telewizyjna specjalizująca się w programach poruszających ważne kwestie społeczne, które omawiano na przykładach osobistych historii bohaterów i bohaterek. Jej sztandarowym programem był *Bas les masques* [Odrzucić maski]. Jean-Luc Delarue (1964–2012) – dziennikarz, producent radiowy i telewizyjny, realizujący programy podobne do tych, które tworzyła Dumas. Najbardziej znany nosił tytuł *Ça se discute* [O tym się mówi].

[100] W przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

[101] Mowa o cyklonie Lothar, który przeszedł przez Francję, Belgię, Luksemburg i Niemcy 25–27 grudnia 1999 roku, zabijając sto dziesięć osób, w tym – wbrew temu, co pisze autorka – osiemdziesiąt osiem we Francji, i powodując gigantyczne straty. Był największym huraganem, jaki przeszedł przez Europę w XX wieku.

[102] Jeanne Marie Le Calvé, zwana Matką Denis (1893–1989) – praczka z Normandii, która wbrew modzie na pokazywanie w spotach reklamowych młodych ładnych kobiet w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stała się medialną twarzą pralek marki Vedette.

[103] 18 kwietnia 2002 roku, trzy dni przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, dwóch niezidentyfikowanych napastników wtargnęło do domku emeryta Paula Voise’a (nazwanego przez media „dziadkiem Voise’em”) w Orleanie, pobiło go i zażądało pieniędzy, a następnie podpaliło jego dom. Sprawców napadu nigdy nie wykryto. Niewykluczone, że medialne nagłośnienie napadu na emeryta sprawiło, że część wyborców zagłosowała na Jeana-Marie Le Pena, zwolennika surowego karania przestępców.

[104] Wynik uzyskany przez Le Pena w pierwszej turze wyborów prezydenckich.

[105] Guy Debord (1931–1994) – francuski myśliciel, twórca pojęcia „społeczeństwo spektaklu”. Analizował alienację rozumianą nie tylko jako zjawisko psychologiczne, lecz również jako konsekwencję komercyjnej formy organizacji społeczeństwa. Podkreślał duchowe ogłupienie będące rezultatem kierunku, w jakim rozwijało się społeczeństwo po II wojnie światowej. René Dumont – patrz przyp. s. 110. Trudno powiedzieć, którą powieść Le Clézia (ur. 1940) autorka ma na myśli. W pierwszym okresie twórczości, mniej więcej do połowy lat siedemdziesiątych, pisarz krytykował współczesną zautomatyzowaną cywilizację.

[106] Wypowiadając się w sprawie oskarżenia premiera Pierre’a Bérégovoya o to, że załatwił sobie milionową bezprocentową pożyczkę na zakup mieszkania, jeden z ministrów miał powiedzieć, że ktoś taki jak Bérégovoy, „noszący opadające, luźne skarpetki, nie może być nieuczciwy”.

[107] Firma produkująca artykuły żywnościowe na bazie czekolady, takie jak kakao w proszku czy krem do smarowania pieczywa.

[108] We Francji nazwa nadawana pokoleniu pohipisowskiemu. Określa ówczesnych młodych zainteresowanych ekologią, sprzeciwiających się przemocy, interesujących się mistyką wschodnią, często o tendencjach nomadycznych i wspólnotowych.

[109] Seria ataków terrorystycznych, do której doszło 11 marca 2004 roku na stacji Atocha w Madrycie. Tego dnia w porannych godzinach szczytu dziesięć bomb eksplodowało w czterech podmiejskich pociągach dowożących mieszkańców do pracy. Zginęło 191 osób, a 1858 zostało rannych.

[110] Florence Aubenas (ur. 1961) – dziennikarka i pisarka. Ukrywając swoje wykształcenie i zawód, zatrudniała się jako sprzątaczka i w innych nisko płatnych zawodach, żeby od środka poznać i opisać kondycję klasy ludowej.

[111] Tropikalna choroba wirusowa, podobna do dengi, przenoszona przez komary. W 2006 roku epidemia chikungunyi opanowała region Oceanu Indyjskiego. W 2007 roku pierwszy przypadek tej choroby wykryto we Włoszech.

[112] „Télérama” – tygodnik o kulturze i programach telewizyjnych. „Les Inrocks”, skrót od „Les Inrockuptibles” – magazyn kulturalny o orientacji lewicowej poświęcony głównie muzyce popularnej. „Technikart” – miesięcznik kulturalny.

[113] Afera związana z oskarżeniem Dominique’a de Villepina (premiera Francji w latach 2005–2007) o to, że w 2004 roku zlecił sfabrykowanie listy kont bankowych w Luksemburgu należących rzekomo do znanych osobistości, w tym do prezydenta Sarkozy’ego. Intryga miała na celu skompromitowanie Sarkozy’ego, potencjalnego konkurenta de Villepina do fotela prezydenckiego w czasie kampanii w 2007 roku.

[114] Anna de Noailles, *L’offrande à la nature*.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne
Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2022
Wydanie I